



N. 20. Działaw Lewonowski

Tygodnik „Romans i Powieść”.

ZIEMIA OBIECANA.

ROMANS

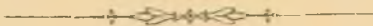
PRZEZ

PAWŁA BOURGETA.

Przekład.



2



WARSZAWA

Druk A. PAJEWSKIEGO, Niecała № 12 w Warszawie.

—
1893.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ

Варшава, Июля 14 дня 1893 года.



153625

ZIEMIA OBIECANA.

R O M A N S

przez

PAWŁA BOURGETA.

Przekład.

I.

Marzenia.

Hrabina Ludwika Scilly odezwała się do córki swej Henryki i Franciszka Nayraca, narzeczonego tego ładnego dziecka!

— Pochodźcie trochę i nie trwożcie się o mnie, ja na was zaczekam tutaj. Nie chcę, ażeby moja stara osoba psuła wam ten piękny poranek...

I usiadła na ławce marmurowej, obok krzaku róż, tych róż wątłych i zaledwie pachnących, które kwitną przez całą zimę w szpalerach ciepłej Sycylii.

Listopad miał się ku schyłkowi i światło boskiej przezroczyści, tak lekko i tak potężnie rozgrzewające, ogarniało, kąpało, pieściło ten ogród, a raczej tę oazę willi Tosca, prawdziwą fantazyę wielkiego magnata gościnnego, dobrze znaną wszystkim, których upodobanie do podróży lub chęć poratowania nadwątlonego zdrowia zapędziły na kilka miesięcy do Palermo.

Hrabina należała do ostatnich.

Kiedy przyjechała z Paryża zaraz z pierwszymi mgłami jesiennymi, ażeby się ostatecznie wyleczyć z następstw po zapaleniu płuc, prawie śmiertelnem, znowu zapadła na zdrowiu i przez trzy tygodnie ruszyć się nie mogła z pokoju.

Wychodziła dopiero od pięciu czy sześciu dni. Dlatego z rozkoszą pozwalała słońcu o godzinie jedenastej przejmować nawskroś jej osłabiony organizm. I twarz wychudła nabierała żywszych kolorów. To niejaki upojenie przy wyzdrowieniu odmłodziło jej zapadłe policzki, powieki zmęczone i czoło pożółkłe! Połysk blond włosów, łącząc się w nich z odbłyśkiem srebrnym, wydawał się bardziej złocistym, jak gdyby nieco z dawnego wdzięku znowu zjawić się miało w tej kobiecie pięćdziesięcioletniej, przedwcześnie wyczerpanej zmartwieniami i chorobą.

Usta jej, wyschłe od gorączki, otwierały się do tego ocieplonego powietrza, w którym wraz z aromatem róż unosił się zapach drzew z pobliskich gajów.

Oczy jej niebieskie, zanadto błyszczące, jak u osoby której życie dotknięte zostało w głębi swych źródeł, błąkały się po tych pięknych drzewach, sosnach włoskich lub cedrach olbrzymich, dokoła których bujna roślinność tropikalna znamionowała bliskość Afryki.

Aloesy blednące wykrzywiały zębate łodygi. Daktyle poruszały zwolna swe palmy ciemno zielone. Kaktusy wyciągały kolczaste liście i pośród nich jaskrawe kwiaty. Białe posągi jaśniały na tle zieloności a sama willa, z zamkniętymi zupełnie oknami, wśród tego spokoju i tego blasku porannego musiała po za fasadą, ży-

wym kolorem pomalowaną, mieścić w sobie marzenia błogości.

W tem ustroniu samotnem, ożywionem jedynie drganiem liści lub lotem łabędzia, którego rozpostarte skrzydła muskały drzemiącą wodę w niewidzialnym stawie, oczy matki zwracały się nieustannie ku tej części rozległego i jaśniejącego ogrodu, gdzie przechadzali się narzeczeni.

Ich kroki wolne, niepewne, roztargnione — te kroki szczęśliwej pary, której najmniejsze poruszenia harmonizują z sobą i jakby się zaślubiają w nieświadomej zgodzie — to oddalały ich, to przybliżały. Znikali, potem znów się pokazywali na zakręcie alei. Szli, zatrzymywali się i znowu szli. Patrzyli na siebie, mówili, milczeli, tak rozkosznie podnieceni i zachwyceni tem niebem niebieskiem, tym blaskiem dnia, temi drzewami, temi wodami, tymi kwiatami, a zwłaszcza samymi sobą i tym urokiem obecności istoty ukochanej, który wiosnę może sprowadzić tam, gdzie zima panuje, a gdy doń się dołączy czar godziny czarownej, to o mało nie przewyższa on wszystkich sił duszy!

Henrykę i Franciszka otaczała ta aureola, jaką promienieje najwyższe szczęście. Oboje byli jakby pokrzepieni, jakby wywyższeni tem poczuciem szczęśliwości, jakie się ujawnia w każdym ruchu dwóch istot, które ubóstwiają się najzupełniej, bezwzględnie.

Nigdy kibić młodej dziewczyny nie była tak giętką, uśmiech figlarny nie był figlarniejszym, nigdy twarz delikatniejsza nie była, oczy bardziej niebieskiemi, lica ró-

zowemi bardziej, usta dowcipniejszymi, a złote włosy bardziej jedwabistemi i lśniącemi.

Nigdy też skupione i zamysłone oblicze Franciszka nie było rozświetlone promienniejszą myślą. Płomień czarny żrenic jego łagodniał, na widok tej, która stanie się wkrótce jego żoną, a wejrzenie jego miało w sobie wyraz upajającej pieśzchoty. Ze sposobu, w jaki prowadził ją pod rękę, łatwo dawał się poznać cały duch opiekuńczy przywiązanego człowieka. Ona była tak młodą, tak szczupłą, tak wątłą, pomimo lat dwudziestu trzech, że wyglądała zaledwie na ośmnaście, gdy lat trzydzieści cztery było dobrze nacechowanych na jego twarzy pociemniałej i poodarnej, tak nieraz smętnej przy zadumie, a w tej chwili tak przekształconej magnetyzmem szczęścia.

Przechadzka ta była jakby urzeczywistnieniem marzenia dla tego tkliwego świadka, który przyglądał się parze narzeczonych, dla tej matki, o której nie zapominali nawet w swem uniesieniu, bo, przy każdym mijaniu ławki marmurowej, Henryka witała ją uśmiechem i spojrzaniem. Gdyby nie była zwróciła jasnowłosej główki, pani Scilly nie miałyby jej tego za złe z pewnością. Ale skoro jej córka zachowała dla niej miejsce w swem szczęściu, ten fakt widoczny tak ją rozgrzewał, jak to słońce południowe, z którego promieniami pieściło się jej biedne ciało, ażeby nabrać trochę siły, kilka jeszcze lat życia.

I myślała sobie:

— Jak on ją kocha, i ma rację, że ją kocha!.. Jak ona stała się taką, jaką w dzieciństwie już obiecywała.

Gdyby ojciec jej żył, jak dumnym byłby z niej i dumnym z niego!.. Powiedziałyby, że ze mnie zadowolony, jestem tego pewną. On też powie mi to niebawem... Ale niechaj to jednak nie nastąpi zbyt wcześnie.

Mówiąc to do siebie w myśli, biedna kobieta cofała się lat piętnaście w tył, aż do jesieni roku 1871, tak strasznej dla niej

Zamiast zielonego i zacisznego ogrodu, gdzie przechadzały się jej dzieci, jak nazywała ich, błogosławiąc razem w swem sercu — widziała znowu pokój chorego, również pewnego poranku listopadowego, ale owego paryzkiego listopada, zimnego, ponurego i ciemnego.

One obie, Henryka i ona, klęczały przy łożku, na którego poduszce uwydatniała się twarz zboląła i blada komendanta Scilly, który tylko co życie zakończył.

Po długich miesiącach cierpień, zmarł skutkiem ran, poniesionych w bitwach pod Metz.

Bił się tam, jak dzielny potomek znamienitego hrabiego Scilly, bohatera z pod Lipska.

Jakkolwiek wszyscy Scilly byli w wojsku, począwszy od bohatera z czasów pierwszego cesarstwa aż do ostatniego dowódcy dywizyi tegoż nazwiska. i lubo żona żołnierza powinna być gotowa na wszelkie, bolesne poświęcenia, hrabina myślała, że oszaleje zaraz już w pierwszych dniach, po wypowiedzeniu wojny.

Potem pojechawszy do męża, przewiezonego w niewoli do Niemiec, sprowadziła go do Paryża, ażeby walczyć o niego ze śmiercią z takim przejęciem, że zstarzała się w kilka tygodni o lat dziesięć.

U wezgłowia łoża śmiertelnego, na którym spoczywał ten jedyny człowiek, którego kochała, dopiero odzyskała odwagę do życia, gdy ucałowała swą córkę, jedyne dziecko, pozostałe jej z pięciorga, które miała, biedną istotką, tak wątłą, tak wrażliwą, tak świadomą już swej pół sieroczej doli!

Łzy jej mówiły o tem dostatecznie i ten uścisk, rozpaczliwy, jakim ujęła matkę.

Wdowa wywzajemniała się pocałunkami Henryce, przysięgała jej zastąpić nieobecnego ojca, i zaczęło się na lata całe to życie odosobnione, smutne, a jednak pełne spokoju.

Życie odosobnione, ponieważ hrabina poróżniła się z całą rodziną męża, włączając w to generała Scilly, dla przyczyn osobistych, dotyczących ojca nieboszczyka, inne zaś stosunki światowe, skutkiem żałoby, musiały się ograniczyć do osób bardzo blizkich. Życie smętne, bo chciała, ażeby nic go dokoła nie zmąciło, i ów pałacyk, wybrany niegdyś przez oficera, jako w blizkiem sąsiedztwie z ulicą św. Dominika i szkołą wojskową, zaczął przybierać postać trochę przestarzałą i zawiedłą owych rzeczy, których dotyczą ręce religijnie, smutnie, ażeby je szanować, ale nie po to, ażeby się niemi posługiwać.

Życie słodkie, ponieważ ta dziewczynka, czarno zawsze ubrana, która się uwijała wśród mebli, owych relikwii, w każdym ruchu, w każdym słowie ujawniała jak najbardziej ujmującą delikatność natury. Pani Scilly rozkoszowała się niem z tą przymieszką radości i trosk,

z których się tworzy szczęście bolesne matek. Wiedzą one, jak policzone są te dni, w których mogą się nacieszyć obecnością swych córek.

Kiedy Henryka pracowała spokojnie nad lekcjami, matka mierzyła myślą, jak znikają słodkie lata, w miarę okrywania się zielonością lub żółknięcia drzew w ogrodzie arcybiskupim, które widać było z wysokich okien pokoju na pierwszym piętrze. Te drzewa to wstrząsał wiatr kwietniowy, sypiąc z nich płatki kwieciana, a matka obliczała, ile jeszcze wiosen przejdzie, zanim córka dojdzie do lat dziewiętnastu.

Innym razem wiatr pędził przez aleje rozsypane szczątki jesienne, a ona liczyła lata ubiegłe, odkąd umarł ojciec.

Wobec małej córki zapadała w nieskończony zachwyty, ucieszona zarazem i zafrasowana rozrastaniem się jej kibici, przekształcaniem się dziecka w młode dziewczę, młodego dziewczęcia prawie w młodą kobietę, podziwiając jej wdzięk, jej rozum, dobroć, oddychając całą wonią tego ślicznego i dziewiczego kwiatu, który ona sama tylko znała, i z niepokojem, wszakże przygotowanym szlachetnie do poświęcenia, przewidywała chwilę, w której będzie musiała z nią się rozstać.

— I pomyśleć — mówiła do siebie — że istnieje ten, który ma ją mi zabrać, że oddycha on, chodzi, żeśmy go może spotkały wczoraj, dzisiaj, na naszej przechadzce. To dla niego ja teraz przyozdabiam ten wdzięczny umysł subtelnymi myślami, dla niego, to czułe serce uczuciami szlachetnymi?.. O! gdybym mogła wycho-

wać jego dla niej tak, jak wychowuje ją dla niego? Ojciec jej powtarzał zawsze: ona zaślubi tego, kogo pokocha, ale on był mężczyzną, znał życie, on byłby osądził dobrze tego, kto przyjdzie, gdy ja?..

Niepocieszona wdowa tysiąc razy powtarzała pociachu te monolegi w samotności macierzyńskiej, coraz częstsze i bardziej naglące, w miarę, jak czas się posuwał.

Wtedy prowadziły one do projektów, chętnie wypieszczonych, a później zawiedzionych przez jedno z tych nieprzewidzianych spotkań, w następstwie których zjawia się na scenie nowy gość, nieoczekiwana, nieprzeparta miłość.

Hrabina Scilly w ciągu lat, jak dla niej zbyt krótkich, dokładała starań najusilniejszych, ażeby otoczyć Henrykę przyjaciółkami bez zarzutu i tak nabożnemi, jak ona sama. Z całą bacnością stopniowała nawiązywanie dawnych stosunków towarzyskich; chciała, ażeby dystynkeya arystokratyczna, jakiej przestrzegała sama dla siebie w młodych latach, niczem nie została zatracona w jej córce i przywołała na pomoc całe swe doświadczenie, ażeby oceniać, jacy są ci nieliczni młodzi ludzie, którzy należeli do ich małego kółka towarzyskiego.

Potem dziecko jej zajęło się nieznanym, tym Franciszkiem Nayrac, na którego, prowadzącego Henrykę pod rękę, patrzyła teraz matka z zaufaniem, tak rozrzewniającem, prawie tak wdzięcznem — a jeszcze przed dziesięciu miesiącami znała to nazwisko tylko ze słyszenia, bo wymówione przy niej zostało dopiero przez jenerałową Jardes, daleką krewną młodzieńca.

U pani de Jardes właściwie nastąpiło zapoznanie się przypadkowe na wizycie, po której Franciszek wyszedł tak przejęty wdziękiem Henryki, iż powrócił na-
zajutrz do swojej ciotki, ażeby o niej pomówić.

Wypadki dalsze nastąpiły po sobie w porządku bardzo prostym, bardzo zwykłym, podobne do tych, które towarzyszą małżeństwu, tak rozpoczętemu z nagłego zachwytu kawalera, w zmianie samotności i przy pomocy tajonej sympatyj dziewczęcia jak i życzliwości ze strony wspólnej przyjaciółki, która rada jest tej roli pośredniczki. W tej roli lubują się wszystkie kobiety, czy chodzi o miłość legalną czy nielegalną! Nowe spotkanie, więcej lub mniej zręcznie przygotowane, ciągle i długie pochwały o Franciszku, wygłaszane przez panią Jardes, obecność młodzieńca wszędzie, gdzie zbliżyć się mógł do pani Scilly, nie ściągając na siebie podejrzeń za tak ciągle nadskakiwanie, zmiana wyraźniejsza w ruchach Henryki, widocznie zajętej i pomieszanej, — takie były nieliczne i naiwne epizody tego romansiku.

Na matce to sprawiało wielkie wrażenie, aż nareszcie postanowiła rozmówić się z córką.

Ta wyznała nową tajemnicę swego serca, bez wahania, ale tak drżąca, jak drżały w tej chwili po nad ławką marmurową liście brzozy płaczącej, wstrząsanej zlekka łagodnym wietrzykiem.

Kochała Franciszka.

Jakto! nie wiedząc o nim nic więcej? I gdy nawet ani jedno słówko porozumienia między nimi nie zostało zamienione? Jakim tajemniczym instynktem uczuć?..

Przypomina sobie pani Scilly, jak pytania te zadawała sobie ze zgrozą w nocy, która nastąpiła po tem wyznaniu. I wobec tego pierwszego wzruszenia córki, która już nie należała do niej wyłącznie, doznała jednej z tych zazdrości moralnych, tak głębokich, tak namiętnych — krwawiące to rany najszlachetniejszych matek — a tak głębokie, że je może uleczyć tylko widok nazupełniejszego szczęścia ich dziecka.

O! jak się modliła hrabina tej nocy!

Jak prosiła o pomoc z nieba, któraby wskazała jej, jak ma postąpić. Z jaką przezornością i drzeniem wewnętrznem i ona, za radą ojca Juvigny, starego, dominikanina, a jej spowiednika, przystąpiła do prowadzenia śledztwa, jak to rodzice czynili zawsze i czynić będą po wszystkie czasy.

Niestety! Gdyby trzeba było dowodu, ażeby wskazać, jak los najprzezorniejszych znajduje się pod władzą niepojętą i samowolną, najlepszy przykład stanowiłaby ta nieudolność ojca i matki, nawet bardzo czujnych, nieudolność dla poznania zupełnej prawdy, jakim życie jest i charakter tego, który ma uszczęśliwić lub unieszczęśliwić dziecko ich ubóstwiane i tak pielęgnowane przez lata całe.

Pani Scilly wypytywała na prawo i na lewo, podczas wizyt, które były jakby koniecznymi przerwami tego dramatu uczuciowego.

Czyż nie prawdziwy i gorączkujący swym przedmiotem dramat rozgrywa się w tych rozmowach, kiedy od słówka, wymówionego na wiatr, zależy przyszłość

dwojga osób, z których jedna tak pozbawiona jest obrony.

A oto owe typowe odpowiedzi, jakie otrzymywała po przeróżnych zwrotach w rozmowie.

— Pan Nayrac? — powiedziała hrabinie Scilly pani d'Avançon, żona dawnego dyplomaty — bardzo ładny chłopiec i ma piękny majątek, co nigdy nie zawadzi. Dziesięć lat pracował w dyplomacyi i miał już zostać naczelnym sekretarzem, ale podał się do dymisyi, jak mój mąż z powodu zmiany gabinetu... Wielka szkoda.

I zacna dama, z powodu bólów nerwowych, nie wstając z fotelu na kółkach, wypowiedziała zaraz całą tyradę o kwestyach bieżących, zasłyszanych od męża, od którego przejmowała wszelkie poglądy, chociaż go nie cierpiała, ale przez ową sprzeczność dość częstą w niedobrych stadłach. Małżonkowie nienawidzą się w głębi serca, ale siła przyzwyczajenia jest taka, że w końcu stają się podobnymi do siebie umysłowo, a nieraz i fizycznie.

Jakim sposobem najprzebieglejsza matka mogłaby bez obudzenia podejrzeń, zwrócić na upragniony przedmiot rozmowę, tak przeskakującą na co innego? I pani Scilly nie śmie już zadać żadnego pytania, ale rachuje na to, że pan d'Avançon, usiłując zapomnieć o piekle małżeńskim i prowadząc pomimo lat sześćdziesięciu życie klubowe, musiał poznać Franciszka Nayrac w tych miejscach, gdzie prawdziwa istota obyczajów ujawnia się lepiej, niż w towarzystwach, i nareszcie przy rozwinięciu najzręczniejszego machiawelizmu udaje się jej wywołać tę drugą opinię.

— Franciszek Nayrac? bardzo miły chłopiec i z bardzo ładnym majątkiem. Z nim przynajmniej można pomówić nietylko o wyscigach i o kartach.

I następuje rozprawa, w której najbardziej nieprzejednany z naszych starych pięknych, z gwałtowną zawzięcią piorunuje na młode pokolenie. Miesza w tem i on także uwagi i poglądy swej żony, ale zapomina zupełnie o Nayracu.

Przy dziesiątej w tym rodzaju próbie, biedna matka musi przyznać przed sobą, że jeszcze lepiej byłoby odwołać się do tych, którzy znają jej możliwego zięcia od dzieciństwa i w końcu doznaje zawodu u pani de Jardes, bo ta zbyt interesowana jest w dobrem rozwiązaniu intrygi swej, ażeby nie miała bronić kuzyna.

Lecz pani de Scilly uważa ją za kobietę bardzo prawą i zadaje jej uczciwości dwa pytania, które dla niej mają największą doniosłość.

— Czy jest religijny? — odpowiedziała generałowa. — Być może, iż nie dość gorliwie oddaje się praktykom religijnym. Ale wiesz, moja droga Ludwiko, jak ci młodzi ludzie pod tym względem niedbali. Za to ci jednak ręczę, że ma zasady wyborne, najprzód, dowodzi tego podanie się do dymisyi, a przytem znałam biedną jego matkę i jego siostrę. Umarły jak święte!.. Co do drugiego, to już rzecz delikatniejsza. Pojmujesz, że nigdy mi o tem nie mówił. Ale jestem pewna, że jest wolny; to człowiek honorowy i gdyby był związany względem kogo, nie byłby pomyślał o Henryce; jestem pewną również, że się nie afiszuje z żadnym stosunkiem, przynajmniej w Paryżu. Tobo było mnie doszło. A zresztą długo bawił zagranicą...

Jakże dalekiemi były te rozmowy oraz inne monologi. Jednakże nie dawniej miały miejsce, niż podczas wiosny.

Dziś nawet, kiedy w myślach odtwarzała tygodnie stanowcze w miesiącu lipcu, które się zakończyły zaręczynami Franciszka z Henryką, pani de Scilly dziwiła się tej szybkości, z jaką po sobie nastąpiły wypadki, o których myślała zawsze przedtem, że iść będą przeciwnie, powoli, bardzo obmyślane i przewidziane naprzód.

Czuła się ona jednak słabą od bardzo dawna i z wielkim niepokojem lękała się pozostawienia córki bez opieki.

Ona, co znała całą historję tego serca, począwszy od pierwszego jego wzruszenia, widziała ją szczerze, głęboko ogarniętą przez tę miłość, tak raptowną i tak niespodziewaną.

Wiedziała, że u Henryki uczucia nie są chwilowe i drżała, ażeby, w razie zawodu w tej miłości, młoda dziewczyna nie powzięła jakiego postanowienia w uniesieniu religijnem.

Tyle razy odgadła, jaki na tę wrażliwą wyobraźnię urok wywierał klasztor swem mistycznym schronieniem.

Z drugiej strony zdawało się, że w Franciszku odgaduje człowieka rzadkiego, z nieskalaną prawdą serca.

Jakkolwiek obca wszelkim wyrachowaniom materialnym, nie mogła powstrzymać się od obliczenia, że dzieci jej miałyby natychmiast we dwoje więcej niż sześćdziesiąt tysięcy franków dochodu.

Wreszcie powiedziała: „Tak“ i jakby w usprawiedliwieniu niepokoju swego o zdrowie, zaledwie pozwole-

nie zostało dane, rozchorowała się. Doktor, który z początku mówił o lekkim przeziębieniu, wkrótce stwierdził jak najpoważniejsze powikłania. Położyła się do łóżka w ostatnich dniach lipca, spodziewając się, że, jak zwykle, przy katarze będzie musiała poleżeć z tydzień. A nie wstawała jeszcze w połowie października.

Drzewa ogrodu arcybiskupiego, które tak długo towarzyszyły jej samotności, były zupełnie zielone, kiedy nią wstrząsnął pierwszy dreszcz gorączki. Kiedy zaś mogła przystąpić do okna, zobaczyła, że wszystkie liście zwarzyła jesień, jak ją samą poraziła śmierć.

Ale jakże się żalić na tę chorobę, która jej pozwoliła ostatecznie ocenić Franciszka.

Kiedy doktorzy orzekli, iż koniecznem dla niej jest przepędzenie zimy na południu i dalej — w Kairze, Algierze i Maderze lub Palermie, z jaką delikatnością młodzieniec usunął swe prawa, wobec nowych obowiązków, które to położenie wytworzyło dla jego narzeczonej. Ona prosiła go, iżby małżeństwo zostało odłożone aż do przyszłej wiosny, ażeby mogła tę ostatnią zimę poświęcić zupełnemu uleczeniu matki, a on z takim wdziękiem na to się zgodził.

To on doradził pobyć w Palermo, które znał, on sam przyjechał w pierw, dla urządzenia mieszkania hrabiny, on ją tu w niem osadził, a potem odjechał do Paryża i dopiero przybył na wezwanie chorej, i tak zawsze był przywiązany, tak dbał o to pilnie, ażeby miłością swoją nie oderwać Henryki od jej obowiązków córki.

Więc cóż dziwnego, że przy tym pięknym i jasnym poranku, chora, wraz z nadzieją życia, pozwalała rozwi-

jać się w swej duszy wdzięczności nieskończonej dla tego, co mogła wyczytać w sercu młodzieńca.

— Mój Boże! — mówiła do siebie — gdybym jeszcze żyć mogła i opuścić ich dopiero później!

* * *

Patrzyła znowu na nich, jak szli przez aleję, palmy zielone jakby pochylały się przed nimi, chcąc ich osłaniać, a wiatr budził w sosnach szum jakby śpiącego oceanu.

Dusza się z niej wyrywała, ażeby podążyć za nimi, ażeby im życzyć nieba wewnętrznego tak pieśczętliwego, tak niebieskiego, jak to, które ich ogarniało w tej chwili swym jaśniejącym lazurem.

Jakkolwiek nie słyszała nawet dźwięku ich drogich głosów, wiedziała, że oni też łączą jej istotę z powabem tej przechadzki, i prawdą to było, że, mówiąc o sobie, mówili o niej. Łączyli ją tak naturalnie z przyszłością, w którą pokładali zaufanie upajające tych, co się kochają miłością dozwołoną.

Tak, jakież marzenia wcielali oni w te ramki rajskie! ona tak czuła, tak dumna, co w życiu swem miała tylko czyste godziny, on, dość jeszcze młody, by miał się obawiać zestarzenia się przednią, dość w namiętności doświadczony, aby oceniać należycie to, co napotkał w tej istocie, dla niego jedynej.

I rozmawiali, a raczej myśleli, czuli głośno, nie szukając słów, każde wszelako zdanie posiadało dla nich, potajemny, przenikający czar blizkiej zażyłości.

Już sam dźwięk głosu dawał im przedsmak błogości przyszłych niezliczonych minut miłości, tak, jak chodząc tu i tam po ogrodzie oddychali wonią wszystkich kwiatów i wszystkich liści, których jednak nie widzieli.

— Jak pani Scilly zmieniła się już od tygodnia. odkąd tu jestem! — mówił. — Kiedym zastał ją znowu tak bladą, tak słabą, bardzo byłem niespokojny... Podobny miałem zawód, zobaczywszy Palermo ze statku, poszarzałe w całości od ulewnego deszczu.

— To prawda — podchwyciła Henryka, patrząc przed siebie oczyma, w których Franciszek wyczytać mógł wspomnienie o niedawnym smutku — nie bardzo czas sprzyjał dla twojej podróży. Po pierwszych dniach pięknych, któreśmy mieli, tak nas trapił widok z okna tego morza gniewnego z ogromnymi bałwanami... Mama i ja nie mówiłyśmy nic do siebie, ale wiedziałam, że miałyśmy tę samą myśl. Ona była jeszcze zbyt cierpiącą. Ten niepokój właśnie uczynił ją bardziej chorą w przeddzień twego przyjazdu... Ona jest tak tkliwa i tak cię kocha ..

— Kochana matka — rzekł młodzieniec, ściskając ramię dziewczęcia.

— Gdybyśmy były przynajmniej wiedziały, dokąd mamy ci posłać depeszę do Neapolu — ciągnęła dalej. — Kiedy nam oddano depeszę od ciebie, błysnęła mi nadzieja, że opóźnisz swój wyjazd, z powodu burzy... Jednakże miałam wielką ochotę zobaczyć cię jak najprędzej.. Była godzina dziewiąta... Tyś się znajdował na morzu.

Jakże tej nocy wiatr wydawał mi się straszny. Przysłuchiwałam mu się i modliłam... Myślałam także o biednej mamie, jak ona musiała cierpieć podczas tej okropnej wojny...

— Zapomnij już o tem — rzekł, przerywając jej.

Lękał się, ażeby nie wywołała wspomnień z dzieciństwa, które pozostały w niej żywemi i zawsze przejmowały ją drżeniem i sprowadzały łzy do oczu.

— Tak — nalegał — zapomnij o tem, a ja ci przyrzekam, że przy naszych staraniach i matka zapomni o wszystkich zmartwieniach i dawnych i świeżych, i wielkich i drobnych.. Jeżeli ona mnie trochę kocha, wiesz że ja ją kocham bardzo... Choćby nawet okazała się nieprzyjazną naszemu małżeństwu, i wtedy jeszcze zaprzyśiębiłbym jej wdzięczność, już dlatego samego, że spotkał w tobie to, com spotkał, czyli żywy dowód, że nie zawsze zawodzą najpiękniejsze marzenia młodości.

— Cicho bądź — teraz przerwała ona, rumieniąc się i położyła mu na ustach rękę, pozostałą wolną, a on ucałował przez rękawiczkę — znów zamierzasz mi pochlebiać, co wcale niedobrze, a nie będziesz patrzył na te piękne sosny wysokie, których lubię sylwetki, i na ten cudowny bukiet, który tworzą ich gałęzie tam wysoko, na to piękne *vaso*, jak się wyraził ogrodnik, gdy mi pokazywał pewnego dnia willę. Czyż tego nie dość, bo jaki tu wszędzie czuć artyzm w tym szczególnym kraju... Tylko że Sycylia tak daleko. Gdybyśmy mogli na przyszlą zimę znaleźć jaką siedzibę, któraby miała park, z takimi sosnami, drzewami i kwiatami,

w okolicy Paryża, ażeby podróż była mniej nużąca, tak na Prowancyi lub gdzie indziej..

— Obiecałem ci, że, z powrotem do Francyi, zatrzymam się tam i poszukam — odparł Nayrac. — Tak szczęśliwy jestem, że lubisz ten sam rodzaj przyrody, co i ja, i w ten sam sposób... Ale czyś zauważyła jeszcze dawniej w muzeum, kiedy zatrzymałem się przed Herku · lesem, zabijającym biedną Amazonkę, jak, zmówiwszy się wtedy, spostrzeżliśmy, że mamy te same upodobania we wszystkim?

— I to prawda — odrzekła Henryka — te same, zawsze te same. Ale nawet od pierwszego dnia kiedy cię zobaczyłam ..

— A w czym? — zapytał.

— Alboż można z tego zdać sobie sprawę? — podchwyciło dziewczę. -- Ale byłam pewna, kiedy po raz pierwszy przyszedłam do ogrodu, że ty przekładasz go nad inne... Ja nie czytałam wiele i jestem nieukiem, ale pewną jestem, że odrazu będę wiedziała, jaka ci się książka podoba...

— Jak to ciężko — podjął — gdy między dwój · giem istot niema harmonii, tej ściślej zgody.. Jakaż rozkosz marzyć dla mnie, że będziesz moją żoną, i to żo · ną z sercem, zupełnie podobnem do mojego. .

— A ty jesteś moim narzeczonym — odpowiedzia · ła półgłosem — moim drogim narzeczonym.

— A jednak — ciągnął dalej — radość tak głę · boka czyni mnie nieraz smutnym... Czemu zawdzięczać że tak jest? Jak mało brakowało, ażebym cię nie znał wcale? Gdybym był nie porzucił swego zawodu? Gdybym

porzuciwszy go, pojechał był do Włoch, aby tam osiąść, jak zamierzałem? Gdybym nie był poszedł do pani de Jardes w ową środę? Gdybyśmy się nie byli tego dnia spotkali?..

— Ja nie dopuszczam tych wszystkich *gdyby* — przerwała śmiejąc się figlarnie — czy nie mogliśmy się nie spotkać...

— A *gdyby* jednak? — podchwycił.

— Przyznaję, że to niedorzeczne — odpowiedziała, a twarz jej przybrała wyraz poważny i zamyślony — ale wiem, że nigdybym była nie wyszła za mąż...

Zatrzymali się i zamienili z sobą przeciągłe spojrzenie

On czytał po przez te piękne oczy niebieskie, aż do głębi duszy tej, która należała do niego. W duszy tej wszystko było niewinnością i prawdą. Wszędzie odga-
dywał uczucie najżywsze i najczystsze. Tem sercem dziewczem nie wstrząsnął nigdy jeszcze dreszcz i nie padł na nie żaden cień.

A dokoła tego milczenia ich palmy się kołysały, wiatr szemrał wśród sosen, krzaki róż i cytryn rozta-
czały swe wonie, zlekką odurzające, cienie liści drżały na marmurach, łabędź kąpał się na spokojnym stawie, słońce świeciło na rozległym niebie.

Sami byli na skřęcie tej alei, tak uczciwie i niewin-
nie sami, z obecnością błogosławioną najlepszej z matek, która była obok ich miłości, jakby po to, ażeby ją uświęcić.

Franciszek przyciągnął narzeczoną do serca i przyłożył usta do tego czoła, przez które nie przebiegła nigdy żadna zła myśl, a nawet go nie musnęła.

Wtedy uczuł się tak szczęśliwym że to szczęście zanadto zupełne, zanadto bezwzględne, przewyższyło nagle wszystkie władze jego istoty i przejęło go bólem po raz pierwszy, i cicho wyrzekł do swej „ukochanej“, jak pozwoliła mu się nazywać w takich chwilach:

— Zanadto jesteśmy szczęśliwi, boję się.

Ona z początku nic nie odpowiedziała.

Ale widział wyraźnie, jak cierpienie przeszło i w tych słodkich żrenicach, jak dreszczem zadrgały te usta na wpół otwarte.

Powieki dziewczęcia poruszyły się szybko, łono zafalowało, potem, spojrzawszy mu w oczy, uczyniła wysiłek, ażeby zapanować nad tem wzruszeniem, i wyrzekła z uśmiechem, pełnym odwagi:

— I ja również lękam się niekiedy, że jestem tak szczęśliwą. Ale bać się tak nie należy. Kiedy się nic niema na sumieniu, czyż się nie jest z Bogiem?..

* * *

Franciszek nieraz musiał sobie przypominać to dziwne wrażenie niepokoju, które go ogarnęło tego poranku — ostatniego poranku ich zupełnej radości — i które odnalazło taki oddźwięk w jego narzeczonej, wtedy gdy wszystko dokoła zdawało się harmonizować zupełnie w ich sercach.

Żadną miarą nie mogli podejrzewać niebezpieczeństwa, które zagrażało temu błogosławionemu spokojowi ich miłości o tej godzinie.

Czyżby wtedy mieli jednocześnie jedno z tych przeczuć, z których wyśmiewa się nasz sceptycyzm, jakkolwiek ludzie, którzy nazywali się: Napoleon i Goethe uważali za możliwe to objawianie się przyszłości w pewnych chwilach natchnienia?

Czyżby tylko powodować się dawali temu cierpieniu radości, szczególnemu lecz niezaprzeczalnemu objawowi, w którym się mieszczą zarazem męczarnie nerwowe, pod naciskiem zbyt silnego wrażenia i widok nerwowej przyszłości?

Czyż nie nosimy w sobie wszyscy instynktu tego wielkiego prawa ludzkiego, wyobrażonego symbolem tragicznym w starożytności przez Nemezis, przez złowrogą moc wyroków fatalnych, w których Grecy wcielali mniej jeszcze sprawiedliwości niżli zazdrości Bogów?

Zapewne można dać pozornie wytłomaczenie naturalne tych wszystkich uprzedzeń tego rodzaju, i dodać nawet, że zresztą przecucia w większej ilości wypadków bywają zawodne, czego dowodem fakty. Gdy jednak przeciwnie, fakty te je usprawiedliwiają zbiegiem okoliczności niespodziewanym i jakby piorunującym, najmniej zabobonny nie może się powstrzymać od drżenia. Zdaje nam się wtedy, że widzimy po za przypadkiem zewnętrznym cechy tajemniczego przeznaczenia, i jakkolwiek bądź pospolite jest prawo tego objawienia, wstrząsa ono na chwilę do głębi całą naszą istotą.

Dla Franciszka to wrażenie przejmujące musiało być tem silniejsze, że zawsze walczył przeciw tej skłonności do fatalizmu, która oświetlana i kierowana wiarą, dochodzi w duszach, pełnych nadziei i rezygnacji do wierzenia w opatrność, do tej pierwszej podstawy całego życia, prawdziwie religijnego.

Dla młodzieńca — chociaż wychowany nabożnie, zachował nawet ten chrześcjanizm pozorny, właściwy jego sferze społecznej i czasom — religia przedstawiała się tylko jak najszlachetniejsza z hipotez.

Opatrnością jego były piękne oczy niebieskie jego narzeczonej, i kiedy szedł sam po wyjściu z ogrodu willi Tosci, przez ulice Palermo, białe od promieni słonecznych i ciemne od smug cienia, nie potrzebował czynić wysiłków, ażeby zapomnieć o tym nieokreślonym dreszczu obawy względem przyszłości, który miał się w nim ponowić, ale za następnym razem mając bardziej wyraźną przyczynę.

Jak na teraz z całej przechadzki tej zachował samo tylko rozkoszne uczucie.

Mając kilka sprawunków do załatwienia, opuścił Henrykę i panią Scilly, udając się do *Hotelu Kontynentalnego*, gdzie mieszkali wszyscy troje.

Przejeżdżał środkiem dwóch długich ulic, które kończą się przy placu, zwanym *Quattro Canti* i dzielą Palermo na cztery części, prawie równe.

Nigdy nie napawał się bardziej tym wdziękiem egzotycznym miasta owego, które ma w sobie coś ze Wschodu, z Hiszpanii i z Włoch; przy swych frontonach w stylu rococo, ozdobionych statuami, z wązkimi sklepami, w któ-

rych kupcy stoją milcząco i obojętni, jak w bazarach tureckich, z pałacami, przystrojonemi rzeźbami, z Madonnami i Chrystusami, uwięzionymi w niszach, które oświetla lampa zawsze gorejąca, z przejeżdżaniem powozów, malowanych scenami, barbarzyńsko kolorowanemi. I jakież to sceny: Medor i Angelika, Gotfryd Bouiloński, zdobywający Jerozolimę, Garibaldi ze swem wojskiem.

Nigdy też młodzieniec, przeszedłszy łuk tryumfalny ku portowi, nie zachwycił się bardziej tak szeroką i tak szlachetną linią zatoki

Stanąwszy przed bramą hotelową, wychodzącą na wybrzeże naprzeciw ślicznego ogrodu willi Julii, obrócił się, ażeby spojrzeć zdała od portu na to morze tak niebieskie, z sylwetką nagą i czerwoną góry Pellegrino, poświęconej również jak łuk tryumfa'ny świętej Rozalii.

Już o przeczuciu swem zapomniał zupełnie i nie przypuszczał też zgoła, ażeby to spojrzenie zachwytu dla pięknego krajobrazu było zarazem spojrzeniem pożegnania — pożegnania tych dni doskonałej czułości, pożegnaniem odmłodzenia, dla duszy jego pożądanego i już poczętego, pożegnaniem rajy idealnego szczęścia dozwolonego.

Najzwyczajniejszy wypadek wystarczyć miał dla zburzenia tego zamku marzeń, gdzie chronił się od sześciu miesięcy, i postawił go znowu naprzeciw cierpienia moralnego, tak okrutnego, jak te, których ślady dawały się poznać zbyt często w wyrazie jego ust i oczu.

Było ono raptowne i proste, jak owe, wypadki straszne: wykolejenie się pociągu, trzęsienie ziemi, zawalenie

domu, których wydarzenie się jest tem bardziej prze-
rażające, że następuje tak szybko, tak nagle.

Wchodząc na korytarz hotelu, Franciszek Nayrac
zobaczył, że odźwierny porządkuje listy, przybyłe stat-
kiem rannym.

Człowiek ten, olbrzymi Niemiec, z długą brodą ja-
snowłosą, mówiący wszystkimi językami, ubrany we
wspaniałą liberyę i na głowie z szerokim kaszkietem,
kapiącym od złota, przekładał koperty z taką zręczno-
ścią, jak gracz przekłada karty z wprawą prestidigi-
tatora.

Ołówek jego czerwony bazgrał na każdej z nich nu-
mer pokoju adresata, a kilka osób stało przy nim, czeka-
jąc, aż skończy to zajęcie, a czekało z tą niespokojną
i prawie chorobliwą chciwością korespondencyj, jaka
daje się widzieć szczególnie w biurach pocztowych na
wyspach, gdzie rzadkość przesyłek pocztowych podnieca
ich pragnienie.

Wszystkie postacie tego obrazka kosmopolityczne-
go, do którego Franciszek był przyzwyczajony, ileż razy
zobaczył jeszcze później, bo obecne były one przy tem
niezwykłym zdziwieniu, jakie w niego ugodziło w tej
chwili.

Zamiast udać się wprost do swego pokoju, zatrzy-
mał się machinalnie, ażeby również zaczekać na listy
i niemniej machinalnie zaczął przebiegać oczyma spis,
w którym się znajdowały wypisane nazwiska podróz-
nych, stojących w hotelu.

Nagle uczuł jak mu serce żywiej zabiło. Wzruszenie prawie przestraczem ścisnęło mu gardło. Nogi zadrżały.

Zbliżył się do szafeczki z adresami, ażeby wśród nazwisk, które znał prawie wszystkie, wyczytać przedostatnie osoby, co zapewne przybyły przed kilku godzinami lub w nocy.

„*Pani Paulina Raffraye*“ — a obok mała uwaga — „wraz z rodziną“, potem, jako wskazówka miejsca, zkąd przyjechała:

„*Zamek Molamlooz przez Auboiss — Francja.*“

Młodzieniec przez kilka sekund stał, jak gdyby zahipnotyzowany był temi zgłoskami, w które widocznie wierzyć nie chciał; potem gdy odźwierny, wreszcie uwolniwszy się od niecierpliwych, wychodził ze swej stancyi, z pakietem listów w ręku dla rozdania, zawołał go, aby mu pokazać to nazwisko.

Zapewne samo już wymienienie tego nazwiska sprawiało mu przykrość, gdyż odezwał się tylko:

— Nie widziałem, ażeby ta dama była tutaj. Czy przyjechała dzisiaj?

— Przyjechała pociągiem z Mesyny wczoraj — odpowiedział olbrzym.

— Wszak to Francuzka?

— Tak, panie.

— I nie sama?

— Nie, panie. Ma z sobą dziewczynkę ośmioletnią czy dziesięcioletnią i dwie służące.

— Chciałbym się dowiedzieć, czy to ta, którą znam — rzekł Franciszek i spostrzegając, iż to wypyty-

wanie jest dziwne, dodał, ażeby zmylić łatwą do zrozumienia ciekawość zapytywanego a zarazem otrzymać od niego objaśnienie:

— Wszak ta dama już w wieku i bardzo wysoka?

— W wieku, nie, panie — odparł Niemiec. — Trzydzieści, a najwyżej trzydzieści pięć lat może mieć.. Trudno to wiedzieć. Wygląda tak słabowicie.. A mała jest, drobna .

— No — rzekł do siebie Franciszek, wchodząc na stopnie schodów — trzeba mieć odwagę, ażeby się z temi rzeczami wprost zmierzyć To jej zamek, jej nazwisko, imię, wiek, wiek jej córki.. To ona ..

Powtarzał sobie nazwisko Pauliny Raffraye, przebywając dwa piętra schodów, prowadzących go do numeru.

W innych okolicznościach wszelkich głęboko zostałby wzruszony wiadomością, iż się znajduje pod tym samym dachem, co i jego dawna kochanka — bo tylko dawna kochanka posiada władzę wzburzenia do tego stopnia narzeczonego, tak rozkochanego, jakim on był.

Ale dowiedzieć się o tej obecności, prawie w owej chwili, kiedy Henryka i on zostali przejęci dziwnem przecuciem nieznanego nieszczęścia, musiało to jeszcze bardziej wzmódz w nim niepokój, tem więcej, iż nazwisko pani Raffraye przypominało mu nietylko najnamiętniejszy epizod z jej młodości, Ona mu przedstawiała istotę, w której, jak mu się zdawało, odgadywał najjawniejsze otchłanie przewrotności, tę, która była dlań najfatalniejszą, która była złym duchem przez lat tyle

w życiu, tę, dla której był nieubłagalnie surowym, prawie okrutnym.

I ta kobieta przyjechała do Palermo, kiedy tyle jest innych stacyj zimowych, i stanęła w tym samym hotelu, kiedy w samem Palermo znajduje się tyle innych i słynniejszych hoteli, i to w jakiej chwili?

Kiedy on właśnie znajdował się w tym ustronnym zakątku świata, gdzie miał prawo przypuszczać, że dobrze jest ukryty przy boku dziewczęcia, przez które był kochany i które miał zaślubić.

I młodzieńcowi, którego wrażliwość żywa, jeszcze bardziej podnieconą była świeżemi wspomnieniami ranej przechadzki, musiała przyjść do głowy i przyszła myśl, że tę obecność przypisać należy jakiemuś planowi, działaniu nieznanemu i groźnemu.

Ta myśl szalona opanowała go, w tym czasie, kiedy wchodził do siebie, przejęty obawą i połowicznym odurzeniem z przestachu niedorzecznego, chorobliwego, nieprzepartego.

I tak dalece był pod tym wpływem, że twarz miał jeszcze zmienioną, gdy wchodził do gabinetu, gdzie zwykle jadł obiad w towarzystwie pani Scilly i narzeczonej.

Musiał być wystawionym na niespokojną troskliwość tej ostatniej — musiał poraz pierwszy udawać, i zmianę oblicza oraz humoru złożyć na karb migreny, spowodowanej słońcem, on, co od tylu dni, żył przy Henryce z sercem otwartem dla serca, w tak ciągłym i wzajemnym zwierzaniu się z myślami

Musiał na tej łagodnej i czulej twarzy widzieć najtkliwszy niepokój, a cierpienie, jakim go przejmowała ta konieczność kłamania i zarazem trawiąca troska, tak go straszliwie udręczały, iż musiał do pokoju swego odejść na całe popołudnie pod pozorem wzmagającego się bólu głowy.

Za jaką bądź cenę chciał zebrać myśli i przyjrzeć się tym danym, jakie stawiał ów problemat, który nań w tak tragiczny sposób ściągnęło to nagłe przybycie, a teraz ani na chwilę nie przypuszczał, ażeby ono nastąpiło nie naumyślnie.

Jakże jednak dokonać tego przeglądu, nie wywołując wypadków wszystkich i snów wszystkich przeszłości, która zbyt okrutną stanowiła sprzeczność z tą przeszłością, jaką matka Henryki, pieściła kilka godzin przedtem, z owemi wspomnieniami tak delikatnemi i niewinnemi?

O! jakże to smutno czuć cierpką gorycz i niegodną miłość, niegdyś pożądaną, a potem uważaną za skończoną, która na nowo rzuca się na duszę, i to w chwili, gdy dusza ta upaja się aż do zachwyty, radością innej miłości, pełnej smutku i nadziei!

— A jednak — jęczał Franciszek, gdy został sam i mógł puścić wodze wspomnieniom — czyż nie powinienem być dla niej umarłym, tak jak ona umarła dla mnie?..

II.

Dawna kochanka.

Tyle lat!

Gazety, pod opaską złożone, które łokciem guiółł młodzieniec owego popołudnia, rozpoczętego pod tak bolesnem wrażeniem, nosiły datę 1886 roku, a on po raz ostatni w roku 1877 rozmawiał z Pauliną Raffraye.

A po raz pierwszy spotkał ją w zimie 1876 roku

Zaledwie dwanaście miesięcy jego życia mieściło się w tem wspomnieniu o kobiecie. Ale miłość, która po sobie pozostawia niezatartą bliznę, nie należy zawsze do długotrwałych, ani do tych, które obfitują w wypadki romantyczne lub tragiczne.

Jeżeli kochanka zraniła głęboko chorobliwe miejsce w sercu, to chociażby odeszła od nas po kilku tygodniach, pozostaje dla nas niezapomnianą i nazawsze żyjącą.

Między nią a sobą stawiamy odległość, czas, inne twarze, inne pieszczoty, inne radości, inne boleści.

Nic nie pomaga.

Mamy ją we krwi, jak powiada energiczne a tak trafne wyrażenie ludowe.

Dodać trzeba, iż to pierwsze spotkanie Franciszka Nayraca z Pauliną Raffraye nastąpiło w warunkach dla niego szczególnie niebezpiecznych.

Miał wtedy dwadzieścia pięć lat.

Straciwszy bardzo młodo ojca i matkę, przeniósł całe uczucie rodzinne na siostrę jedyną, panią Julię Archambault, źle ożenioną i niezbyt szczęśliwą

Ta siostra, starsza od niego o lat cztery, wychowała go w trudnym okresie resztek młodocianego wieku, kiedy czułość na nic się nie przyda, jeżeli nie towarzyszy jej pojmowanie bardzo trafne prawdziwych praw świata społecznego.

Julia przedewszystkiem chciała brata zachować przy sobie. Odbył więc studia prawne zaraz po wyjściu z kolegium, z którego ukończeniem opóźnił się o rok jeden z powodu wojny, i miał już awanturki bardzo błahe i pospolite, o których dowiedziawszy się, wielce się przestraszyła.

Myślała, że majątek i próżniactwo mogą zgubić go, i uznała za poświęcenie wielkie ale konieczne, zająć go i to zająć zdaleka od Paryża.

Smutne doświadczenia z własnego małżeństwa wszczepiły w niej to uprzedzenie ku stolicy, tak częste u pewnych kobiet bardzo uczciwych.

Myliła się.

Jeżeli łatwość uciech napotykaných w tem mieście zgubną jest dla wielu młodzieńców, zbyt wrażliwych lub zbyt próżnych, samotność moralna i umysłowa na prowincyi lub zagranicą jest o wiele fatalniejsza znów dla innych, usposobionych już do nadużyć życia imagijnacyjnego i czułościowego.

W tem mieście się cała historia Franciszka.

W Paryżu pierwsze jego uniesienia prędko by go

ły i uczciwość wrodzona była by go popchnęła



do tego, co daje najprędzej szczęście: do wczesnego ożenienia.

On zaś na skutek rad, a nawet błagań, wdawszy się w zawód dyplomatyczny, do którego nie miał wcale upodobania, na swe nieszczęście został mianowany sekretarzem przy jednym z mniejszych poselstw w Niemczech.

W roku 1876 przepędził więc dwa miesiące w Monachium, prawie sam sobie tylko oddany, zajęty czytaniem, rozmyślaniem, wyczekiwaniem na życie, zamiast rozpoczęciem już tego życia.

Te dwa lata wreszcie rozwinęły w nim stan bardzo szczególny, który daje się napotkać niekiedy u małej garstki młodzieńców, przeznaczonych przeważnie na zostanie artystami, lub literatami, a znacznie częściej u młodych kobiet, niezadowolonych ze swego losu, lub pozbawionych ścisłych obowiązków. Ten stan, niebezpieczniejszy znacznie dla mądrej higieny przyszłości, niż błaha rozpusta, głęboko określony został przez najbardziej ludzkiego i najbardziej niepokojonego z Ojców kościoła. Polega on na zbyt niemiłym kochaniu kochania — a choroba ta lekka, jeżeli trwa krótko, zgubną bywa i płodną w następstwa fatalne, jeżeli się przewleka.

Ten kto lubi tak kochać, znajduje upodobanie w ułudzie romansów wyobrażonych, które jak się zdaje rzeczywistość prędko rozproszy. W istocie zaś przyzwyczajają się powoli do uważania za nic tego wszystkiego, co nie dotyczy zblizka lub zdaleka uniesień miłosnych. Interesy i obowiązki jego zawodu cofają się w jego myśli na plan drugi.

Marzenie szlachetne i mężkie o założeniu rodziny, marzenia o służeńiu wzniosłej sprawie idealnej wiedzy, sztuki lub polityki, i bardziej osobiste — odznaczenia się tryumfami w karyerze — te zasady czynnej działalności słabną, gasną, nikną, ustępując miejsca ciągłym myślom o nieokreślonym jutrze sentymentalnym.

Kiedy nastanie to jutro, i jakim będzie?

Ten, kto kocha kochanie, dni, tygodnie, miesiące, poświęca, ażeby rozpamiętywać tę zagadkę, zawczasu dramatyzować namiętności, wyczerpując ich radość i nicłość, przed ich zaznaniem, oddając się wyrafinowaniu i przesytowi, aż do czasu, kiedy przez tę rozpustę w wyobraźni, przez ten szal rozwiążności umysłowej dochodzi wreszcie do wyjątkowej mieszaniny zepsucia z naiwnością.

Najsubtelniejsze odcienia zalotności są mu właściwe, zna doskonale fortele uwodzenia; zna wszystko, co teoretycy sercowi przedstawiają anatomicznie.

Jednocześnie zachowuje jakby dziecinność prawdziwych wzruszeń, która pochodzi z wieku i niewinności fizycznej dni jego i nocy.

Franciszek znajdował się w tej pierwotnej młodości, powikłanej skutkiem wspomnień wczesnej zmysłowości, kiedy siostra jego, Julia Archambault, spotkała się z Pauliną Raffraye, również bardzo źle mającą pożycie małżeńskie, i zbliżyły się one do siebie gorącą przyjaźnią, jakby skutkiem wspólności smutnych przeznaczeń, potrzebą zwierzeń i sympatyj, uczuciem nieprzychylności lub obojętności świata, jakie tak łatwo ściągają na siebie młode opuszczone kobiety.

Listy Julii były dla Franciszka wielkimi wypadkami na jego wygnaniu. Pisała z takim wdziękiem umysłu i pojmowała tak dobrze, z taką wyrozumiałością, pewne rzeczy subtelne w sercu brata, te które mógł jej powiedzieć!

Od tej chwili listy jej przepełnione były Pauliną, tak samo, jak w rozmowach między Julią a Pauliną, ciągle Franciszek był na ustach.

Przypadek podwoił ciekawość, jaką pani Raffraye i Nayrac musieli odczuwać względem siebie.

Podczas dwóch podróży, które Franciszek odbył do Paryża, po zaprzyjaźnieniu się jego siostry z Pauliną, ta za każdym razem była nieobecna.

Potem zbliżyła ich okoliczność, zdolna wzruszyć dwie osoby, najzupełniej dla siebie obojętne.

Panią Archambault w ciągu kilku dni zabrał z tego świata tyfus, i w tym pokoju konającej, Franciszek, powróciwszy jaknajśpieszniej z Niemiec, po raz pierwszy ujrzał sylwetkę Pauliny, włosy jej brunatne, piękną twarz nieco bladą, ale ożywioną oczyma jasnymi, prawie szaremi, pociągająco smutnymi.

Za wsze czasy poeci godzili się z fizyologami, iż węzeł tajemniczy łączy wzruszenia z powodu śmierci, z wzruszeniami miłości.

Czyż potrzeba odwoływać się do zagadkowych potęg natury, ażeby stwierdzić, że u kobiet, prawdziwie tkliwych, najniebezpieczniejszym pomocnikiem upadku jest litość. jak rozpacz ze straty niepowetowanej jest dla mężczyzny najniezwykłego, niepokonalnym doradczą wymowy naturalnej?

Franciszek i Paulina płakali razem.

Widziała go cierpiącego i żałowała go.

On widział ją żalującą i czuł się wzruszonym.

Tak ładną była, tak delikatną.

Stosunek jej był tak smutny z Raffrayem, pospolicym i brutalnym hulaką, który, zaślubiwszy ją dla pieniędzy, prędko powrócił do wszetecznic, po wstrętnej scenie małżeńskiej, która na zawsze pozostawiła odrazę niewysłowioną w sercu młodej mężatki.

Znaleźć otóż u innego mężczyzny pieśczośliwe i delikatne obejście, uczucie serca prawie kobiecego, widzieć często ze strony tego człowieka wzruszającą poufałość, której nie można wyrzucać sobie, tak podstawa jej szlachetną jest—to niezaprzeczenie doświadczenie, zbyt drażliwe i niebezpieczeństwo bardzo wielkie.

Julia umarła w miesiącu marcu. W miesiącu maju Franciszek jeszcze nie opuścił Paryża. Otrzymał od ministeryum nieograniczony urlop. Był kochankiem pani Raffraye.

.....

Smutna ta miłość, rozpoczęta wśród łez i atmosfery śmierci, miała również ciągnąć się wśród łez, udręczeń potajemnych, myśli gorzkich i skończyć się miała pełną wstydu nienawiścią, jaką cudzołóstwo aż nadto w sposób naturalny wylania z ciemności.

Dziś jeszcze, i po miesiącach i miesiącach, kiedy Franciszek dowiedział się o niespodziewanej obecności Pauliny, wspomnienie tej nienawiści tak go właśnie wstrząsnęło dreszczem, tak nią miał serce zatrute, aż do najtajniejszych stron, że, myśląc o tem, jak czynił o tej s1-

motnej godzinie popołudniowej, nie zdołał jeszcze zrozumieć głębokiej istoty tego dziwnego niepokoju, do jakiego doszła prawie natychmiast nadzieja, występna bezwątpienia, że tak daleka, jak mu się zdało, odgraniczała go odległość od tego debiutu miłości.

Pomimo tej perspektywy czasu, która pozwalała przebaczyć wszystko, ponieważ pozwala dojrzeć pierwiastek fatalności, zamieszany do najbardziej obmyślonych postępków naszych, nie zdawał on sobie sprawy, że nieporozumienie, na pozór nie znaczące, w rzeczywistości niepowetowane, zgóry już przeznaczyło tę miłość na cierpienia najboleśniejsze.

Paulina i Franciszek kochali się rzeczywiście dawniej, ubóstwiali, posiadali, zanim, że tak powiemy, poznali się nawzajem. Serca ich się tak oddały i osoby, zanim mieli dokładną świadomość swoich charakterów.

Młoda kobieta знаła tylko te rysy charakteru młodzieńca, o których mówiła jej Julia. Widziała w nim zrozpaczonego brata, samotnika bez szczęścia, romantyka, pozostałego bez romansu.

Był on tem wszystkim, ale zarazem miał zmysłowość wysoce podnieconą i czułość drażliwą, wyobrażenie zepsutą, niedowierzającą i udęczaną, podejrzliwy był i niespokojny, z umysłem okropnie spaczonym przez nadmiar rozmyślań i rojeń, wreszcie miał duszę, niezdolną do szczęścia, w której namiętność, połączona z rozwiązłością, musiała przejść w zazdrość z przestraszającą łatwością

A cóż on widział w Paulinie?

Słodką powiernicę ukochanej siostry, dziecko tak młode i nieświadome życia, a już skute raniącym, nierozzerwalnym łańcuchem, istotę sponiewieraną i zdeptaną w największej delikatności, w najszlachetniejszych drażliwościach.

I rzeczywiście była ona tem wszystkiem, ale zarazem kobietą światową, bogatą, elegancką, przyzwyczajoną od sześciu lat fatalnego pożycia do nieustannych rozrywek w postaci ciągłego wychodzenia z domu, obiadów, wizyt, widowisk — jałowych przyjemności, które stają się potrzebą, gdy pozwalają uciekać z domu zniemawidzonego.

Wreszcie, ażeby wyznać zupełną prawdę, była to jedna z tych kokietek, naiwnie próżnych, które chcą błyszczeć, ponieważ chcą się podobać, a które to niezmierne pragnienie wciąga zbyt często do towarzystwa nieco swobodnego, do tych drobiazgowych poufałości, tak nadających się do obmowy.

Zdawało się, że z wtargnięciem nowego szczęścia te drobne wady muszą zniknąć, i tak by się niewątpliwie stało pod wpływem nowego kochanka, łagodniejszego i naturalniejszego od Franciszka.

Tu jednak przeciwnie wzmogły się wady z powodu tego, co może było najlepszem w jego charakterze.

Pomimo czułościwego zepsucia, w którym sobie upodobała jego wyobraźnia, nie stworzony był na kochanka cudzej żony.

Wielce religijnym był za czasu pierwszej młodości i skutkiem szczególnego kontrastu, wszakże dosyć częstego, marząc tylko o miłości przez lata całe i pojmu-

jąc ją jedynie pod zakazanemi postaciami, zachował w sobie obok popędów cielesnych głęboką potrzebę harmonii między sumieniem i namiętnościami.

Ta osobliwa cecha właściwa jest wielu ludziom, którzy byli prawdziwie nabożnymi. Są oni gotowi zawsze cierpieć za winę, którą kobieta ukochana popełnia nawet na ich korzyść

Zaparcie się uczciwości, które wynika z cudzołóstwa, staje się dla nich nieszczęściem, i nie bez potajemnego oburzenia oddają się kombinacyom dogodnym, jakie z pożycia we troje daje najdoskonalsze rozwiązanie problemu miłosnego i małżeńskiego.

Franciszek przyłączył tu natychmiast trochę tej szalonej zazdrości kochanka względem męża, tego uczucia, o którym myślał zawczasu, ażeby sobie oszczędzić tortury.

Jeżeli zgodził się bywać w domu pani Raffroye, niepodobna mu było przyjąć jakiegokolwiek zażyłości z Alberykiem Raffroye.

Zawsze też starał się, ażeby się nie spotykać nigdy z tym człowiekiem, którego oszukiwał, pogardzając nim, ale którego bądź cobądź oszukiwał w sposób nieprzebaczalny.

Ztąd wynikło, że ich związek nacechowany został anomalią, którą Nayrac uważał za bardzo naturalną, a która skazywała go na niezawodne potępienie.

Miłość ta dla Pauliny, która tembardziej szanowała kochanka za jego delikatne skrupuły, stała się dla niej czemś na stronie, jeżeli można się tak wyrazić. Było to dla niej oazą czułości, w której pogrążała się jak we śnie,

zkąd wydostawała się, ażeby grzęznąć znów w rzeczywistości, tembardziej przykrej, im bardziej sen był słodkim i pięknym.

Wtedy spotykało ją to, co się zdarza wszystkim kobietom w tem położeniu, i dlatego właśnie kochankowie najczęściej instynktownie przekładają okrutną poufałość przy domowym ognisku nad tę niebezpieczną dwoistość przyzwyczajęń u ich kochanki.

W powrocie ze schadzek swych z Nayraciem, pani Raffraye musiała zastawać w domu i zastawała ze wstrętem twarz i pospolitość duszy męża i wtedy z większą jeszcze odrazą, i drżąc jeszcze od pocałunków tego, którego kochała, musiała uczuwać i uczuwała natychmiast potrzebę bardziej nieprzepartą, niż poprzednio, uciekania z tego domu, uciekania przed tym człowiekiem i pogrążania się w wirze światowym, który wcale nie tykał się jej romansu drogiego.

Tak mniemała przynajmniej, nierozważna!

A jednak zaledwie cztery tygodnie upłynęły, odkąd się oddała Franciszkowi, a już tenże cierpiał skutkiem tego przymusowego zawikłania stosunków życiowych, które kochanka jego przyjmowała bez gwałtu, które nawet sobie upodobała.

Bo, jeżeli była zakochaną, była również młodą, a szczęście jej miłości, podniecając wszystkie siły jej istoty, w pierwszym zaraz następstwie obudziło w niej pragnienie tak naturalne w dwudziestym piątym roku życia, żądzę ruchu i przyjemności.

Dwa są sposoby jednakowo prawdziwe noszenia przez kobietę wobec świata drogiej i występnej tajemni-

cy: być nią przygnębioną i cierpieć przez to wszystko, co nią nie jest, lub być nią upojoną i mieć upodobanie do wszystkiego, skutkiem wewnętrznej melodyi, która przejmuję zachwytem.

Jakkolwiek mężczyźni najczęściej nie chcą wierzyć w szczerść tego drugiego rodzaju miłości, istnieje ona wszakże, i na nieszczęście dla Franciszka, taką była miłość Pauliny.

Przyszła na jedną ze schadzek, czując nieco migreny po balu, z którego późno powróciła w przeddzień.

— Dlaczego nie wyszłaś z balu wcześniej? — rzekł do niej pomiędzy dwoma pocałunkami, tonem przyjacielskiej wymówki.

— Cóż chcesz? — odpowiedziała. — Dałam się porwać balowi. A zresztą — dodała, pieszcząc się palcami z włosami młodzieńca — wiedziałam że cię zobaczę dzisiaj, nie mogłam znieść tego oczekiwania. Gorączką mnie ono przejmowało, i tańczyłam, tańczyłam. Byłbyś mnie bardzo kochał. Byłam tak ładną, czułam, że byłam dla innych ładną!

— Ależ — podchwycił, ukrywając wrażenie przykre pod półuśmiechem i z miną żartobliwą — nie pomyślałaś, że mogę być zazdrosnym?..

Nie dokończył.

Widział ją w myśli z ramionami nagiemi, temi ramionami, których w tej chwili nawet, bo byli w swoich objęciach, oddychał wonią blizką, których piękność pieścił i w tej samej błyskawicy widzenia, ujrzał spojrzenia, westchnienia, pragnienia mężczyzn dokoła tej ubóstwianej szyi.

— Zazdrosny, a o co? — zapytała.

I stawiając to pytanie, miała oczy tak słodko oburzone, tak jej zdziwienie było szczere, że przycisnął ją do siebie prawie z szalem obłędu, jak gdyby udusić chciał w tym uścisku złowrogięgo szatana, którego czuł przejście między biedną kobietą a jego sercem.

Kiedy odeszła tego dnia, pozostał długo z twarzą, zagłębioną w poduszce, noszącą ślad jeszcze odcisnięcia jej ukochanej głowy, aromat jej długich i miękkich włosów.

Czuł się ogarniętym śmiertelnym smutkiem.

Szatan ukazał mu się w samej chwili jej odejścia.

Czyż nie spojrzała na zegarek o pewnym czasie, czyż się nie wyrwała mu, powiadając:

— Zapominam się, a muszę być za chwilę gotową! Jemy dziś obiad o godzinie siódmej, a potem idziemy zaraz do teatru.

III.

Dalsze wspomnienia.

Przecież te słowa były całkiem niewinne.

A jednak Franciszek Nayrac nie zapomniał, jak przykre mu pozostawiły wrażenie owego popołudnia o zmierzchu.

Daremnie przyznawał sobie tę niewinność i to, że sam pragnął, wymagał, iżby w niczem nie zmieniała swych przyzwyczajęń światowych, aby nie obudzić ciekawości i podejrzenia.

Daremnie przedstawiał sobie, jak Paulina była szczerą i pełną prostoty względem niego, jak mało była zalotną.

Daremnie odczytał listy, w których Julia mówiła doń o swej przyjaciółce, daremnie zmuszał się do myślenia o ich wspólnych łzach przy łóżku ich drogiej nieboszczki.

Zwątpił o sercu swej kochanki, a jeżeli zwątpienie o sercu kobiecem zawsze fatalnie oddziaływa na przyszłość uczucia, tembardziej jest ono takim, kiedy się stosuje do kogoś, z kim się przepędza tylko luźne godziny i gdy pochodzi od tego, który sobie zgóry wyobraża czarnem serce, skutkiem rozmyślań i zniechęcających czytywań.

A zresztą Franciszek nie zdawał sobie z tego sprawy, jak ci wszyscy, w których wyobraźnia rozwinęła kwiat uczucia, a może potrzebował cierpieć, ażeby czuć.

Okropne usposobienie moralne, które doprowadza tych, co je posiadają, do rozjątrzenia najmniejszych ran.

Zdawało mu się, że kockankę swą kocha tem bardziej, im mniej go ona kocha.

Nie sformułowawszy sobie tej pierwszej nieufności dość wyraźnie, zapytał sam siebie, czy doznawała ona dla niego takiej miłości głębokiej, jak mówiła.

Cierpiał, że ona doń nie należy jeszcze bardziej, a pojmując, że chmurzyć się na takie drobnostki było niedorzecznem, uczuł się nadmiernie, niesprawiedliwie, dziecinnie zazdrosnym, wistocie zazdrosnym napróżno i bez żadnego powodu, o ten świat, z którym ją musiał dzielić.

Jakże droga jest bystrą od nieufności tego rodzaju do innych wyraźniejszych, i jak mało potrzeba czasu, aby przemienić w sercu niespokojnem nieokreślone cierpienie z niezadowolenia bezprzedmiotowego w faktyczną boleść, obawę zawodu w oschłość, a nareszcie oschłość tę w obelżywe podejrzenie!

Franciszek przypominał sobie dobrze, jak walczył z własną dumą, ażeby w ciągu następnych tygodni nie przystąpić do śledztwa, względem osób, które tworzyły towarzystwo Pauliny.

Potem ustąpił temu pociągowi, zadając jej to takie to inne pytanie: „Gdzie jadła obiad i z kim? U kogo była z wizytą i z kim się widziała?“

Dziś kiedy go już nie paliła ta haniebna gorączka, rumienił się jeszcze za to badanie bolesne i lęклиwe, którem stopniowo zatruwał ranę, z początku tak lekką, aż do chwili, kiedy nieunikniona sprzeczka wybuchła między nimi.

Jakkolwiek scena ta trwała tylko kilka chwil, z jaką dokładnością przypominał ją sobie.

Jak zakręt drogi zmienia nagle cały krajobraz, tak on zdawał sobie sprawę, iż cała ich miłość zmieniła się przy pierwszym nazwisku, między nim a Pauliną wymó-

wionem, które oznaczyło i jakby skryształizowało, unoszące się pierwiastki jego nieufności.

Było to znowu na jednej ze schadzek przy kominku w ustroniu kawalerskiem przygodnem, w którym nawpół się urządził po śmierci siostry

Nie wątpił wcale, że nigdy go do reszty nie umebluje i że je opuści prędko, aby później odnaleźć tylko widmo tych godzin

Tego dnia czuli się szczególnie szczęśliwymi.

Paulina była wesola, śmiejąca się, z figlarnością dziecięcą w jasnych oczach, sama zaczęła opowiadać o spędzonym dnia poprzedniego wieczorze.

Znalazła się przy stole u jednej ze swych przyjaciółek obok niejakiego Armanda d'Quene, który zapewne starał się do niej zbliżyć, bo od pewnego czasu dawał się zapraszać wszędzie, gdzie ona bywała.

— Zdaje mi się — rzekła — że miałby ochotę mi nadskakiwać. Nie śmie, a jak mnie bawią jego komplementy, z którymi nie umie sobie dać rady i nie umie ich kończyć! Sprytny jest, a nie odgaduje, że mnie pilnuje drogie szczęście...

— Spodziewam się — odpowiedział Franciszek — że już go więcej u siebie nie będziesz przyjmowała.

— Ja? — pochwyciła — a to dlaczego? Ażeby pomyślał, że się go boję i jeszcze bardziej się zakochał... Musisz wierzyć memu taktowi kobiecemu. W rzeczach tego rodzaju, prawdziwym środkiem dla nas, jest *take no notice*, jak mówią Anglicy.

A gdy on milczał, spojrziała nań oczyma tym razem smutnemi i głosem nieco wzruszonym zapytała:

— Czyż mi nie ufasz, mój drogi?

Gdy zaś nie przestawał milczeć, podchwyciła tonem, którego dotąd u niej nie słyszała:

— Błagam cię, Franciszku, nigdy mnie nie narażaj na taką zniewagę.. Popełniłam taką wielką winę, oddając się tobie! O! Nie daj mi nigdy myśleć, że mnie nie szanujesz, z tego powodu cierpiałabym tak wielce, że stałabym się złą. Nasze szczęście od tego zależy: abyś ty wiedział, jak jest, i ażebym ja cię kochała na zawsze i wyłącznie. Gdybyś o tem wątpił, zrozpaczoną byłabym, bo nie mogłabym ci tego dowieść, skoro jesteśmy rozdzieleni...

— Gdybym jednak prosił cię, ażebyś dla mnie kogo innego poświęciła? — nalegał.

— Poświęcić kogo dla ciebie? — odpowiedziała, zmuszając się do uśmiechu. — Ależ nie mogłabym. Bo wprzód musiałoby mi na kimś po za tobą zależeć, a to nie możebne ..

— Pojmujesz mnie doskonale — podchwycił, urażony pomimowoli tym sposobem wymijania pytania.

Ta giętkość kobieca, tak blizka przebiegłość, raczej irytuje męczyznę, niżeli go nęci.

I ciągnął dalej:

— Chcę powiedzieć: cobyś uczyniła, gdybym cię prosił, abyś zamknęła swój dom przed kimś, naprzykład przed tym panem d'Quene?

— Naturalnie byłabym posłuszną, gdybym mogła — podchwyciła, wzruszając ramionami — ale o to nie będziesz mnie prosił. Nie chciałbyś mnie przecież znieważać i upokarzać.

Wobec tak prostej obrony, Franciszek nie przedłu-
żał tej małej utarczki.

Potem, jak wszyscy zazdrośni, roztrząsał sam przed
sobą, nieskończenie, najmniejsze słowa, najmniejsze
dźwięki głosu, wszelkie odcienia na twarzy swej kochan-
ki, kiedy się kryła

Bo ona kryła się przed nim

Nie dawał jej nawet kredytu, ażeby zajęła jego
miejsce i ażeby ją wtedy zapytał, co myśli o nim, co
wiedziała i jaki oddźwięk miały w niej takie słowa.

On widział tylko jedno: dlaczego nieodpowiedziała
mu poprostu, aby rozkazywał, a ona będzie mu po-
słuszną?

Kiedy zaczynamy cierpieć, miewamy popędy despo-
tyzmu, prawie potworne, którym kobiety kochające pod-
dają się — kiedy nie mają jeszcze lat dwudziestu sześciu

Trzeba znać życie, ażeby zrozumieć, że w miłości
niema drobnych nieporozumień, i trzeba także dość żyć,
ażeby zdawać sobie sprawę, do jakiego stopnia wzmaga
się u niektórych ludzi szal podejrzania, lub bolesna go-
rączka nieufności.

Niestety! Dopóki będą nieprzezorne Desdemony,
bez złej myśli uśmiechające się do miłującego je Cassia,
znajdą się zawsze Otellowie, ażeby niszczyć ich wspólne
szczęście, z powodu tego niewinnego uśmiechu, i nie po-
trzeba na to zdrajcy obok nas, ażeby w nas zaszczerpił
jad oszczerstwa.

My sami tak prędko stajemy się dla siebie Jagona-
mi i bardziej jeszcze od nich pomysłowymi w udręczaniu
się własnem, w łamaniu kołem katuszy.

Franciszek należał do tej nieszczęśliwej kategorii kochanków, którzy wciąż pragną jawności.

Ironia losu sprawia, iż oni to najczęściej bywają oszukiwani, bo jeśli napotykają łotrzycę, celuje ona w dostarczaniu im dowodów materyalnych, zawsze dobrych do zmyślenia, a jeżeli mają do czynienia z kobietą dumną, ranią ją tak głęboko, że staje się wtedy złą, jak się wyraziła Paulina w niewinności serca, nie wiedząc nawet, jaką złowrogą wygłasza przepowiednię.

Młodzieniec znajdował się więc pod wrażeniem nierozproszonem tego wewnętrznego cierpienia, gdy w trzy dni, po tej przykrej rozmowie, udał się na wizytę do pani Raffraye.

Odwiedziny te stawały się rzadszemi, odkąd była jego kochanką, a składał wizyty zwykle po śniadaniu, kiedy wiedział, że młoda kobieta przyjmuje gości.

Rzecz więc naturalna, że jej nie zastał samą.

Nie mniej było naturalnem, wobec tego co mu przed paru dniami powiedziała, że myśl złożenia wizyty przyszła również i baronowi de Quene.

Z nim właśnie przypadkiem spotkał się Franciszek.

Nieco zakłopotania w ruchach i spojrzeniu Pauliny, nieco poufałości w rozmowie ze strony Armanda, i aluzje o drobnych zdarzeniach towarzyskich, o których Nayrac nie wiedział — wszystko to wystarczyło, aby gdy kochankowie pozostali we dwoje sami, pograżyli się w milczenie, brzemienne burzą.

Paulina próbowała je pierwsza przerwać i, powstawszy, zbliżyła się do Franciszka, ażeby go ująć za rękę:

— Bardzo grzecznie z twej strony, żeś przyszedł — rzekła. — Nie spodziewałam się tak miłej niespodzianki.

— Widziałem to dobrze — odpowiedział szorstko, uchylając się od tej pieszczoty przyjacielskiej.

— Jak ty to do mnie mówisz? — rzekła ze smutkiem. — Rozumiem dobrze. Dlatego, żeś zastał u mnie p. de Quene. Ależ gdybym nie przyjmowała nikogo i ty nie byłbyś również przyjęty, i nie mielibyśmy dla siebie tych kilku minut. Nie psuj mi ich, nie psuj nam ich...

— Dlaczegoż więc jesteś tak pomieszana? — podchwycił.

— O! — rzekła — odgadłam natychmiast, że będziesz niezadowolony i niesprawiedliwy, tak niesprawiedliwy! — dodała.

Zmarszczyła piękne brwi ciemne. Oczy jej jasno-stalowe zbladły jeszcze bardziej i cisnęły spojrzenie gniewu. Policzki zabarwiła krew, i teraz mówiła dalej, ale już tonem ostrym i z groźnem rozdrażnieniem:

— Powiedziałam ci już, iż nie godzi się wyrządzać mi takiej zniewagi. Franciszku, kocham cię i ciebie tylko kochałam. Gdybym ci nie była wierną, byłabym ostatnią z istot. Chcę, czy słyszysz, chcę, ażebyś mnie szanował i żebyś mi ufał...

— To nie postępuj tak, jakbyś chciała uczynić to zaufanie niemożliwem — zawołał.

— Ja? — podchwyciła. — Ja? To ja ci uniemożliwiam zaufanie?.. No, nie wierzysz przecież, ażebym pozwoliła sobie nadskakiwać panu de Quene?

— Tak — odpowiedział brutalnie — ja wierzę.

— Wierzysz! — powtórzyła, jakby zgnieciona zdumieniem. — Wierzysz!.. A kochamy się dopiero od dwóch miesięcy! Ha! — dodała z wściekłością — wierz, jak tylko chcesz, o! to już zanadto ohydne!

Wejście nowego gościa nie pozwoliło się przedłużyć tej rozmowie.

Franciszek w swem chorobliwym usposobieniu odczuł wrażenie jeszcze bardziej gorzkie, gdy zobaczył, jak kochanka jego odgrywała rolę kobiety światowej, jak uśmiechała się do pierwszego lepszego przybysza, żartowała, rozmawiała z ożywieniem, którem czyniła ulgę swemu rozdrażnieniu nerwowemu.

On zaś w tem wszystkiem widział tylko zdolności komedyanckie, które go przejmowały zgrozą

Wszelako pogodzili się bardzo prędko, bo się kochali

Ale nieufność zbyt prędko zakradła się do serca młodzieńca i wzmagala się z przerażającą szybkością, jaką celuje ten chwast. w nas się rozrastający. W cudzołóstwie najstraszniejszym jest i to właśnie bywa jego niezwłoczną karą, że kochanek nie może walczyć przeciw ciągłemu dowodowi niemoralności, który mu składa jego kochanka przez ten sam już fakt, że jest jego kochanką. Wszystkie kobiety, znajdujące się w tem położeniu, czują to dobrze. Większość godzi się z tem a tem bardziej, że nikczemność cynizmu męskiego daje im prędko piękną sposobność wywzajemniania się za tę pogardę podobną pogardą.

Zresztą czego żądają od intryg, w których mają takie upodobanie, jeżeli nie wzruszenia?

A przecie wzruszenie i do tego przejmujące, daje takie brutalne obejście z wymówek, grożących od tego, którego namiętność rzuci za chwilę w wasze objęcia

Inne jednak brzydzą się taką tyranią i buntują się natychmiast przeciw niej z wściekłością, czy dlatego, że cierpią skutkiem niej szczerze, jako niewinne, czy też dlatego, że w oburzeniu tem widzą ostatnią rękojmię swej swobody.

Paulina nie chciała się poddać przy pierwszym ataku zazdrości, z jakim na nią napadł Franciszek

Nie ustąpiła nawet przy drugim.

Kiedy się pogodzili, przysiągł jej, że już nigdy nie wspomni o Armandzie de Quene.

Obsypał ją wszelkimi obietnicami, odurzony tem, że jest tak łagodną, tak ładną, tak drżącą z rozkoszy na jego sercu.

Potem nie umiał dotrzymać przysięgi

Mówił znów jej o swym rywalu, czyli o tym, którego za rywala uważał, i mówił tym razem brutalnie.

I po raz drugi stawiała mocny opór, ale od tej chwili sceny między nimi następowały jedne po drugich, pchając go do najrozpaczliwszych przypuszczeń, do najdespotyczniejszych wymagań, a nie pojmował tego oporu, pełnego oburzenia, z jakim występowała wobec rozkiełznania jego szału.

Kiedy mu wreszcie ustąpiła, po najostrzejszej z tych rozmów, było już zapóźno.

Już wymówione zostały między nimi takie zdania, jakie na zawsze znieważają związek.

Kochanek zanadto się uniósł w okrucieństwie za-
zdrości, kochanka zanadto dała się sponiewierać.

Za wiele obrazy wstąpiło do tych dwojga biednych
serc.

.

Pod koniec miesiąca lutego owego fatalnego roku
1877, powrócił do Paryża po długiej podróży na Wscho-
dzie pewien człowiek, którego nazwisko często było
wspominane przedtem przez Paulinę i Franciszka. Był
to Franciszek Vernaute, krewny daleki Raffraya.

Młoda kobieta mówiła o nim zawsze wzruszonym
głosem, jako o jedynym przyjacielu, jakiego napotkała
w najwstrętniejszym okresie swego małżeństwa.

Dlaczego Nayrac przedstawiał sobie w wyobraźni
tego pocieszyciela, jako człowieka bardzo posępnego,
i zdziwił się niezmiernie, gdy został przedstawiony
Vernautowi przez panią Raffraye, bo zobaczył męż-
czyznę trzydziestokilkoletniego, nadto młodego pod
względem twarzy i postawy, jak na bezinteresowanego
powiernika.

Stosunki są zawsze bardzo trudne między kochan-
kiem kobiety, a przyjacielem bardzo zaufanym tejże ko-
biety, nawet wtedy, gdy kochanek ten upewnił się zu-
pełnie, że przyjaciel ten był zawsze tylko przyjacielem.

Kiedy kochanek znajduje się względem swojej ko-
chanki w przystępie zwątpienia, coraz bardziej rosnące-
go, jak może tolerować, nie cierpiąc aż do szału, taki
stosunek, w którym stopień poufałości pozostaje zawsze
tajemniczym?

Stało się więc nieunikniane, iż Franciszek Nayrac będzie zazdrosny o Vernauta.

Ponieważ jednak przeczuwał, że zazdrość ta oznaczać będzie koniec miłości, nie poddał się jej odrazu.

Zresztą kochanka uprzedziła ten jego atak nowy, gdyż w przeddzień powrotu dawnego przyjaciela, sama o nim wszczęła rozmowę, w ten sposób ażeby nic nie po zostawić niejasnego.

— On w naszym domu jest prawie jak u siebie — rzekła. — Dla mnie jest bardzo potrzebny. Jedyne to z moich przyjaciół, który jest zarazem przyjacielem mojego męża. Uprzedzam cię o tem — dodała ze smutnym uśmiechem — ażeby sobie i tobie oszczędzić z tego powodu przykrości... Co prawda, czy to się na co przyda? Wszak nic mi nie wierzysz. Dlaczegożbyś więc miał wierzyć w tę okoliczność?.. Umrzeć mogę, a ty nie uwierzysz...

Franciszek widział ją znowu, jak tak mówiła, i widział siebie znowu milczącego.

Kiedy między kochankami odezwą się słowa, których słusność czują oboje, wtedy jakby światło roztoczyło się naraz nad ich przeszłością i opanowywa ich przestraszach.

Dwa tygodnie upłynęły, a Nayrac jakby wcale się nie chmurzył na poufałość, jaka widocznie łączyła nowego przybysza, a raczej dawnego bywalca z panią Raffraye.

Na trzy wizyty, które złożył w ciągu dwóch tygodni, dwa razy spotkał Vernauta. Dwa razy jadł obiad

na mieście, w tych samych towarzystwach, co i Paulina, i za każdym razem Vernaute był tam również gościem

Dwa razy miał schadzkę z Pauliną, a z pytań, które jej zadał, wynikało, że albo Vernaute był u niej na śniadaniu dnia poprzedniego, albo miał być nazajutrz, że była z nim w teatrze, albo miała z nim iść.

Wobec każdego z tych drobnych faktów, nic nie znaczących pojedynczo, ale bardzo znaczących przy ich wzajemnem połączeniu, Franciszek czuł wzrastającą antypatyę.

Tem bardziej silniejszą się stawała, że między Vernautem a nim zachodziło pewne podobieństwo z natury i temperamentu.

Taki rodzaj analogii stanowi właśnie najgłówniejszą podstawę współzawodnictwa.

W końcu, pomimo wszelkich postanowień powziętych i obietnic danych, zazdrość wybuchła i to tem gwałtowniej, im dłużej była powściąganą, tak, że postawił przed Pauliną wybór:

— Albo ja, albo on. Albo przestaniesz u siebie przyjmować pana Vernaute, albo noga moja nie postanie u ciebie...

Wtedy Franciszek napotkał taki opór ze strony kochanki, tak niepokonalnie wyraźny, że nastąpiło pierwsze zerwanie.

Dziesięć dni jej nie widział, a Paulina nie dała żadnego znaku, ażeby zbliżyć do niego.

Pierwszy ustąpił... co za słabość!.. i poszedł, ażeby od kobiety zranionej usłyszeć: Przebaczam ci, ale po raz ostatni!

Przebaczenie od niej dla niego!

Krew w nim zakipiała z oburzenia, kiedy przypomniał sobie te słowa i kiedy pomyślał o faktach, które stanowczo wpłynęły na jakość jego energii

Pierwszy z nich był bardzo prosty w swoim rodzaju, ale z sercem cierpiącym, dzieje się to samo co i z ciałem schorowanym, najzwyczajniejsze wypadki wywołują zawikłania śmiertelne.

Kiedy się znajdował na wizycie u pani de Sermaix, osoby zarówno znanej ze złośliwości, jak i z pretensyj literackich, wszczeła ona rozmowę o Vernaucie i, skreśliwszy jego postać w sposób bardzo uszczypliwy, dodała w końcu:

— No i wreszcie wpadł w sidła tej małej pani Raffraye. Po co mu było tak daleko od niej uciekać, ażeby po powrocie do tego wrócić co przedtem. Ale odwieczna to historia kochanków, biorą się, porzucają, powracają do siebie i znów się opuszczają... A mąż nie widzi nigdy nic... Co za komedia.

Innym znów razem Franciszek w klubie usłyszał na swe pytanie o Vernaucie:

— Vernaute? Pytasz pan, kto jest Vernaute? Jego specjalność to mężatki. Mnie sie bardzo zdaje, że w swoim czasie miał małą Raffraye. O tem dużo mówiono...

Był to drugi fakt, który przyczynił się do jego zupełnego buntu.

Trzeci był już innej natury i mniej imaginacyjny.

W tydzień potem, gdy się przekonał, że okrucieństwo świata nie oszczędziło zażyłości Vernauta i Pauli-

ny, jak nie oszczędza nigdy stosunków tego rodzaju, miał schadzkę z Pauliną.

Dnia tego, we wtorek: nie zapomniał ani daty dnia, ani nieba mglistego i dżdżystego naówczas, ani godziny, ani uczuć gorzkich, otrzymał liścik od niej, w którym donosiła mu, że nie przyjdzie, gdyż cierpi migrenę.

Miała się położyć do łóżka — jak opiewał liścik — ażeby przemódz chorobę, i prosiła, ażeby ją odwiedził nazajutrz.

Tak, pamiętał to dobrze.

Aż do godziny piątej rozmyślał na tem, czy ta wymówka jest prawdziwa, czy też udana.

Wreszcie wyszedł na miasto.

Przechadzał się po ulicach bez celu, w końcu kierowany nieprzezwyjęzoną ciekawością, z której sobie nie zdawał sprawy, udał się przez park Monceau, ku domowi przy ulicy Murilla, gdzie mieszkał jego rywal.

Myśl o tem, że kochanka jego może często przekraczała ten próg, sprawiała mu ból straszny.

Jaka fatalność przykuła wzrok jego do tych drzwi, jak gdyby przeczuwał, że wreszcie zdobędzie tę pewność, której pragnął od tylu tygodni.

To jednak było bardzo proste, że, na wpół tylko wierząc powodowi, przez Paulinę podanemu, podejrzewał ją, że odrzuciła spotkanie, ażeby pójść na schadzkę z innym.

A jednak to, co zobaczył z tego chodnika, gdzie stał nieruchomo w dziecinnem i godnem wstydu szpiegostwie, o mało co nie przyprawiło go o śmierć, przejmującą boleścią.

Karetka, z nawpół spuszczone mi firankami, zatrzymała się przed domem i wjechała do bramy.

Nayrac pobiegł i zdążył o tyle, że ujrzał, jak kobieta jakaś, okryta gęstym woalem zniknęła we drzwiach na parterze.

Chociaż niepodobna mu było rozróżnić twarzy tej kobiety, mógł dojrzeć, że była szczupłą, jak Paulina, i że wzrost również miała Pauliny.

Wreszcie szczególnie drobny, ale który dla Franciszka stawał się tem, czem sławetne chustki w melodramatach, kobieta ta miała na sobie długie palto pluszowe, które, jak mu się zdawało, widział u Pauliny.

Ból go zdjął tak wielki, że, kiedy odjechała karetka, miał tyle śmiałości, iż podszedł ku tym drzwiom na parterze i zadzwonił.

Nikt mu nie odpowiadał.

Boże! Jakże boleśnie dźwięczał mu w uszach odgłos dzwonka!

Chciał raz jeszcze zadzwonić, ale odezwał się do niego właśnie odzwierny, który, wyszedłszy ze swej izdebki, z twarzą spokojną podrzędnego wspólnika, dobrze zapłaconego, rzekł:

-- Pana Vernaute niema w domu!

Więc to właśnie było mieszkanie jego rywala.

Znalazł się na chodniku, miotany szalem podejrzeń, które wywołuje w człowieku ucywilizowanym dzikie zwierzę, co zawsze się odzywa w rozigraniu się namiętności płciowych.

Tak silna w nim powstała żądza działania, żądza dowiedzenia się czegoś więcej, iż pobiegł czempredzej

do pałacu przy ulicy Franciszka I, gdzie mieszkała Paulina.

Co się w nim działo, kiedy mu odpowiedziano:

— Pani już miewa się lepiej, mogła już wyjść po południu.

Przygnębiony tym widocznym faktem, który w jego oczach rósł bardziej z chwilą każdą, miał zamiar wrócić na ulicę Murilla i stanąć w zasadzce.

Potem powiedział sobie:

— Po co? Dzwonienie przstraszyło ich i odeszła natychmiast, kiedym się oddalił; odzwierny ich uprzedził. Zresztą, co zobaczą? Karetkę ze spuszczoneymi firankami, która ją odwiezie tak, jak przywiozła.

Rozmyślił się, że lepiej będzie poczekać przed jej pałacem, zobaczy przynajmniej, jak jest ubrana...

Jeszcze pół godziny...

Jak ten czas upływał wolno!

Zdaleka na ulicy pokazuje się powozik!

To powozik prywatny pani Raffraye.

Więc cóż z tego?

Toć to *a b c* cudzołóstwa!

Wyszła od kochanka, a potem wsiadła do swego powozu przed drzwiami jakiego magazynu, lub przed domem przejściowym

Czyż nie tak samo postępowała, kiedy bywała u niego?

Stangret woła, ażeby mu otworzono bramę.

Wrota się otwierają. Powóz wjeżdża.

Paulina wysiada

Ma to samo palto!

Scena namiętna, jaka wybuchła między nimi naza-
jutrz, nieubłagana zuchwałość wzgardy, jaką okazywała
wobec jego oskarżeń, odmowa, z jaką nie chciała się wca-
le usprawiedliwić, i ostateczne oburzenie, które go tak
osłepiło, że podniósł na nią rękę i uderzył ją!

Całe to okropne zajście jeszcze dziś ścisnęło mu
serce boleśnie

Powrócił do siebie tak wielce sam sobą przerażony,
że powiedział sobie:

— Trzeba jechać...

I natychmiast w ciągu dwudziestu czterech godzin
ukończył pierwsze przygotowania.

Wsiadł do wagonu, jak złoczyńca, uciekający,
z wściekłością, osłepiony, bez projektów, bez rachub,
byleby tylko znaleźć się gdzieindziej.

Zatrzymał się dopiero w Marsylii, gdzie popełnił
ostatnią podłość.

Bo z tego miasta napisał jeszcze do Pauliny list, ul-
timatum, na które zużył aż pół dnia, gryzmołąc na całych
stronach, czułości, to znów przekleństwa i, drąc je następ-
nie tak, że w końcu posłał tylko z tuzin zdań, z których
sobie przypominał to tylko, iż od swej nikczemnej ko-
chanki wymagał tego niedorzecznego dowodu, ażeby wy-
rzekła się wszystkiego, uciekła od siebie z domu, do nie-
go, natychmiast.

Straszny i bezsensowny list ten, pozostał bez odpo-
wiedzi.

W tydzień później młodzieniec był już w Egipcie.
Tam wsiadł na okręt i puścił się w podróż na około
świata.

— Ta kobieta jest moim złym duchem! — mówił do siebie — muszę o niej zapomnieć, jeżeli chcę żyć, i zapomnę o niej.

Fałszywy to pogląd, jakkolwiek nader rozpowszechniony, że miłość ruguje z serca wszystko, a przedewszystkiem dumę. Szczęśliwi to kochankowie, z którymi tak się dzieje. Nieszczęśliwi natomiast ci, u których ta duma pozostaje, u których trwa, żywa i rozkazująca obok namiętności najszczerzej przecie, najgwałtowniejszej.

To wspólne istnienie stanowi jedną z najniebezpieczniejszych chorób, jakie mogą w nas nurtować. Podróż wtedy zamiast być dla nas lekarstwem, zatruwa tylko tę podwójną ranę.

W samotności wieczorów ileż łez przelewamy, mówiąc sobie ze smutną próżnością: Ona ich nie widzi!

W blasku horyzontów ile obrazów powstaje: jeden przedstawia nam widok tej, którąśmy opuścili, inny jej pieśczętę najmiłszą, te poruszenia się jej w naszych ramionach, włosy, rozrzucone na czole, tkliwą melancholię jej spojrzenia w boskich chwilach!

I natychmiast łącząc z myślą o wstrętnym rywalu wspomnienia, związane z najżywszemi strunami naszej istoty, czujemy ból przejmujący, na który mamy tylko tę pociechę — tak nędzną! — że powtórzyć sobie możemy, iż my zerwaliśmy to, z własnej naszej woli.

Ileż dalibyśmy za to, ażeby wiedzieć, co się dzieje z tą, w której niewinność wierzymy zawsze, a rękę dalibyśmy sobie raczej uciąć, aniżeli zacząć do niej pisać.

I dnie schodzą po dniach, tygodnie po tygodniach, miesiące po miesiącach a my nie znamy już radości, pograżamy się we wrażeniach żywych i bieżących.

Krajobraz miast i pól rozwija się przed nami, nie mogąc uleczyć nas z tęsknoty za ustronnym zakątkiem saloniku, gdzie wśród kwiatów znajduje się nasze widmo.

Wreszcie Franciszek powrócił po czternastu miesiącach tej włóczęgi, w pogoni za uleczeniem, którego nie znalazł, i natychmiast jedna z tych kobiet, u których dawniej spotykał swoją kochankę, ta sama pani de Serlaise, która mu przeszła serce opowiadaniem na dawnej wizycie — a wrócił do niej, jak gracz zrujnowany wraca do stolików z grą hazardowną — oznajmiła mu osobliwe nowiny.

Pani Raffraye została wdową.

Męża straciła prawie nagle, w kilka tygodni po odjeździe Franciszka.

Sama wiadomość o tem owdowieniu zelektryzowała młodzieńca.

W dalszym ciągu dowiedział się od opowiadającej, że w chwili tej śmierci Paulina była matką i że narodziła się córeczka.

Matka również o mało co nie umarła, potem, ledwie wyzdrowiawszy, opuściła Paryż, na wespół zrujnowana skutkiem niepomyślnych spekulacyj nieboszczyka męża.

Sprzedawała swój pałacyk, powozy, konie i postanowiła osiąść w Jurajskiej okolicy, gdzie się wychowała.

I okrutna Paryżanka, nie przypuszczając nawet, iż nóż zatapia w najczulsze miejsce Franciszka — albo ra-

czej rozkoszując się zadawaniem mu cierpienia, dodała, że nie wierzy w to oddalenie i dorzuciła z uśmiechem:

— Zabaczmy ją lada dzień z powrotem, a wróci jako pani Vernaute i jeszcze większa kokietka. On od niej wcale nie wychodził w ostatnich czasach i z nią całe tygodnie już spędza w Molamboz.

— I powiedziec — pomysłał Franciszek z okropną melancholią po tej rozmowie — powiedziec, że pomimo tego, co widziałem, o mało co nie miałem dla niej litości, zem do niej pisał, upokarzał się... Nie! Ona mnie nie kochała! Dla mnie miała tylko fantazyę zmysłów i imaginacyi. Kochanka jej nie było wtedy. Zerwali z sobą dla jakichbądź powodów, zapewne dlatego, że go ona oszukała. Ja przyszedłem w przerwie. Następnie on powrócił. Wzięła go znów, a nawet zechciała zatrzymać nas obu... Nieszczęśliwa! Gdyby mnie była kochała, to człowiek ten, który był przyczyną naszej kłótni, byłby ją przejmował wstrętem, i po mojem odjeździe nie mogłaby go przyjmować...

Boleść Franciszka była wielką. Dziś już przeminęła.

Serce młodzieńca znosiło jej ciężar, przez długie lata, a żaden inny wypadek nie sprawił mu ulgi.

O Paulinie wiedział to tylko, iż mieszkała ciągle zdala od Paryża i że nie zaślubiła tego rywala, ponieważ ten rywal dawno już umarł.

Zaledwie słyszał o niej od czasu do czasu.

Zerwała wszystkie swe stosunki towarzyskie, jeden po drugim, a małe kołko światowe, którego stanowiła częścią, prawie już o niej zapomniało, ale nie zapom-

niał o niej Franciszek, jakkolwiek przyjął sobie za zasadę, ażeby nie wymieniać już nigdy jej imienia, unikać systematycznie ich wspólnych znajomych i unikać w rozmowie jakiegokolwiek o niej wzmianki.

Nareszcie po latach cierpień i zgnębienia, napotkał Henrykę i począł ją kochać. Ujrzał na horyzoncie swej drogiej miłości tę Ziemię Obiecaną, to szczęście nieoczekiwane: miłość dla tej istoty bez przeszłości, radość serca i życia regularnego, łagodnie, bosko jednostajnego, on, który tak długo błędził daleko od wszelkiego ogniska.

O! Jakże nie miał nienawidzić tej, która tak długo demoralizowała jego serce. Przedstawiała mu się jako istota przewrotności głębokiej i nieubłaganej.

I oto dowiadywał się, że ona jest tu, że ona z dzieckiem swem znajduje się o dwa kroki od pani Scilly i Henryki.

Czego chce?

Widocznie dowiedziała się o mojem małżeństwie blizkiem i moim tutaj pobycie...

Czyż to zemsta?

Czy to projekt wyzysku?

Czyżby tak dalece nisko upadła? Czyżby przybyła do Palermo z ukartowanym szantażem za pomocą dziecka?

Nie zdobył się na to proste rozumowanie, że, skoro Paulina milczała przez długie lata, nie miała powodu dzisiaj go dręczyć.

Widział tylko tę jej obecność i czuł się nią rozdrażniony aż do szaleństwa, tak dalece, że, wzięwszy

fotografię Henryki, powiedział sobie w końcu, popatrzywszy na nią:

— O! kocham ją. Ona mnie kocha. I nie, nie, nie! nie będzie mogło nas rozłączyć.

I ucałował ten portret swego dobrego anioła, jakby dla zażegnania złego ducha — długo, czule, religijnie.

III.

Rosnący niepokój.

Istota moralna w nas, tak samo jak i istota fizyczna, ma swój instynkt zachowawczy, z takimi samymi popędami i uniesieniami.

Ten ruch nagły, jakim tonący obejmuje ciało pływaka, który może go ocalić, ten niepowściągnięty ruch, w którym się skupia cała energia życiowa, nie jest gwałtowniejszym, ani bardziej nieświadomym, niżeli popęd serca, które nas w pewnych chwilach popycha ku pewnej osobie, której obecność nam jest potrzebną, jak ratunek dla biedaka tonącego, ażeby wydostać się z głębi otchłani na powietrze, którem możnaby odetchnąć.

Poszedł do pani Scilly i Henryki.

Zastał je siedzące przy kominku, matka zajęta była czytaniem, córka robótką.

Wszedł niepostrzeżenie, gdyż kroki jego zagłuszył gruby dywan na posadzce.

Skołatany dawnymi wspomnieniami, pełnymi goryczy, chętnie byłby stał całemi godzinami na progu tych drzwi, ażeby napawać duszę pewnością, że jego zła młodość jest daleko i że teraz i on już bierze udział w tem życiu tak czystem, tak prostem, byłby tak stał godziny, ażeby na twarzy narzeczonej czytać gorącą miłość, której był przedmiotem.

Dlaczego ten cień na tem pięknem czole niewinnem, ta mgła w tych drogich oczach niebieskich, ta smutna zmarszczka ust tych dziecięcych? Czyż nie dlatego, że ona przeczuwa, iż on cierpi?

Ale już Henryka wstała i zbliżyła się do niego.

— To ty, Franciszku — rzekła. — Jak się to stało, że nie słyszałam, jak wszedłeś? Dawno tu jesteś?

— Bardzo dawno — odpowiedział, i biorąc ją za rękę, dodał: — Ale wybacz, że cię przestraszyłem. Powiniennem był wiedzieć, że takie zdziwienie sprawia przykrość...

— Mała przykrość tym razem — odrzekła ze śmiechem — jeżeli już jesteś zdrow.

I nalegała:

— Powiedzże prędko, jak się czujesz teraz. Bałam się, czyś nie dostał tej szkaradnej febry, którą nam grożą zawsze. Spodziewałyśmy się ciebie na herbacie i nie śmiałyśmy nawet posyłać po wiadomości. Wincenty poszedł tylko podsłuchiwać podedrzwiemi, a ponieważ u ciebie w pokoju nie usłyszał najmniejszego szmeru, pomyślał, że odpoczywasz. Ale ręce masz jeszcze rozpalone.

— To zapewne ze zmęczenia na tem słońcu — odpowiedział. — Ale już zupełnie przeszło.

I zmusił głos swój do powtórzenia:

— Przeszło zupełnie... Nie warto nawet o tem mówić. Pozwól mi usiąść przy sobie i opowiedz mi, jak przepędziłaś to popołudnie, gdzieście panie spacerowały.

— Nigdzie — przerwała hrabina. — Henryka nie chciała wyjść. Zaczynała już być nierozsądną, bo tak się niepokoiła, jakbyś pan naprawdę miał być chory.

— Obmawiasz mnie, mamó — rzekła młoda dziewczyna, a na twarz jej wróciły już żywe kolory — zaniedbałam się z korespondencją, pisałam listy przez całe popołudnie... Czy chcesz zobaczyć?

I bardzo prędko, nie czekając na odpowiedź Franciszka, wzięła ze stoliczka, stojącego przy oknie, kilka kopert jeszcze otwartych z listami.

Od pierwszych dni, kiedy się zaręczyli, prosiła go czule, jakby o łaskę, ażeby czytał każdy list, który pisała — zachwycający instynkt zakochanego dziecka, które się oddawło w ten sposób, bez żadnych ograniczeń, z tą hojnością duszy, która upaja się ujawnieniem wszystkiego przed tym, którego kocha.

I pokazywała teraz Franciszkowi te słowa, któremi uspakajała niepokój godzin przepędzonych bez niego, z takim wdziękiem uległości, że ręce młodzieńca drżały mocno, gdy otwierał list po liście.

Jakież zaufanie miało to kochane dziecko dla narzeczonego, jakie zaufanie tak niewinnie okazywane.

A on jakież tajemnice zachowywał w swej głowie, nawet w tej chwili, i to szczególnie w tej chwili.

Łzy przeczucia napływały mu do oczu niepowstrzymane niczem

— To z radości płacę — wyszeptał — z radości, widząc, czem jesteś dla mnie... Życia mego jeszcze będzie za mało, ażeby ci się wywzajemnić za to uczucie.

* * *

— Mogę umrzeć — mówiła w kilka godzin później do córki, klęczącej przy jej łóżku, jak co wieczór, dla wspólnej modlitwy — bo zostawię cię temu, który jest prawdziwie ciebie godnym!

— To ja powinnam stać się jego godną — odpowiedziała Henryka — godną jego serca. On jest tak czuły. Widziałas, mateczko, jaki był wzruszony, czytając moje listy...

Zamilkła.

Myśl ją przejęła wobec dziwnego pomieszania Franciszka, myśl, z której nie mogła się przyznać przed matką.

Przypomniała sobie przeczucie nieszczęścia, o którym mówił tego rana.

Nie mówiła nawet narzeczonemu, jak sama wierzyła w to, co mistycyzm jej języka dziecięcego nazywał „podwójnym wzrokiem serca.“

Zapewne to samo przeczucie tak wzruszyło młodzieńca w chwili czytania tych listów, gdzie tyle pisała o swem wielkiem szczęściu.

On przewidział dla niej wielkie nieszczęście i płakał.

Ależ jakie mogło być to zmartwienie, jeśli nie pogorszenie w stanie ich ukochanej chorej? całowała

więc w milczeniu białe wychudłe ręce, które hrabina wyciągała na czerwonej kołdrze wełnianej z supełkami jedwabnymi, którą sama zrobiła podczas kilku tygodni, spędzonych samotnie przez nie w Palermo, podczas gdy wiatr morski rozwodził jęki, jak tego wieczora, dokoła wieży hotelowej.

Jakiegoż zdumienia, połączonego z przerażeniem i oburzeniem, byłoby doświadczyło to czyste dziecko, gdyby, przeniknąwszy wzrokiem mury, oddzielające je od Franciszka, zobaczyło, jak siedział przy stoliku, z głową opartą na dłoni i przygotowywał się do pisania — do kogoś?

On również słyszał, jak wiatr to huczał, to milknął, jak zrywał się, to znów ustawał.

Widział, jak Henryka słucha tych słowy — jak słucha ich i inna kobieta

Teraz, kiedy mógł przeciwdziałać przeciw pierwszemu wstrząśnieniu, jakiego doznał na pierwszą wiadomość o sąsiedztwie dawnej kochanki, tłumaczył sobie tę myśl jedynie obrazami, odnoszącymi się do ich wspólnej przeszłości.

Ale terazniejszość stawiała mu nowe warunki, i zamiast widzieć panią Raffraye, jaką była przed laty dziesięciu, usiłował ją sobie wyobrazić taką, jaką jest teraz.

Zapytywał sam siebie, w której stronie hotelu mogła mieszkać, co czyniła o tej godzinie, jaki projekt poruszał jej myśl?

Zupełnie już ochłonął z tego przestרחu, jaki go przedtem na razie ogarnął, i teraz, po powrocie do po-

koju swego, już mógł rozważać chłodno, jak się przedstawia położenie.

Był już tyle rozsądny, że pojmował, iż Paulina mogła przyjechać do Palermo, a nawet stanąć w tym samym hotelu, czysto przypadkowo. Spotkania wszakże takie zdarzają się rzadko, ale bądź co bądź następują, i to jeszcze nieprawdopodobniejsze.

Ażeby wszystkie te wątpliwości wyjaśnić, Franciszek powziął szczególny projekt, postanowił do pani Raffraye napisać.

Prędzej czy później musiał się spotkać z Pauliną. Skoro sam wywoła to spotkanie, nie tylko zyska na tem, że sam się, co do niej upewni, ale że i ją przekona, iż nie może się łudzić tem, jakoby zachowała jeszcze nad nim jakąkolwiek władzę

Wziął więc papier i pióro. Ale jakże mu to trudno było ten list napisać. Darł jedną po drugiej ćwiartki papieru, tak, że mu to przypominało owe straszne godziny, spędzone w Marsylii, przed tylu laty, gdy pisał list innej natury, po którym wszystko już między nimi było skończone.

Godzina była pierwsza po północy, gdy poprzestał na redakcyi następującej, pełnej banalności, która uważał jednocześnie za pełną prostoty i godności.

„Dowiedziałem się, że się pani znajduje w Palermo. Gdybym mógł w czemkolwiek być użytecznym pani, w tych pierwszych dniach pobytu pani w mieście obcem, to wiadomo pani, nieprawdaż, że ta, która była najlepszą przyjaciółką siostry mojej Julii, znajdzie mnie zaw-

szere gotowego na swe usługi? Byłbym pani nieskończenie wdzięcznym, gdyby pani, mogła mi oznaczyć godzinę, kiedy byłoby mi wolno stawić się u pani, nie narażając jej na żadną subiekcyę.“

I podpisał się, ale pióro przez chwilę zawahało się przy tem niewinnem kłamstwie grzeczności: „Z poważaniem.“

List ten miał na celu nietylko sprowadzenie niezwłocznej rozmowy z Pauliną, pochodził on również ze świadomości potrzeby, odczuwanej przez Franciszka, iż będzie musiał przyznać się przed panią Scilly i Henryką, iż zna młodą kobietę. Chciał i pod tym względem wszystko uprzędzić.

Postanowił więc, że niezwłocznie, po przesłaniu listu do pani Raffraye, będzie mówił o niej z obiema paniami, jako o przyjaciółce swej siostry, przybyłej do Palermo niespodziewanie.

Nazajutrz zrana, gdy noc spędził względnie spokojnie, po tym dniu, pełnym niepokojących wzruszeń, zachował w sobie dość siły na wykonanie pierwszej części programu i o godzinie dwunastej list został wyprawiony do pani Raffraye.

Ale południe już biło, a on jeszcze nie wymienił zdania, które miało niepowrotnie wmieszać jego przeszłość do terażniejszości i to pod orędownictwem świętego wspomnienia, o nieboszce.

Henryka w całej delikatności uczucia żywiła wdzięczność, prawie pełną uwielbienia dla wszystkich tych, którzy byli dobrymi dla Franciszka, a nie mniej praw-

dziwy kult czci miała dla siostry Franciszka. Niewątpliwie zatem choć w części okaże to uczucie i przyjaciółce nieboszczki.

Ta myśl przejęła młodzieńca nagłą zgrozą.

A przytem, samo wymawianie pewnych nazwisk przed innemi osobami, czyż nie jest prawdziwą profanacją?

Cofnął się więc, mówiąc sobie, że będzie mówił później, po odpowiedzi Pauliny.

Ponieważ list posłał około godziny dwunastej, spodziewał się, że ta odpowiedź będzie mu oddana przed śniadaniem.

Śniadanie się skończyło, a odpowiedź nie nadeszła.

Panie Scilly wyjechały powozem razem z nim, ażeby użyć trochę słońca i powietrza, jak zwykle, a przejazdka ich przedłużyła się w rozległym parku królewskim, ciągnącym się aż do wybrzeża morskiego, więcej niż o dwie mile odległości od miasta.

Była godzina prawie piąta, kiedy powrócili do hotelu.

Odpowiedzi jeszcze nie było.

Dzwonek zapowiadał obiad; odpowiedź jeszcze nie nadeszła.

Franciszek nadto był blisko przestrachu z dnia poprzedniego, ażeby go to milczenie nie zaczynało nie niepokoić.

W położeniach fałszywych wszystko, co jest nieznanne, wydaje się tak szybko grożącym.

Co znaczyło to milczenie?

Czy to postanowienie być obojętną, czy to otwarta wojna, jakiś plan nieprzyjacielski?

I oto przy stole obiadowym, zastawianym co wieczór w salonie z rotundą, na kilka słów hrabiny, serce w nim zabiło tak mocno, jak w przeddzień, na widok nazwiska pani Raffraye na liście gości.

— Zdaje się — rzekła hrabina, ani się spodziewając ciosu, jaki zadaje sercu młodzieńca — że przyjechała do hotelu jakaś dama francuzka, tak chora, że aż przykro na nią patrzeć. Z nią jest mała córeczka. Zajmują mieszkanie na trzecim piętrze, jak raz po nad naszym...

— Ja też je zapewne zauważyłam — odparła Henryka — w ogrodzie hotelowym wczoraj. Kobieta, której nigdy dotąd nie widziałam, bardzo blada, z oczyma bardzo smutnemi; a dziewczynka z pięknymi włoskami jasnymi o odcieniu ciemnym.

— Tak, to one zapewne — ciągnęła pani Scilly. — Małgorzata, ubierając mnie przed chwilą, dużo mi o niej mówiła. Pokojówka tej damy i piastunka małej, siedziały obok niej przy stole i pocziwe wieśniaczki francuzkie strapione wysiadywaniem teraz we Włoszech, opowiedziały jej całą historię swej pani.

Biedna pani Raffraye, tak się ona nazywa, od lat wielu już nie opuszczała swej wioski, gdzie osiadła od czasu owdowienia, dziecko urodziło się po śmierci ojca.. Jeżeli prawdą jest, jak mawiał mąż mój, że sądzić można o nas podług tego, co opowiadają, o nas służący, pani ta musi być świętą, bo obie stare sługi ze łzami

w oczach nazywały ją opatrnością w owem zapadłym ustroniu gór Jurajskich.

Lecz i do okolicy dzikiej przyzwyczać się można, gdy się tam wiele świadczy dobrego!.. Zgodziła się dopiero ztamtąd wyjechać, kiedy lekarze zawarowali jej pobyt na południu, jako kwestyę życia.. Zupełnie tak, jak mnie...

— Kochana mamó, to nasza rodaczka, więc gdybyśmy mogły przyjść jej z jaką pomocą

— Jużem pomyślała o tem — podchwyciła pani Scilly — ale wielka boleść życia odludkami czyni tych, którzy jej podlegają. Co prawda jest to tem szczególniejsze, gdy chodzi o kobietę światową. Bo, podług dowodzeń Małgorzaty, pani Raffraye mieszkała kiedyś w Paryżu, miała swój pałac, powozy...

— Co to wszystko znaczy — przerwała Henryka, spoglądając przed siebie wzrokiem, jakim młodość usiłuje przeniknąć przyszłość — kiedy kto jest dotknięty tak okrutnie? Zwłaszcza jeżeli się na świecie niema nikogo?

.....

Czyż nie nastęczała się Franciszkowi najlepsza sposobność, ażeby powiedzieć, iż znał kobietę, o której opowiadała pani Scilly i jej córka.

Nie pochwycił jednak tej okazji, która nie mogła drugi raz się nawinąć, chociaż pominięcie nawet jej mogło stać się niebezpiecznem, w razie gdyby nastąpiło zbliżenie się między Henryką i Pauliną.

Jakże wytłomaczy wówczas milczenie, gdyby pani Scilly dowiedziała się, że pani Raffraye była przyjaciółką wielką pani Archambault?

Zamilczeć w tej chwili było to skazać się może na straszne trudności. Było to dopuszczeniem się pierwszego kłamstwa, przed narzeczoną.

Ale zkądże weźmie siłę do mówienia?

Najprzód samo wzruszenie tym wypadkiem, jakkolwiek bardzo naturalne, jak gdyby, paraliżowało mu władze umysłowe.

Tacy my już jesteśmy, że przewidujemy nieskończone zawikłania, a nie spodziewamy się tych zwykłych, powszednich przygód: od gawędy dwóch sług przy obiedzie.

A jednak Franciszek miał sposób bardzo prosty, ażeby zapobiedz wszystkiemu.

Dość byłoby, gdyby poprosił panią Scilly o rozmowę i uczynił przed nią powszechną spowiedź.

Gdyby hrabina dowiedziała się o wszystkim, co by się stało z najbardziej machiawelskimi planami, którym by przeciwstawiła wolę matki, co nie pozwoli, ażeby kto naruszył szczęścia jej córki i jej syna?

A czyż on istotnie nie był jej synem?

Czyż go nie kochała miłością matki?

Czyż mu tego nie dowodziła o każdej godzinie dnia, w tej chwili nawet, bo, zobaczywszy go zafrasowanego, podczas całego obiadu, zapytała go z wielką troskliwością.

— Obawiam się, czy nie jesteś znów tak niezdrów, jak wczoraj, mój Franciszku.

— Tak — wtrąciła Henryka — wyglądasz tak, jakbyś był bardzo znużony, a nawet przygnębiony. Jaka to szkoda, żeś się nie poradził doktora, gdy przyszedł do mamy dziś wieczorem.

— Jak one mnie kochają! — pomyślał młodzieniec, obroniwszy się przed domysłem, że jest chory, z tą udaną wesołością, jaka nigdy nie omyli prawdziwie troskliwych.

Hrabina wraz z córką, nie przestały również ze swej strony przez cały wieczór rzucać na niego ukradkowych spojrzeń, a ponieważ już oddawna przyzwyczyły się czytać w jego twarzy, przeto z łatwością odgadły niepokój, targający duszą Franciszka. Skutkiem tego i one niebawem stały się niezdolnymi do dalszego prowadzenia rozmowy, tak lekkiej, swobodnej, urywanej, to znowu snutej na nowo, bez żadnej myśli utajonej, rozmowy, tworzącej właśnie wdzięk najśłodczy ich obopólnej poufałości.

Po raz pierwszy od chwili przybycia Franciszka do Palermo, zarówno obie kobiety, jak i on sam odczuli instynktownie ciszę przykrą, zwieszającą się w atmosferze salonu — świadka tych godzin cudownych — ciszę niczem niezwalczoną, a zwiastującą zbliżanie się jakichś klęsk okropnych.

Wszystko wokoło nich napozór pozostało bez zmiany, i na odwrót wszystko znowu wyglądało inaczej. Ta cisza sprawiała niemal wrażenie klęski samej, tem przykrejszej dla tych, którzy znali jej przyczyny.

Henryka tedy, jakby nie mogła się doczekać kresu tego przewlekającego się wieczora, zasiadła do fortepianu. Muzyką chciała zapanować nad niewymownem rozdrażnieniem, coraz bardziej je ogarniającem.

Franciszek odetchnął wówczas, niby człowiek, który zrzucił z siebie tylko co ciężar zbyt wielki.

Za dni minionych, było to dla niego rozkoszą prawdziwą przysłuchiwać się grze narzeczonej. W podobnych bowiem chwilach cała istota duchowa tej młodej dziewczyny odsłaniała się, prawie dotykalnie, w swej czystości nieskażonej; podziwiać należało ów sposób poważny, szczerzy i natchniony zarazem, z jakim grała ulubionych mistrzów. Sumiennosc, zachwyt, a równocześnie ani cienia przesady, której Henryka nienawidziła na równi z pospolitem kłamstwem. Gdy grała urywki z Bethowena, młodzieńcowi zdawało się, jak gdyby ta istota, dobra, pobożna i czuła, błogosławiła go, niby święta.

Lecz usposobienie, w jakim pozostawał dzisiaj, nie pozwoliło mu oddawać się niepodzielnie owej rozkoszy wsłuchiwania się w dźwięki, wydobywane palcami Henryki. Przeciwnie, smutek jego powiększył się znacznie.

Wziął zatem wielką książkę z rycinami, dalszy ciąg widoków sycylijskich starego księcia de Serra di Falco i przyglądał się im z pozorną uwagą. Że ta ostatnia była sztuczną, wystarczy przypomnieć, iż obie panie własnoręcznie już pokazywały mu każdy widok przynajmniej dziesięć razy.

Tego rodzaju fortel atoli pozwalał nawiązać nie myśli przerwanych poprzednio pytaniami towarzyszek, umożliwiał również odwrócenie wszelkich podejrzeń w chwili bieżącej.

Począł ponownie roztrząsać zamiar, powzięty przy stole wyznania wszystkiego hrabinie. Kolejno to pogrązał się w swych rozpamiętywaniach, to znowu z poza kart książki nieznacznie badał oblicze hrabiny, wykończającej dywan, rozpoczęty przez córkę. Badał więc ową

twarz schorowaną i niejako świętą, a przecież do ostatka, mimo cierpienia doznane, zachowującą pogodę nieziemską.

Niby wódz roztrząsający szczegóły spotkania, by uniknąć wszelkiej niezręczności, Franciszek w duchu usiłował odtworzyć sobie rozmowę z tą szlachetną kobietą.

Czyż jej sumienie nieskażone zdoła zrozumieć jego opowiadanie? Co będzie wyrażała podczas takiej rozmowy owa twarz, napiętnowana boleścią, a zarazem rezygnacją chrześcijańską? Co powiedzą nadewszystko owe oczy o błękitnych źrenicach, z których podobnie, jak u Henryki, błyszczy święty i czysty zapal?

Słyszał już siebie samego, jak wymawia pierwsze wyrazy, objaśniające na początek, iż zna ową panią Raffaye, o której mówiono wczoraj. Och! jak ta twarz, tudzież oczy owe odrazu przybiorą wyraz zdziwienia, wyraz niepobłażliwości może. Kto wie, czy nie zaciemni je chmura zdziwienia i smutku, skoro on zaznaczywszy ważność niniejszych zeznań, rozpocznie wyłuszczać przygodę za przygodą. Wszak dla hrabiny, surowej i prawej, będzie to tylko zwyczajna historia wstrętnego cudzołóstwa?

Potrafi się przecież bronić! Wyzna, jak kochał zapamiętane. Będzie się starał wytłomaczyć tej kobiecie, życie utożsamiającej z obowiązkami, jak wielki wpływ na młodzież wywierają namiętności miłosne.

Ach, jest pewnym, iż ta część pierwsza rozmowy niemało go będzie kosztowała, lecz zarazem wie, że pani Scilly pozwoli się ubłagać, zwłaszcza gdy dowie się

o męczarniach, których doznając, pokutował dostatecznie za grzeszne rozkosze. Wtajemniczył ją bowiem i w męczeństwo swej zazdrości. Kolejno opowie jej szczegół za szczegółem swych cierpień, niczego nie opuści, dojdzie aż do kresu. Odmaluje jej też i chwilę, gdy kochanka zdradziła go niemal w jego oczach, odmaluje rozpacz targającą nim w minucie, kiedy widział ową niłą postać zawoalowaną — Paulinę niewątpliwie — wysiadającą z fiakra przed domem zamieszkiwanym przez rywala. Powie jej też, jak zerwał, nie ukrywając nawet całej brutalności owego zerwania, powie nakoniec, jak chciał owo zerwanie ostatecznie utrwalić raz na zawsze, skazując siebie samego na wygnanie tak długie z Paryża, na tak smutną tułaczkę po obczyźnie.

Przeczuwał, że oblicze szlachetne i głębokie oczy matki Henryki nie poskąpią mu politowania. Wprawdzie trudno mu przyjdzie opowiedzieć ową część drugą tego smutnego stosunku, lecz dobre chęci pozwolą mu wybrnąć z trudności.

Nakoniec atoli trzeba będzie zacząć opowiadanie części trzeciej, datującej się od jego powrotu. Musi przytoczyć rozmowę z panią de Sermoise, tudzież sposób, w jaki dowiedział się o narodzeniu dziecka.

Tu oczy pani Scilly, chrześcianki, która nie upadła ni razu, zwrócą się ku niemu z poważnem zapytaniem? Czyż je odgadnie? Co mu powiedzą owe usta, okolone tak posępными zmarszczkami? Wszak często wygłaszały one, jak dotąd, zdania pełne litości, nawet dzisiejszego wieczoru, co do tych dzieci opuszczonych, którym świat winien bardzo wiele, boć one mimo swej woli na świat przyszły.

I zapewne pani Scilly spyta go się:

— Jakież jest owe dziecko?

A Franciszek odpowie:

— Nie widziałem go nigdy!

Tu oczy hrabiny spoczna na nim ponownie.

Czy on potrafi wytrzymać owo spojrzenie? Nie, owa dusza pełna litości, nigdy nie rozgrzeszy go za opuszczenie tak brutalne, jakkolwiek było ono słusznem. Przeciwnie, pani Scilly, matka, która żyła wyłącznie dla córki powie:

— Choćby tylko cień jeden przemawiał za tem, iż to jest twoja córka, i tak byłbyś za nią odpowiedzialnym.

Ach, jak łatwo mówić w sposób podobny, kiedy się nie zaznało nigdy namiętności, ani jej oddechów palących. Jakim cudem wytłomaczyć hrabinie, że owo zerwanie brutalne i zupełne wypływało właśnie z nadmiaru miłości! Gdyby nie kochał Pauliny tak gwałtownie, nie byłby cierpiał tyle z powodu jej zdrady, nie byłby odczuwał jakiejś nienawiści, która nie pozwalała mu żadną miarą zbliżyć się do niej.

— W razie przecież śmierci matki — zacząłby na nowo sędzia nieubłagany — to dziecko pozostałoby opuszczonem, byłoby narażonem na tysiące niebezpieczeństw jedynie z pańskiej winy...

— To nie moje dziecko — odpowiedziałby na to.

— Nie wiadomo — zabrzmiałby znowu ponury głos hrabiny.

— Nie wiadomo — powtarzał on sam sobie już raz niejeden, sam niejeden raz pragnąc wreszcie ujrzeć ową zagadkę żywą, a nierozwiązalną.

— Czy postarałeś się pan przynajmniej — ciągnęłaby dalej pani Scilly — przekonać, w jaki sposób pani Raffraye korzystała ze swobody, odzyskanej po stracie męża. Charakter prawy podnosi się nawet z upadku, a wszystko to, czego dowiedzieliśmy się o niej dzisiaj, wydaje jedynie świadectwo jak najlepsze.

Czyż powinien zaprzeczyć owym słowom? Czyż powinien odsłonić przed ową świętą niewiastą tajemnice obłudy — obłudy, którą instynktownie odczuwał w kłamliwym opowiadaniu umyślnie wytresowanej, podstarzałej pokojówki? Nie mniej atoli nie posiada żadnych dowodów owej obłudy.

Ostatecznie, po namyśle zawnioskował w duchu:

— Taka rozmowa byłaby zbyt bolesną.

— Tak jest, zbyt bolesną — powtórzył, znalazłszy się wreszcie sam w swoim pokoju po tym okropnym wieczorze, kiedy własne jego myśli dręczące zlewały się niemal w całość z wdziękami smętnymi fortepianu.

Powrót do domu, widok pokoju przypomnially mu bilet, pisany ubiegłej nocy.

— Byłbym szalony narażać się na rozmowę podobną, kiedy możliwym jest uniknięcie wszelkich spotkań nieprzyjemnych. Zbierzmy fakta. Nasamprzód pani Raffraye nie odpowiedziała mi wcale. Dlaczego?

Teraz myśl, która nurtowała w nim od wczoraj, dojrzała całkowicie.

— Widocznem jest — ciągnął dalej — iż przybyła tutaj przypadkiem i czuje zupełnie taki sam wstręt do nawiązywania stosunków ze mną, jak ja nie chcę mieć żadnej z nią styczności. Owo milczenie dowodzi tego

wybornie, dowodzi, że nie znamy się więcej. W takim razie nie potrzebuję mówić z panią Scilly. Tak jest, podobna rozmowa jest zbytęczną...

Gorące pragnienie odsunięcia od siebie tego ciężaru zamieniło hipotezę w pewnik

— Pochwały, oddawane jej przez służących, nie dowodzą niczego. Jest zanadto przewrotną i fałszywą, by nie potrafiła po śmierci tego obrzydliwego Raffraye'a odegrać roli zbolalej małżonki. Lecz teraz przedemną, waha się powtarzać podobnej roli. Nie, nie życzy znać mnie, a tem bardziej obu pań Scilly, do których bezemnie nie znajdzie przystępu. Zresztą, gdzieżby się poznały? Panie Scilly jadają u siebie. Ona, chora, ciężko chora, skoro ją wysłano na Południe, zapewne także nie schodzi do sali jadalnej. Moje panie nie bywają nigdy w czytelnii. Ona również nigdy tam nie zajdzie. W mieście stosunków nie zawiązywaliśmy żadnych. Jedynie więc jakiś wypadek, spotkanie na schodach lub korytarzu mogłoby tutaj popsuć rachuby. Stanowczo bałem się niepotrzebnie. W każdym razie lepiej poczekać.

Pocieszał tedy samego siebie, wmawiając, że postępuje słusznie.

W dobę później przekonał się niestety, że jego przewidywania były zgoła płonne.

Ach! spotkania na korytarzach, na schodach, tak częste, tak nieuniknione, mimo wielkości hotelu! On uważał je za bezpieczne, a tymczasem niebawem miał się przekonać o czemś zgoła przeciwnem.

Wprawdzie pani Raffraye, jak świadczył o tem poniższy szczegół, postanowiła widocznie unikać do osta-

teczności wstrętnego dla siebie sąsiedztwa. Nie tylko nie odpowiedziała mu podczas doby następnej, lecz natchmiast zakazała obu sługom jadać u wspólnego stołu służących.

Franciszek odrazu zrozumiał znaczenie owego kroku.

Widocznie pani dowiedziała się o rozmowach swoich sług i nie życzyła sobie nawet tego rodzaju stosunków między piętnem drugim i trzeciem. Wszystko tedy składało się jak najlepiej dla młodzieńca; troska, malująca się niepotrzebnie na jego twarzy podczas wczorajszego, burzliwego wieczora, troska, która musiała zapewne zaniepokoić jego narzeczoną, zniknęła w mgnieniu oka.

Wystarczyło mu spotkać Henrykę samą koło dziewiątej rano w salonie, gdzie już oczekiwała na nich herbata. Jedno słowo, jedno spojrzenie, uścisk ręki uspokoiły to biedne dziecko. A więc na szczęście, położenie, jedno z najfałszywszych, minęło bez fatalnych skutków; przy jej boku on sam znowu odzyskał poprzednią równowagę.

Lecz nie! Tego rana czterdzieści kroków, które musiał przejść z swego pokoju do salonu, przekonały go aż zanadto dobrze, jak silnie niestety panuje nad nim jego dawna kochanka.

Na dobitek, myśląc o Paulinie, musiał zarazem myśleć jeszcze i o kimś drugim. Mijając schody, obstawione bambusami, oraz innymi roślinami, mimowoli zatrzymał się pół minuty i rzucił spojrzenie w górę

— Gdybym tak mógł zobaczyć je, jak będą schodziły. .

Wyobraźnia ukazała mu obie kobiety.

Pierwszą rozpoznawał na pierwszy rzut oka. To była dawna Paulina — taka, jaką ongi opuścił, królewsko piękną i młodą, bladą i wiotką, lecz zarazem zmęczoną, złamaną, zgniecioną życiem. Prowadziła z sobą dziewczynkę. Jakież oczy będzie miało, jakież rysy owo dziecko, którego nie znał, o którym nie wiedział, że żyje, że chodzi po tych banalnych schodach marmurowych.

To widzenie taką goryczą napoiło mu serce, taka boleść nieznana wpiła się w pierś jego, iż czemprędzej uciekł do salonu. Gdy wyszedłszy ztamtąd koło godziny dziesiątej, znowu mijał owe schody, ta sama myśl przemknęła mu się przez głowę, to samo uczucie targnęło jego nerwami.

I znowu to samo w południe.

A w chwili, gdy wyjeżdżając na spacer, przechodził tamtędy wraz z hrabiną i narzeczoną, boleść jego stała się stokrotnie dotkliwszą. Ach, jak Henryka była piękną wówczas i wesołą ową wesołością szczerą blondynki; z jakim zaufaniem błogiem patrzyła błękitnemi oczyma na narzeczonego. Och! jak on ją kochał i jak wielki dowód dawał tej miłości, zmuszając się do uśmiechu w chwili, gdy owo miejsce budziło w nim tak gorzkie wspomnienia.

Łatwiej atoli zapanować nad wyrazem twarzy, nakazać milczenie wzrokowi, złożyć do uśmiechu usta, grać rolę obojętnego lub wesołego, aniżeli przewyciężyć myśl

samą. Doświadczył tego Nayrac, gdy po powrocie z przechadzki, idąc ponownie korytarzami hotelu, znowu stał się łupem tej samej myśli, zawsze tej samej, ściśle złączonej z tem samem wzruszeniem nieprzewyciężonem.

— Gdybym je spotkał..

Napróżno usiłował przekonać siebie samego, że Paulina Raffraye bynajmniej nie chce ani go prześladować, ani intrygować przeciwko niemu, ani chyłkiem zyskiwać zaufania pani Scilly celem zburzenia jego spokoju — tego spokoju, który Henryka z zalotnością rozkoszną zwała: swoją „piękną gwiazdą stałą.“ Już sam fakt, że przebywa on z nią pod jednym dachem, mówił mu dostatecznie, iż spotkanie z nią, twarz w twarz, jest nieuniknionem.

Skoro po spędzeniu wieczoru, podczas którego tym razem mógł przynajmniej z większą łatwością odgrywać komedię spokoju — ach, mój Boże, ileż wysiłku wymagają takie kłamstwa od kochającego serca! — na nowo ujrzał się w swem mieszkaniu samotnem, wyznał natychmiast przed sobą samym: nie może i nie będzie mógł odczuwać nadal takiego szczęścia bezwzględne, jak poprzednio, przed kilku jeszcze dniami, podczas przechadzek porannych z Henryką po wspaniałych alejach willi Tasa, kąpiących się w powodzi światła.

Biegał tam i napowrót po pokoju, coraz bardziej stroskany uświadomieniem jasnem swojego położenia. Narzeczoną kochał szalenie. Ze strony Pauliny nie obawiał się zasadzki. Nie ciągnęła go do tej ostatniej żadna z owych namiętności ukrytych, ogarniających nas

niekiedy, nawet w okresach nowego i szczęśliwego uczucia, na wspomnienie dawnych pieśszcot, co świadczy niejako, że nigdy nie można całkowicie przestać kochać tego, co raz w życiu kochało się miłością głęboką. Nie, takie wzruszenia były dalekimi od niego, nieprzewyciężona jeno trwoga ścisłała mu serce.

Zastanawiając się głębiej nad źródłami owej obawy, spostrzegł, iż po raz pierwszy powstała ona w chwili, gdy pani Scilly z prostotą naiwną opowiedziała mu o szczegółach pobytu Pauliny na wsi. Cóż z tego, że nie dziesięć, nie sto razy powtarzał sobie, że są to kłamstwa! Bądźcobądź wywołały one wątpliwości, które zmieniłyby się w wyrzuty sumienia najcięższe, jeżeli te kłamstwa rzekome okazałyby się prawdą.

A nadto była tam jeszcze jedna okoliczność, pomnażająca obawę — choćby tylko poparta małym prawdopodobieństwem, jak jeden do dwudziestu, do stu, do tysiąca — okoliczność, iż córka pani Raffraye była również i jego dziecięciem.

Ta możliwość okropna zawładnęła całą jego myślą, boć od początku samego widział w niej pewne znamiona prawdy. Jeszcze wczoraj i przedwczoraj, w pierwszych chwilach po dowiedzeniu się o przybyciu Pauliny nie pojmował, że na dnie owych wszystkich szalonych przypuszczeń, tkwi naprawdę tylko jeden cień, do głębi raniący jego serce. Tym cieniem — pochodzenie owego dziecięcia. Dramat istotny krył się w spotkaniu niezawodnem z maleńką istotą, której zawsze unikał. Owych obaw, owego oczekiwa-

nia, wstrząsającego nim do głębi, nie mógł nawet przewyciężyć magnetyzm świętej, wielkiej miłości, którą czuł dla Henryki.

V.

Mała Adela.

Piekło zdwojonych uczuć! Nieszczęsny labiryncie zawikłań sercowych! Młodzieniec pożąda was, boć jest naiwnym w swych błędach najcięższych. Nadmiar życia domaga się w nim wyładowania pod postacią najbardziej pożądaných rozkoszy i smutków z niemi związaných.

Mężczyzna po trzydziestce natomiast wygląda tylko raju uczuć szczerých. Wie on wybornie, że szczęście polega jedynie na oddaniu wyłącznem całej istoty naszej innej istocie — oddaniu stanowczem bez ukrywania ani jednej myśli naszej, ani jednego popędu. Wie o tem, ale niestety zapóźno. Niepodobna mu bowiem zostać z powrotem dziecięciem dwudziestodwuletniem, które kocha i zaślubia dziecko ośmnastoletnie; nie szcędzą oni sobie wówczas wzajemnie ani czystości ducha, ani dziewiczości serc, bijących poraz pierwszy tentnem przyśpieszonym, ani pocałunków ustami, które jeszcze nie kłamały, ani podniecenia zmysłów, nie spalonych dotychczas gorączką grzeszną.

Ach, wieluż to z pomiędzy nas lekceważy sobie owe warunki wielkiej miłości!

Każdy chce zasmakować w owocach dobrego i złego, w owocach złowieszczych i przeklętych. I dopiero potem pragną zawinąć do przystani małżeństwa, pożądadają z powrotem rozkoszy, jakie daje cnota.

Tym i owym przychodzi z łatwością nawrócić się na drogę prawą; innym atoli nie. Błędy poprzednie niejako więżą ich; jakaś sprawiedliwość losu nie pozwala im już odzyskać tego, czem raz wzgardzili.

Franciszek poznał wartość cnoty w miłości dopiero podczas kilku miesięcy swej sielanki naiwnej. Tembardziej oceniał ją, gdy wszedł na drogę kłamstwa, powodowany czy to roztropnością, czy słabością, czy też obawą przed następstwami zbyt trudnego wyznania. Boć kłamstwem i zbrodnią zarazem wobec miłości było grać komedję spokoju. Milczeń, kiedy w głębi piersi nurtuje taka obawa, nie godziło się przy boku tej, z którą miało się iść przez życie, jak anglicy mówią, *for better, for worse*, dobrymi i złemi szlaki.

Boć to było nawet kłamstwo wobec siebie samego!

Nie mogąc zdobyć się teraz na postanowienie otwarte i stanowcze, narażał całą przyszłość swoich uczuć. Ową chwiejnością czyli wyczekiwaniem spotkania córki Pauliny Raffraye wywoływał dobrowolnie cały szereg nowych wypadków, czemu mógł przeszkodzić ścisłym spełnieniem obowiązków. W dniu, w którym związał się z Henryką Scilly, zerwał tem samem raz na zawsze z przeszłością. Czyż nie równał się tedy zdradzie, niedającej się usprawiedliwić żadnym wykrętem — ów powrót obecny, nawet pod taką postacią bolesną, ku przeszłości bez zawiadomienia już to narzeczonej, już to

co lepiej jej matki? Wreszcie te świeże zdarzenia, ku którym ciągnęła go dziwna mieszanina tęsknoty, tudzież wyrzutów, spadały na niego tak szybko, że nawet nie mógł spokojnie zastanawiać się nad swemi skrupułami. Wrażenia coraz silniejsze i zgoła nieprzewidziane ścigały go, przesładowały, pchały dalej i dalej.

Franciszek przez owe godziny bolesne wciąż tylko rozpamiętywał, jak potrafi znieść spotkanie się z Pauliną Raffraye, oraz jej córeczką, bądź w towarzystwie swych pań, bądź sam. Biedak, nie zdobył się jeszcze na przypuszczenie, że Henryka wraz z hrabiną zobaczą dziecię przed nimi bez niego; że zajmą się niem; że powiedzą mu o niem i że w ten sposób pierwszą wiadomość dokładną o zagadce tajemniczej tego urodzenia otrzyma on za pośrednictwem tych samych ust, które wznieciły największe szczęście w jego sercu. Powie mu to głos słodki i nieco stłumiony jego narzeczonej, jej głos tak dźwięczny, tak mu drogi, a przecież w owej chwili tak go boleśnie raniący.

Dwa dni minęło za ledwie, a już biedny Franciszek, usiłujący zdać sobie sprawę z przyczyny istotnej swego smutku, z przerażeniem spostrzegł, iż jest nią chęć chorobliwa ujżenia córki Pauliny. Ta chęć zmieniała się w potrzebę, konieczność raczej. Owe dwa wieczory przeszły względnie szczerze i spokojnie, gdyż Franciszek troskliwie czuwał nad swem postępowaniem. Gdzież atoli podziała się ta szczerłość serca, to wzajemne zaufanie, to szczęście i ta duma, którą chlubił się z powodu swych zaręczyn?

Oto jeden z sycylijskich poranków, przezroczysty błękitny...

Franciszek musiał wyjść na miasto, sam jednak, celem porozumienia się z bankierem, u którego miał otwarty kredyt. Podobna samotność, choćby tylko na jedną godzinę, przyniosła mu teraz znaczną ulgę.

Jakież spustoszenia niestety porobiła już obłuda, którą się rządził, w jego miłości dla Henryki. Jakże ciężyło na jego duszy owo kłamstwo; jakże żałował iż nie posłuchał pierwszego popędu! Gdyby był wyznał wszystko, naprzykład pani Scilly, której energię znał dokładnie, ta ostatnia najniezawodniej opuściłaby terazniejsze miejsce pobytu; wszyscy troje udaliby się do innego miasta albo przynajmniej odbyliby kilkutygodniową podróż. Za jej sprawą pozbyłby się wszelkich przypuszczeń chorobliwych. A tymczasem...

Idąc oraz wracając z banku, musiał przechodzić przez ową część promenady, gdzie przechadzał się pospołu z Henryką przed kilkoma dniami podobnego poranku! Co za wesołość panowała wtedy, gdy jeszcze nie przeczuwał obecności kobiety, która będąc geniuszem złym jego pierwszej młodości, zaczęła nagle zatruwać błogość drugiej! Ten sam prześliczny krajobraz roztaczał się wokoło niego.

Fale błękitne, obramowane paskami piany, uderzały o palisady bulwarku. Szereg pałaców wspinał się po tarasach wspaniałych. Las masztów zapełniał oba porty. Wyciągnięte pod sznur ulice, pełne blasków słonecznych, ożywiali cudzoziemcy, jadący na konikach i osiołkach, prowadzonych przez wieśniaków, o rysach arabskich, oczach czarnych, połyskujących i cerze oliwkowej. Wszystko to samo: i fale i pałace i maszty i ulice.

Jak przecież Franciszek zmienił się od tego czasu!

W kilka dni gmach jego szczęścia, przegryziony wyrzutami i niepokojem, runął. Teraz już zapóźno odkryć prawdę pani Scilly. Umarłby ze wstydu, gdyby prócz błędów dawnych, musiał jeszcze wyznać na dobitkę i to najświeższe milczenie kłamliwe. A wreszcie do chwili spotkania się z dziewczynką, skądże zdoła wiedzieć, jakie uczucie owładnie nim na jej widok? A może twarz jej wykazuje podobieństwo zbyt rażące z Franciszkiem Vernantes, rywalem tak znienawidzonym? Boże sprawiedliwy! A tożby spał następnej nocy snem jak najspokojniejszym, gdyby zdobył dowód choć drobny, że nie mylił się, potępiając Paulinę i twierdząc, iż w żyłach jej córki nie płynie ani kropla jego krwi!

Dziedziczność dostarcza nieraz takich dowodów.

Idąc ulicami, następnie dosyć długo czekając w biurze bankiera, lubował się w owem przypuszczeniu, przedstawiającem jedynie możliwy dla niego punkt wyjścia.

Kolejno przypominał sobie córeczki swoich znajomych, urodzone z miłości cudzołożnej i kropla w kroplę przypominające swego prawdziwego ojca rysami oblicza, budową ciała, barwą włosów, oraz źrenic. Mimo to nie łudził siebie samego twierdzeniem, iż tak wyraziste dowody przytrafiają się często. Ta sama dziedziczność obfituje w tyle tajemnic nieodgadzionych i zawikłanych, iż często jeno pogłębia tkwiące w nas ostrze powątpiewania.

Jedną wyłącznie matką jest stanowczo i niezachwianie pewną swego syna czy córki. Jej łono bowiem ich wydało. Ona wie, że to kość z jej kości, ciało z jej ciała. Ona wie o tem.

Potem Franciszek przypomniał sobie, z jakim entuzjazmem Henryka podnosiła, że na sądzie ostatecznym wszystkie sumienia będą widoczne, jedno dla drugich. Jej uczucia — powtarzała — są tak dobrze umieszczone, że z pogodą błogą wyczekuje ona śmierci; przeciwnie bezwątpienia dzieje się z tymi ludźmi, którzy nie są pewni serc, przez siebie ukochanych...

Kiedyindziej młodzieniec z zachwytem przypominał sobie podobne zdania, pozwalające mu jeszcze bardziej ubóstwiać narzeczoną. Teraz atoli takie przypomnienia krwawiły mu tylko serce.

I na to serce skrwawione spadły niby grom w chwili, gdy wchodził do salonu, słowa narzeczonej, wzniecając całą burzę strachu, wśród wiru gorzkich rozpamiętywań z bieżącego poranku.

— Zastajesz pan nas wielce wzruszonymi — zaczęła pani Scilly — a przedewszystkiem Henrykę... Byliśmy świadkami sceny przelotnej, ale tak melancholijnej...

— A więc wychodziłaś? — zagadnął Franciszek, zmuszając się do tonu wesołego, do odcienia wyrzutu pod adresem Henryki. — Czyż to zgadza się z twoją migreną? Zwłaszcza, gdy mnie nie było...

— Nie gderaj — przerwała figlarnie panna — ma wiele pisała. Ty nie wracałeś. Mnie zrobiło się lepiej. Zeszliśmy odetchnąć świeżem powietrzem w ogrodzie hotelowym. Ale mimochodem, przekonałam się, że niesłusznie gardziliśmy tym ogrodem...

— Obrzydza mi go *tennis* — odparł młodzieniec — kaplica anglikańska, dziewice, które wiecznie malują

tam wylizane akwarelle to z gromadą eukalyptusów, to z bambusów kępą, to z aleją parku, lub *tempietto*, naśladowaną z greckich wzorów. .

— A właśnie — podjęła Henryka — nie było tam dzisiaj rano ani jednego gościa, z wyjątkiem dziewczynki i bony, siedzących na jednej z ławek, wiesz, tych w głębi. Pamiętam wybornie, że nie cierpisz tego pięknego przydomku „aniołek“, którego nasze mamy tak lubią nadużywać. Lecz nie znajduję doprawdy innego miana dla tego dziecka tak pięknego, tak delikatnego!.. Dziewięć, dziesięć lat najwyżej, kręcące się włosy blond, o tych refleksach ciemnych, co to wasi nieprzyjaciele, anglicy zowią *auburn*. Po tych włosach poznałam ową dziewczynkę, bo widziałam ją już przedtem w tym samym ogrodzie. Domyśliłam się, iż jest to, przypominasz sobie, córeczka owej chorej pani z góry... Zdawało się, że mam słusność. Tym razem atoli mogłam przyjrzeć się jej twarzy. Trudno wyobrazić sobie piękniejsze stworzenie, i wiotka, i zgrabna, i drobna; oczy brunatne i łagodne, cera barwy róż prawdziwych...

I pokazała na róże żółtawe, zaledwie zaczerwienione, których pęk Franciszek trzymał w ręku, kupił go od przekupnia kwiatów, mającego handel pod gołem niebem w rogu rynku, kupił częścią przez przyzwyczajenie, częścią celem zdobycia dobrej sposobności do zawiązania rozmowy przy wejściu.

— Lecz — ciągnęła uporczywie dalej Henryka — za chwilę pojdziesz jeszcze lepiej, dlaczego ta dziewczynka szczególnie mię odrazu zajęła i zdziwiła. W sposób bowiem niesłychanie uderzający przypomina ów portret

idealny twojej siostry, która miała wtedy lat dziesięć, portret, tak przez nas kochany... Nieprawdaż mammo?

— Jest tam pewien rys — odpowiedziała pani Scilly — istotnie jest pewne podobieństwo. Bądźcobądź nie posiadam tak, jak ty, żyłki do wyszukiwania podobieństw, a zresztą wszystkie te drobne istoty zbyt nerwowe, zbyt wrażliwe posiadają ten sam wdzięk...

— Nie, nie — podjęła Henryka — tutaj tkwi coś więcej, aniżeli rys jeden. Jestem przekonana, że Franciszek dozna tego samego, co i ja wrażenia, gdy zobaczy ową dziewczynkę. Nieprawdaż, to już samo przez się zmuszało mię, bym patrzyła na nią odmiennemi oczyma, aniżeli na inne dzieci? Zgadnij atoli, w jaki sposób się bawiła? Trzymała w swych objęciach lalkę, niemal tak dużą, jak ona sama, zawijając ją w rozmaite chustki i szale celem wyprowadzenia na spacer. Tak obwijając, równocześnie prawiła jej rad tysiące.

Był to szereg czułości bez końca, Wyrażała jej swe współczucie, że jest tak chorą, bardzo chorą. Przypominała jej, że lekarze wysłali ją na Sycylię, by się leczyła; że to nader daleko, trzeba zatem korzystać z owej podróży, wystrzegać się wiatru, a nadewszystko siedzieć w słońcu. Gromiła ją, że wczoraj zbyt długo pozostawała na dworze, gdyż przez całą noc kaszlała i Anusia musiała wstawać — Anusią nazywa się jej piastunka. — Wreszcie dawała jej rozmaite wskazówki, niemal w terminach technicznych tak, jak zapewne posłyszała od doktorów, zebranych koło matki...

Trudno mi opisać, do jakiego stopnia to nas wzruszyło, mamę i mnie, owa mała, świadek naoczny tylu

scen smutnych; pielęgnowała nadto swą wielką córkę, jak się wyrażała, z zapalem niesłychanym... I uczułam tyle litości dla tego biednego dziecięcia, że chciałam koniecznie z nią pomówić.

Zbliżyłyśmy się niepostrzeżenie, a ja zaczęłam głaszać piękne pierścienie jej płowych włosów. Obróciła się zaczerwieniona. Jakiś błysk gniewu, czy złości zamigotał w jej oczach. Z wysiłkiem ująwszy lalkę, skryła się pośpiesznie w fałdach spódnicy starej pokojówki. Ta widząc wstręt, okazywany nam przez dziecko, zmięszała się niepomiernie. „Jest tak dziką“, powtarzała, a gdym dopytywała się uporczywie: „Jak się panienka nazywa?“ — „Odpowiedz przecież“ — namawiała piastunka — „Panna Adela Raffraye“ i zrozpaczona boczeniem się dziecka, ciągnęła dalej: „To tak mało jeszcze widziało świata, tyle lat spędziło na wsi; lecz jest się przecież bardzo grzeczną, kiedy się tylko chce...“

Ja — prawiła wciąż Henryka, śmiejąc się, — która roszczę sobie pretensyę do brania przebojem wszystkich dzieci oraz wszystkich psów — paliłam się ze wstydu, poniółszy taką klęskę. I trzeba było oddalić się, nie zajrzawszy ani razu w piękne oczy rozgniewanej Adeli...

Wnet też dodała z nowym odcieniem wzruszenia w głosie:

— Czyż to wszystko nie smutne samo przez się, ta dziewczynka, wmawiająca w lalkę jad choroby, — choroby, która zrobi z niej sierotę jutro, za tydzień, za kilka miesięcy?

Henryka opowiadała ową przygodę naiwną z widocznem wzruszeniem. Odczuwała ją głęboko, może

skutkiem pewnego popędu romantycznego, który rzucał wdzięk poetyczny na wszystkie, opowiadane przez nią obrazki z życia.

Była to nawet zdolność artystyczna raczej, którą wielu kobietom daje ich własne serce, podobnie jak pisarze lub malarze biorą je z mózgu.

Franciszek uwielbiał zawsze ów dar narzeczonej, obecnie przecież ta ostatnia zdziwioną była, widząc go niemożliwie wzruszonym. To wzruszenie było tak wielkiem, iż powtarzał bez przestanku tylko dwa słowa:

— Biedna mała!.. Biedna mała!..

— Nieprawdaż — podchwyciła znowu Henryka — scena podobna może zranić do głębi?

— Och! tak, do głębi rani — odpowiedział, uznając w duchu, iż to wyrażenie aż zanadto trafnie zgadza się z rzeczywistością.

Wszystkie jego roztrząsania poranne, któremi chciał ukoić własny niepokój, rozwiało na pył to spotkanie się narzeczonej z dziewczynką. Henryka bowiem opowiadając swą przygodę, aż zanadto wyraźnie podkreśliła owo podobieństwo rażące między portretem jego siostry Julii, a tem dziecięciem.

Owo podobieństwo właśnie niby grot ostry przeszło mu serce.

Przed godziną jeszcze zatapiał się w teoryach dziecizności, stamtąd wyczekując pociechy i uzdrowienia. Był pewien, iż najmniejsze podobieństwo rysów dziecka z obliczem jego rywala raz na zawsze przywróci mu spokój, a równocześnie usprawiedliwi zerwanie brutalne

z matką. Tymczasem ta sama dziedziczność wznieca w nim burzę najokropniejszą.

Szcześliwym był doprawdy, iż coraz gwałtowniejsza migrena Henryki pozwoliła mu usunąć się do swego mieszkania.

Och! jakże szybko zmieniły się czasy! Jeszcze niedawno bladeść najłżejsza na policzkach narzeczonej, jakieś zmęczenie, ot, drobnostka zwyczajna niepokoiły go niemal do szaleństwa. Teraz zaś czuł się szczęśliwym, iż cierpienie Henryki przywraca mu chwilowo wolność.

Lecz on naprawdę tak koniecznie potrzebował samotności, aby zajrzeć oko w oko temu nieoczekiwanemu rozwiązaniu dręczącej go zagadki. Zdobył się teraz nawet na energię patrzenia na portret — bynajmniej nie narzeczonej.

Gorączkowo wpijał się wzrokiem w podobiznę siostry, czerpiąc atoli stamtąd nie pociechę i siłę moralną, lecz coraz to większą dozę smutku, tudzież zniechęcenia.

Owa fotografia, o której właśnie Henryka wspominała, pochodziła z lat dawnych

Pani Archambault miała wówczas zaledwie lat dziesięć. Wizerunek wypłowił; rysy twarzy i ręce nabrały jakiegoś odcienia żółtawego; ubranie i krynolina mówiły o epoce dawno minionej. Ilez atoli wspomnień słodkich i zarazem gorzkich ech z przeszłości wzbudziła w sercu Franciszka ta pamiątka mizerna. Nazwisko, fotografia tudzież imię miejscowości przypomniały mu chwile dawno minione, spędzone nad brzegiem morza wraz z Julią i rodzicami, tak jeszcze pełnymi pozornie życia, w zakątku Bretanii, dokąd nigdy od tego czasu już nie za-

glądał. Było to niby tak niedawno, a przecież co za przepaść nieprzebyta oddzielała go od owej przeszłości!

I widział znowu przed oczyma ducha, swą towarzyszkę, większą od niego, starszą siostrę, tak już poważną, opiekującą się nim nawet podczas zabawy i przekładającą nad wszystko inne gry poważne, niemal milczące. Nienawidziła skoków gwałtownych, okrzyków głośnych, nieporządku, a nawet nowych twarzy; jej zajęcie najmilsze zasadzało się na graniu wobec niego roli mamy, lubiła obchodzić się z nim zupełnie tak samo, jak Adela Raffraye obchodziła się ze swoją lalką.

Ach! jakież to były rysy wspólne owej Adeli i Julii: troskliwość wzruszająca w pielęgnowaniu chorej lalki, a powtóre owo gniewne unikanie wszelkich pieszczot osób nieznanych.

Jeżeli nadto podobieństwo twarzy w samej rzeczy jest tak znacznem, jak mówiła narzeczona, to wystarczy mu jeden rzut oka, aby ocenić słuszność owego twierdzenia. Nosi on oblicze siostry tak głęboko wryte w pamięci, iż raz spojrzawszy na dziewczynkę, powie natychmiast:

— Tak, to nasza krew.

Albo też:

— Nie, ona nie należy do nas.

Cóż tedy w pierwszym wypadku wypadnie mu uczynić? Sam nie wie. Do niedawna jeszcze tak głęboko był przekonany o wiarołomstwie Pauliny, uważał ją za takiego potwora obłudy, że nawet nie przypuszczał możliwości czegoś wprost przeciwnego. Ani na chwilę nie wątpił, iż córka Pauliny nie jest jego córką. Unikał

ich obojga, matki i córki, jak się unika kłamstwa, oraz zdrady.

A teraz owo podobieństwo rażące rozpalało w nim nagle żądzę nieprzepartą zobaczenia tej dziewczynki natychmiast i za każdą cenę, żądzę przekonania się ostatecznego, żądzę zatarcia owych lat oddalenia. Jeszcze chwila, a gorączka doprowadziłaby go do wtargnięcia aż do salonu pani Raffraye, celem zobaczenia bez zwłoki i jej i dziecka.

— Zwaryuję! — szepnął, puszczając portret i padając na fotel — trzeba by nie mieć wstydu, aby na milczenie Pauliny odpowiadać krokiem podobnym. Będzie rzeczą daleko prostszą postąpić na podobieństwo Henryki i pani Scilly, to znaczy zejść do ogrodu około godziny jedenastej. Znajdę tam zapewne dziecko oraz piastunkę, którym matka nie pozwoli wychodzić na miasto, w ulice gwarne, a pełne ludzi obcych, podczas gdy sama z powodu osłabienia nie może mu towarzyszyć. Tak, to będzie prostszem.

Ale owa rzecz wydawała się Franciszkowi prostszą jedynie na pierwszy rzut oka.

Od samego początku pobytu w Palermo Franciszek przepędzał dni niepodzielnie z narzeczoną, dla siebie samego nie zachowując ani jednej godziny swobodnej. Zwykła to nieroztropność zakochanych. Dobrowolnie wyrzekają się wolności, dobrowolnie krępują siebie tysiącami węzłów tak, iż później, gdy zajdzie potrzeba uwolnienia się choć na chwilę, muszą uciekać się do podstępów obmierzłych.

To też i Franciszka wnet porwał za sobą ów strumień logiki wszelkich położań fałszywych. Raz zataiwszy prawdę, musiał teraz pomnażać zdradę już nie zamilczaniem uczuć rozdwojonych, lecz kłamstwem czynnem, kłamstwem słów i postępków.

Wieczorem, chcąc sobie umożliwić zejście do ogrodu w dniu następnym, wspomniał niby to od niechcienia:

— Zapomniałem uprzedzić panie, że jutro rano muszę was opuścić na kilka godzin. Mój bankier żąda, bym jeszcze raz przyszedł w sprawie owego czeku ..

— Odprowadzimy cię — podjęła matka — i będzie dobrze. Zaczekamy w powozie...

— O! to może paniom zepsuć całą przechadzkę — odparł żywo Nayrac. — Ci Sycylijezycy niekiedy tacy są dziwaczni, tyle przeszkód stawiają w interesach. Kto wie, czy nie zajmie mi ta historia godziny, albo i więcej...

— Ależ ja to wszystko pogodzę z największą łatwością — wtrąciła Henryka. — Odwieziemy cię do banku, potem pojedziemy do ogrodu Angielskiego, gdyż to niedaleko z tamąd i odeślemy ci powóz, a ty przyjedziesz, jak tylko będziesz mógł...

Bezwiednie tą propozycją Henryka ułatwiła Franciszkowi spełnienie jednej z najstraszniejszych zbrodni miłosnych: nadużycia zaufania. Bystra i znająca niemal do głębi narzeczonego, odrazu już z brzmienia jego głosu odgadła, że wniosek matki zgoła mu się nie podobał. Tłumaczyła to sobie przecież troskliwością o hrabinę.

On wiedział, że chorej szkodzi wszelki wiatr, czekanie zaś przydługie w otwartym powozie mogło jej istotnie przynieść uszczerbek.

Potwierdził zresztą owo przypuszczenie i sam Franciszek, gdy w minutę potem na chwilę zostali sami. Obawiał się bowiem nadewszystko, by to serce niewinne nie powzięło jakiegokolwiek podejrzenia.

Brnął tedy dalej na owej drodze kłamstwa, sprawdzając zarazem na sobie samym ową prawdę, jak trudną i łatwą zarazem rzeczą jest oszukiwać kochającą kobietę; trudną, gdyż spostrzeże ona każdą zmianę, każde drgnienie ducha; a łatwą dlatego, ponieważ wierzy w powody najnieprawdopodobniejsze, jeżeli tylko podaje je mężczyzna ukochany. I tak to ciągnie się aż do dnia, w którym ona z rozpaczą odkryje, że on kłamał.

Lecz wszystkie te względy teraz nie zdołałyby powstrzymać Franciszka, przejętego jedną tylko myślą, ogarniętego gorączką odzyskania na jutro swobody.

Noc spędził bezsennie, ale nie wyrzuty niestety spędzały sen z jego powiek. Przeciwnie, trapiły go tylko pytania, czy te wszystkie wykręty doprowadzą go do pożądanego celu? Czy nie będą one bezpożyteczne? Czy dziewczynka istotnie będzie w ogrodzie i czy będzie bez matki?

Według programu, hrabina z córką zawiozły Franciszka do starożytnego pałacu, ongi zbudowanego przez jednego z namiestników Piotra Aragońskiego, a dzisiaj przyozdobionego na fasadzie napisem: *Kredyt Sycylijsko-Wschodni*.

Pożegnał je z miną, rzekomo najswobodniejszą.

Zaledwie atoli powóz zniknął na zakręcie placu, a wraz z nim i złocista główka Henryki, przywołał do-
rożkę i wskoczywszy, kazał woźnicy pośpieszyć co konie
wyskoczą, do *Hotelu Kontynentalnego*.

Po ośmiu minutach już był w korytarzach hotelu,
przebiegał wspólny salon i znalazł się w ogrodzie. Serce
biło mu gwałtowniej, niż w pojedynku przed wycelowa-
ną lufą przeciwnika.

Mały ogródek Hotelu Kontynentalnego całkowicie
zasługiwał na szydercze żarty Franciszka, któremi tenże
wciąż się popisywał.

Była to bowiem mieszanina dziwaczna przyrody po-
łudniowej i anglomanii, stanowiącej słabostkę właścicie-
la hotelu. Dawny rewolucjonista, musiał w 1849 roku
uciekać na Malte, a potem do Anglii, gdzie nabrał po-
prostu chorobliwego zamiłowania do zwyczajów owej
krajiny.

Owo zamiłowanie przecież, niemal karykaturalne,
wyzyskiwał on równocześnie bardzo praktycznie, jak do-
bry kupiec, gdyż ubrawszy się w tużurek, sprowadzony
z Londynu, w kapelusz, sprowadzony z Londynu, w kra-
wat, zamówiony w Londynie, uczesany niby gentleman
w *Punch'u*, przechadzał się po chodnikach Palermo, słu-
żąc swemu hotelowi za żywą reklamę.

Co więcej, jego postać — postać kawalera Francisz-
ka Rendy, albo popularnie don Ciccia widniała na kar-
tach licznych opisów podróży, wydawanych w Londynie.
Wszystkie te dzieła znajdowały się w księgozbiornie hote-
lowym, a zarazem stanowiły wiarogodny dowód jego

angielskości, co pozwalało mu obliczać rachunki nie w *frankach*, lecz w znacznie wyższych *szylingach*.

Słowem, cały jego hotel z przyrządami do gry, w tennis, rozłożonemi w cieniu palm, z ładniutką kaplicą protestancką w stylu gotyckim, z niezliczonymi *rocking - chairs* (fotelami na biegunach) i dziennikami ośmiokolumnowymi, rozłożonemi na werendzie, przytykającej do ogrodu, wyglądał niby kolonia anglo-saksońska, rzucona trafem na ziemię afrykańską.

Lecz tego ranka Franciszek nie miał czasu myśleć o wstrętnych mu zamiłowaniach gospodarza.

Raz znalazłszy się w ogrodzie, szedł prosto odosobnioną aleją, koło *tempietto*, gdzie wczoraj Henryka i pani Scilly, natknęły się o tej samej godzinie na Adele Raffraye.

Dzisiaj w tej alei nie było nikogo.

Obszedł tedy kapliczkę a potem zawrócił się na przeciwległy koniec, przeznaczony do gry w tennis i dlatego otoczony dokoła drutem. Dwie pary anglików i angielskiek rozgrywały tam partyę; te same tradycyjne kostyумы z białej flaneli, te same ruchy systematyczne i sztywne, jak gdyby nie przyświecało tutaj piękne słońce sycylijskie, lecz otaczały opary wilgotne na wyspie Wight lub w Kent.

Nagle zatrzymał się jak skamieniały, jak spiorunowany uczuciem dziwnem, którego nigdy przedtem i zapewne nigdy potem nie dozna.

Wśród gromadki bowiem widzów, przypatrujących się tej jednostajnej zabawie, spostrzegł dziewczynkę, której szukał..

Spostrzegł i poznał ją natychmiast, chociaż jej nigdy przedtem nie widział. Henryka jednak trafnie twierdziła — zbyt trafnie nawet, acz sama tego nie mogła osądzić. Naprzeciwko niego stała, wskrzeszona i żywa jego siostra Julia, kropla w kroplę podobna do tej, jaką przedstawiał ów portret; jaka przedewszystkiem utkwiała w jego pamięci.

Adela Raffraye — ani chwili bowiem nie wątpił o tożsamości dziewczynki — trzymała się prosto, oparta o pień wielkiego eucalyptusa, odartego z kory, o liściach wielkich, a lśniących. Tuż przy sobie posadziła na krześle lalkę — ową lalkę chorą — której rumiano pomalowane policzki tworzyły przeciwieństwo zabawne ze stosem pookręcanych w około niej chustek. Na drugim krześle siedziała starsza już wiekiem bona, bezwątpienia Anusia, robiąca pilnie pończochę.

Uwaga dziewczynki niepodzielnie skupiła się na toku gry, dla niej całkowicie nowej. Ruchom piłek wtórowała poruszeniami główką, powtarzała nadto liczby, wygłaszane przez grających.

Franciszek stojąc po przeciwległej stronie prostokąta — taki kształt miał ów trawnik na zabawę w piłkę przeznaczony — pożerał wzrokiem każdy ruch, każde niemal drgnięcie powieki Adeli.

Miała ona bujne a miękie włosy blond o brunatnym połysku — włosy Julii — które w lokach, wiatrem teraz muskanych, spadały na ramionka może nieco zbyt szczupłe. Wogóle była to postać wiotka, nerwowa i delikatna; krótka sukienka błękitna odsłaniała cienkie nóżki, obleczone w czarne pończochy jedwabne. Naoko-

ło chudej szyjki bielił się szeroki, wykładany kołnierz koronkowy; twarz o rysach drobnych i oczy ciemne, w których widniała dusza za wcześniej rozbudzona, tudzież za dojrzała, ocieśniało szerokie rondo pilśniowego kapelusza.

Franciszek przypatrywał się każdemu z tych szczegółów z uporczywością gorączkową człowieka, nie chcącego wierzyć rzeczywistości dotykalnej, nie wierzącego jej jeszcze. To niebo błękitne, ten ogród zielony, ci ludzie zebrani razem, tworzyli — tak mu się zdawało — tylko ramy dla owego dziewczęcia, które mu się *ukazywało*, tak dziwnie podobne do tej poprzedniej, do jego drogiej nieboszki.

W pierwszej chwili zahypnotyzowany nadto zdaniem Henryki o tem podobieństwie niesłychanem, istotnie nie umiał odkryć między niemi żadnej różnicy.

Otwarte usteczka Adeli posiadały tę samą wadę, co i u Julii; górna warga była nieco za krótką i do połowy odsłaniała białe, wilgotne ząbki. Część środkowa twarzy dłuższa, niż podbródek, bajecznem niemal podobieństwem przypominała Julię. Wszystko tutaj, każdy członek, każdy rys był taki sam, jak i tam, tylko bardziej wydelikacowany i bardziej wiotki.

Boże! Jakaż ona była wiotką! Smutek i żałoba wycisnęły na owem dziecięciu piętno, aż zanadto widoczne i wydatne, noszonem przez tyle miesięcy w łonie matki, której serce krwawiło się, pałało nienawiścią, trapiło wyrzutami, a przecież pragnęło żyć dla istoty, z dniem każdym coraz bardziej dającej znac o sobie!

Cała ta postać w ogóle tchnęła jakąś gorączką nerwową życia; widniała ona w tem obliczu bladawem, w tych oczach tak wyrazistych, które teraz zanadto były zajęte grającymi, by mogły spostrzedz inną parę oczów, wyrażających bądź litość, bądź zdziwienie, bądź nieufność, bądź czułość, słowem wszystkie uczucia; miotające sercem mężczyzny, gdy naraz rozpoznaje krew z krwi swojej.

Jak długo mogło trwać owo wpatrywanie się bez granic i bez pamięci? Może zaledwie kilka minut, Franciszek atoli pozostałby tutaj godzinę i więcej nawet, a bynajmniej nie spostrzegłby tego, tak stracił wszelkie poczucie rzeczywistości. Zapomniał i o schadzce z pannami Scilly i o następstwach oplakanych, jakie pociągnęłoby odkrycie np. przez sługi hrabiny, obecnej jego wycieczki do ogrodu. Zapomniał nawet, że pani Raffraye mogłaby też zejść na dół, zachwycona owym porankiem pięknym tudzież ciepłym.

Tak więc, było to dla niego przebudzeniem straszliwym, kiedy spostrzegł zbliżającą się do gromadki, utworzonej z Adeli, bony Anusi, i wielkiej lalki, kobietę, w której poznał — cóż za nowe wzruszenie! — dawną kochankę.

Musiała ona przed chwilą niezawodnie przejść obok niego, otrzeć się nawet o niego, ponieważ tylko tą drogą mogła dojść do córki.

Żadne z nich przecież nie zobaczyło drugiego.

Tragicznym zbiegiem okoliczności, tragicznym tudzież i ironicznym zarazem, jak to zwykło być igraszką losu, jedna i ta sama istota, owa mała dziewczynka prze-

szkodziła, by się spostrzegli, on bowiem zbyt uporczywie wpatrywał się w Adelę, a i ona również szukała tylko swej córki.

Jakkolwiek aleja była bardzo krótką, Paulina potrzebowała dłuższego czasu do jej przebycia, szła bowiem krokiem powolnym, wlokącym się, lecz jeszcze nie pozabawionym oryginalnego wdzięku.

Franciszek z przyjemnością spostrzegł, iż nie zmieniła się, mimo iż była o dziesięć lat starszą, tudzież chorą. Zachowała ten sam profil, niesłychanie wytworny, te same rysy delikatne, które tak ongi miłował, tę samą twarz bladą, która go tyle nabawiła cierpień. Teraz jedynie owa bladość zwiększyła się znacznie, twarz ściągnęła się nieco, przez co rysy stały się wydatniejszemi; jeszcze czas pewien, a ukążą się zmarszczki.

Znać było, że jest to osoba chora na piersi, skazana na śmierć; mówił o tem płaszcz zimowy, mimo słońca, nałożony na wychudłe jej ciało, mówiły źrenice omdlewające i drzenie warg. Chora sama musiała o tem dobrze wiedzieć. Przebijało się to w spojrzeniu namięt-nem, którem objęła swoją córkę w chwili, gdy się do niej zbliżyła.

Pomimo całej swej macierzyńskiej, pomimo cierpień, zachowała sporo figlarności młodzieńczej, gdyż dawszy z uśmiechem znak bonie, by nie uprzedzała Adeli o jej zbliżaniu się, przystanąła przy córce i położyła rękę na lokach tej ostatniej.

Dziecko, podobnie, jak wczoraj zdarzyło się to Henryce, na razie zrobiło gest oburzenia. Obróciwszy się jednak, poznało swój błąd. Na widok matki twarz

jego przybrała wyraz pogodny; z skwapliwością gorliwą uchwyciła wychudłą rękę, która głaskała jej włosy, i wycisnęła na niej pocałunek, potem szybko, a z wysiłkiem małemi rękoma uniosła wielką lalkę, by podsunąć owo krzesło pani Raffraye.

Wszystko to zdradzało ową miłość wygórowaną, którą dzieci zbyt wrażliwe odczuwają dla osób, zagrożonych śmiercią. Nie wiedzą one jeszcze, co to znaczy umierać, jakiś atoli instynkt mówi im, że godzina rozłączenia bliska.

Panią Raffraye wzruszały bezwątpienia owe dowody przywiązania ze strony tego dziecięcego serca, ponieważ jej uśmiech melancholijny przybrał wyraz niesłychanej słodyczy. Usiadła, poczem dziewczynka zaczęła natychmiast objaśniać jej ową grę w tennis, nudną i łatwą zarazem. Słuchała zatem tłumaczenia córki, lecz równocześnie wzrok jej machinalnie błądził po gromadce widzów.

I nagle, niemal odrazu spostrzegła Franciszka Nayraca, który trapiiony ciekawością chorobliwą, jeszcze nie ruszył się z miejsca. Ich oczy skrzyżowały się tylko chwilę, tak długo może, jak piłki, wyrzucone silną ręką graczy. Ten przeciąg czasu jednak wystarczył, by spojrzenie Pauliny zraniło duszę młodzieńca, niby klinga ostra, a cienka. Jej oczy szare atoli, teraz nieco spłowiałe, nie wyrażały ani zdziwienia, ani pogardy, ani nienawiści, ani żadnego nadzwyczajnego uczucia. Nawet blade jej policzki ani nie zabarwiły się krwią, ani też bardziej nie pobladły. Wargi nie zadrżały. Ręka jedynie, którą pod tę chwilę głaskała włosy dziecięcia, ucisnęła

mocniej te ostatnie, podczas kiedy drugą mimowolnie przysunęła Adeleę ku sobie, jak gdyby chciała ją niepodzielnie zachować lub bronić przed wrogiem.

Nie potrzeba ani wybuchów gwałtownych, ani słów szumnych, ani gniewnych, pełnych furji gestów, by dwie istoty, które w taki sposób po latach rozłąki staną naprzeciwko siebie, natychmiast odczuły wzajemne wzruszenie, odczuły dramat bolesny, jaki się pomiędzy nimi rozgrywa.

Paulina i Franciszek poznali się — to wystarczyło zatem, by młodzieniec jeszcze w kwadrans potem, już wysiadając z powozu pani Scilly przed bramą ogrodu Angielskiego, drżał na całym ciele. Z trudnością trzymał się na nogach.

Jakże okrutnemi, lecz i usprawiedliwionemi razem były słowa, które wyrzekł do siebie samego, gdy zobaczył zdaleka sylwetkę wiotką i zgrabną narzeczonej, odzianej w suknię jasną, pomiędzy wysmukłemi pniakami palm zielonych:

— Biedna, biedna Henryka!

VI.

W n o c y.

Tak, Henryka była pożałowania godną w chwili, gdy uśmiechem najśłodszym ze słodkich witała tego narzeczonego, przewrotnego zarazem i szczerego, który mi-

mo, że ją kochał, gromadził kłamstwo za kłamstwem. Lecz i on również zasługiwał na współczucie, boć spadł na niego grom straszliwy. Owa dziedziczność, niezbadany fenomen przyrody, wydała przeciwko niemu wyrok tak oskarżający, iż pod jego ciężarem musiał się ugiąć. On, który jeszcze dzisiejszego ranka cieszył się nadzieją dopatrzania się w obliczu dziewczynki rysów znienawidzonego rywala Vernantesa, nagle ujrzał niemal cud, niemal sobowtór swej drogiej zmarłej. Niby Tomasz niewierny, musiał włożyć palce w ranę, by się przekonać, gdy się zaś przekonał, ogarnęło nim wzruszenie tak gwałtowne, że przez cały dzień nie zdołał go przewyciężyć. A tutaj koniecznie należało się maskować, należało aż do nocy samej grać rolę zadowolonego, czułego, spokojnego...

To też nareszcie, gdy oddalił się od narzeczonej około jedenastej wieczorem, poczuł, że ów wielki wysiłek moralny podczas dnia przyprawił go niemal o chorobę. Pragnął gwałtownie oddychać świeżem powietrzem i ruchem uspokoić swe wykolejone nerwy, chciał też jak najdalej uciec od owego domu, gdzie mieszkały owe cztery osoby, wśród których — bez ich wiedzy — rozgrywał się dramat jego życia przeszłego i teraźniejszego.

Nawet, kiedy się już znalazł na cichych o tej godzinie ulicach Palermo, za zbyt jeszcze bliskiem uznawał sąsiedztwo owych osób, gdyż z murami wszystkich wokoło kamienic, wiązało się tysiące dla niego wspomnień. Przepędził bowiem wśród nich tyle uroczych chwil z narzeczoną.

To też przyśpieszył kroku, by znaleźć się czempredziej po za miastem, w okolicy pustej i ciemnej. Człowiek bowiem w godzinach wielkich przejść moralnych odczuwa potrzebę ciszy, a nadewszystko samotności, zupełnej samotności, która mówiłaby o Bogu, ojcu i sędzi, który nas oświeca, tudzież wspiera w razie upadku.

— Lecz to jest moje dziecko, to moja córka...

Te pierwsze słowa do siebie samego wymówił Franciszek, zdjęty trwogą wobec potęgi dziedziczności, potem powtórzył głośno jeszcze razy kilka. Jakaś struna serdeczna drgała mu w piersiach, struna, której nie odczuwał dotychczas, na dźwięk owych wyrazów:

— Moja córka!

Były to tymczasem słowa bardzo jasne i bardzo proste. Powtarzał je często od lat już kilku, za każdym razem, ilekroć przypuszczał, że to może jego krew płynie w żyłach tego nieznanego dziecka. Owa możliwość atoli pozostała dla jego umysłu abstrakcją nieuchwytną tak, jak czemś oderwanem jest dla nas wieść o śmierci drogiej osoby, wieść, doszła nas z daleka. Wiemy bowiem, iż człowiek musi umrzeć i umiera, czem atoli jest owa śmierć, pojmujemy dopiero wtedy, gdy stoimy przy łóżku umierającego

Franciszek Nayrac przypuszczał już dawniej, że może mieć córkę, nie wiedział jednak, jakie uczucia owładną nim na widok owej córki. Gdyby przed tygodniem opowiadano mu, że owa mała padła ofiarą bardzo tragicznej katastrofy; że spaliła się lub zmiażdżyły ją dwa spotykające się pociągi, byłby, oczywista, słuchał tego z większem zajęciem, aniżeli każdego innego wypadku,

lecz nie wstrząsałby nim dreszcz przerażenia, dreszcz rozpaczy.

Teraz zaś wystarczało mu tylko przypomnieć sobie bladą twarzyczkę Adeli, tudzież jej słabe ciało, by natychmiast trwoga i ból chwytały go za serce. Jeżeli poczucie ojcowskie spało w nim długo, zbyt może długo, to od dzisiejszego ranka powstało z tem większą mocą. Z każdą minutą wzrastała w nim żądza, coraz bardziej nienasycona i coraz większa, by otoczyć ramionami ową dziewczynkę, uściskać ją, dotknąć jej włosów, obsypać pieścizotami, a nadewszystko zaopiekować się nią jak najtroskliwiej.

Bez żadnego wahania teraz, bez ociągania uznał Adelę za swą córkę; dowodu dostarczyło mu jedno spojrzenie, za którym poszedł głos wewnętrzny i ten głos był mocniejszym od tysiąca innych argumentów.

Obecnie idąc drogą, wysadzoną aleosami i drzewami oliwnemi, bolał, iż przez tyle lat systematycznie unikał tak Adeli jak i matki, płacił za ową rozłąkę gorzkimi wyrzutami sumienia.

Zrazu usiłował zwalczać owe wyrzuty przypominaniem szkaradnych postępków Pauliny. Cóż jednak z tego, że była nierządnicą, oddającą się jednocześnie mężowi oraz dwom kochankom? Niech nawet i tak będzie! Zawsze atoli matką została tylko przez niego, przez Franciszka — powiedziała mu o tem twarz dziecka, dziecizność rasy, wypisana zbyt nawet wyraźnie na owem ciałku drobnem.

Nie można tutaj mówić o jakichkolwiek kaprysach natury, która czasami dziecko z drugiego męża upodabnia do

pierwszego, już leżącego w grobie. Prócz rysów bowiem, istnieje nadto w Adeli zbyt wydatne podobieństwo duszy, charakteru, usposobienia. To było *widmo* jego siostry, to była żywa jego siostra. Tak, tak. Powinien teraz o tem pamiętać na zawsze, że pani Raffraye, choć zdradzała go dla Vernantesa, w jego objęciach została matką. Może była ona kokietką, nierządnicą, istotą bez wstydu i bez honoru, może oddawała się miłostkom pokątnym a płatnym — ach! kto to wie! — lecz on musi zawsze pamiętać, iż jej dziecko jest kością z kości jego, krwią z jego krwi serdecznej.

Nękanie takimi rozpamiętywaniem, nieświadomie zaszedł na wspaniałą drogę górską, która przez la Rocca prowadzi do Monrealu. Chodził tedy już nieraz przy boku narzeczonej. Celem ich przechadzek bywała dawna bazylika normandzka, strojna w mozaiki arabskie.

Zmęczony szybkim marszem, zatrzymał się i obrócił.

W cieniach ślicznej nocy grudniowej, nocy na Południu, ukazał się jego oczom przepiękny krajobraz. Szereg światełek oznaczał miejsce, gdzie spało miasto, oblane, jak owo morze przy mieście, jak owe góry sine, jak owa dolina urocza, srebrzystymi promieniami księżyca.

To światło srebrzyste, zmieszane z błękitem nieba, tworzyło uroczą grę barw, oraz cieni, wśród której rysowały się sylwetki ciemne drzew: wielkich aleosów, poszarpanych kaktusów, oliwek cienkich i nieruchomych pomarańcz. Milczenie głucho spowijało w swe całuny ów szmat ziemi.

To otoczenie, ta cisza, przejścia dni ostatnich, żal za grzechy przeszłości, niespodziewane spotkanie się z panią Raffraye — wszystko to wywoływało w nim teraz jakieś drzenie nerwowe, jakieś nieznanne mu do tej pory uczucie odpowiedzialności ojcowskiej.

Przygniatał go majestat owego nieba błękitnego, do niego więc wznosił źrenice, a wargi wyszeptaly modlitwę za szczęście owego dziewczęcia, które śpi słodko, tam niżej w jednym z domów tego miasta, u stóp gór i nad brzegiem morza. Śpi, z oczętami zamkniętymi a buzią nieco otwartą, śpi owym snem słodkim dzieci, nie wiedzących, co to jest los, co to jest przeznaczenie. Ach! dlaczego nie może on czuwać nad jej snem i szeptać, podczas gdy dziecko nie słyszy, wciąż tych palących jego duszę słów:

— Moja córko...

Gdyby wiedział, jakie rysy odnajdzie w owem obliczu, czy zdobyłby się na siłę uciekania od swej córki przez tyle lat? A teraz? Teraz powtarzał głośno: „Moje dziecko!.. moja córka!..“ i nie troszczył się na razie o nic więcej.

Chwytał owe słowa wiatr, który leciał górą, słyszały go liście, gwiazdy nieczułe, cała przyroda, wszystko — z wyjątkiem dziewczęcia, które spało tam, na dole. Tak, ono usłyszeć go nie mogło, gdyż prawo do czuwania nad jej snem, prawo do szeptania czułych słówek, prawo do głaskania owych loków złocistych, do odpierania ciosów losu od tego dziecięcego łóżeczka posiadał zupełnie kto inny — ktoś, który może w tej właśnie chwili schyla się nad śpiącą Adelą, by ją podziwiać, pieścić, kochać.

I przed oczyma Franciszka przemknęła się twarz Pauliny, taka, jaką widział dzisiaj rano, bladą, wychudłą i niemal umierającą. Zrazu litość go ogarnęła, lecz wnet przejęła go niechęć gorzka, gdy przypomniał sobie męczarnie, które mu zadała owa twarz blada, a tak występna. Zresztą ta kobieta do dawnych mąk świeże dodaje. Przecież jej obowiązkiem było go zawiadomić, iż Adela jest i jego córką? Znała ona Julię, jego siostrę, wybornie, musiała tedy oddawna spostrzedz owo podobieństwo nadzwyczajne. Czyż więc do dawnych zdrad nie dołączała teraz zemsty, zachowując ich wspólną córkę jedynie dla siebie? A gdyby nie przypadek, nie spotkałby ich nigdy i nie wiedziałby nawet, iż ma córkę, którą kochać i strzedz powinien.

Ta myśl, ile złego wyrządziła mu Paulina, wydarła wreszcie z jego piersi wściekły okrzyk, tak nie licujący z powagą słodkiej nocy sycylijskiej:

— Jak ja jej nienawidzę! Ach, jak ja jej nienawidzę i jak ja mam prawo jej nienawidzieć!

Tu na nowo obejrzał się, by rzucić kilka spojrzeń na Palermo, potem zaś usiłował zdać sobie sprawę, gdzie się znajduje. Stał tuż przy ogrodzie zamkniętym willi Giulia, który gdzieś na krańcach stykał się z ostatnimi drzewami hotelu Kontynentalnego.

Po chwili przeto zaczął schodzić z gór napowrót do miasta, od którego jeszcze przed minutą oddalał się z pośpiechem gorączkowym. Ten powrót nasunął mu na myśl drugą mieszkankę hotelu, czystą oraz szczerą Henrykę, która również spała obecnie, może śniąc o nim, jedynym i kochanym. Dopiero teraz, jak nigdy,

przedtem wśród obecnych wstrząśnień, tudzież burz moralnych, spostrzegł, że Henryka jest mu nad wszystko drogą. Duchem pobiegł do niej, do jej pokoju panińskiego, który zaledwie raz widział, odkąd bawi w Palermo, i to tylko przez drzwi otwarte — do jej pokoju, będącego świątynią, u której progu powstrzymywał swe najgorętsze zapęły miłosne.

W tej sekundzie przecież myślą przekroczył ów próg, który za kilka tygodni będzie miał prawo prze stać w rzeczywistości. Widział już naprzód samego siebie, jak owego wieczora wsunie się tam po raz pierwszy. Woń jej ulubionych pachnideł, woń przyjemna i niepochwytna zarazem, będzie przepełniała komnatkę. Ach, jak Henryka będzie go oczekiwała w swej prostocie szczytnej młodego serduszka!..

To marzenie budziło w nim niezmysłowe żądze, lecz najszlachetniejsze fibry jego sumienia. Uczciwość bowiem i sumienie zachował on zawsze, nawet wśród ognia rozkoszy występnych. Zachował zawsze cześć niemal religijną dla niewinności dziewiczej; rozumiał, że odebrać tę ostatnią kobiecie lekkomyślnie, nie dając jej wzamian siebie samego, znaczyło więcej, aniżeli popełnić najstraszliwszą zbrodnię.

Chciał tedy być godnym miłości Henryki, chciał zasłużyć na jej oddanie się, pragnął uczyć w niej kobietę porządną, córkę kobiety porządnej, kochającą raz jeden w życiu, z czasem matkę córek, które również będą porządnymi kobietami...

Chciał zasłużyć na to wszystko, a tymczasem po pięciu miesiącach narzeczeństwa zdradza Henrykę, kła-

mie przed nią słowem, kłamie i czynem Kłamie przed nią nawet teraz, w tej chwili, gdyż jutro nie przyzna się przecież przed nią, co porabiał poprzedzającej nocy.

Kłamstwa! Wiecznie kłamstwa! Ohydne praktyki, któremi musiał się posługiwać, kiedy podtrzymywał cudzołożny stosunek z Pauliną! Daremnie mniemał, że odtrącił od siebie precz owe wykręty, owe kłamstwa, owe zdrady; znowu otaczają go one kołem i biorą w niewolę i poddaństwo.

Bo i cóż ma zrobić?

Czy mógłby, ująwszy ową dziewczynkę za rękę, stanąć przed Henryką i powiedzieć:

— Patrz, to moja córka! Ona ma tylko we mnie opiekuna, lecz straci go, jeżeli ty na to nie pozwolisz...

Głupstwo! Nie wolno mu obrażać niewinności Henryki, nie wolno mu wtajemniczać jej w fatalny labirynt zdrad, oraz kłamstw. Ona go nie zrozumie zresztą!

Co więc robić, jak postępować? Jakiż obowiązek ciąży na jego barkach? Jeżeli bowiem uznaje się odpowiedzialnym wobec swej córki, nie mniej posiada obowiązki i względem panny Scilly. Nie mówiąc o miłości, sama już uczciwość nakazuje mu wytrwać przy narzeczonej. Henryka umarłaby z zawodu. Czy zdoła więc pogodzić oba rodzaje obowiązków; czy wogóle te dwie kategorie obowiązków są możliwe do połączenia?

Nie wahał się odpowiedzieć przecząco.

Chcąc zbliżyć się do dziecka, musiałby zbliżyć się do matki, kto wie nawet, czy nie upokorzyć się przed tą kobietą?.. A może ta kobieta zechce, by wyrzekł się pan-

ny Scilly. Na to ani honor, ani jego miłość nie mają prawa przystać.

Nawet, gdyby Paulina nie stawiała żądań podobnych, cóż właściwie mógłby uczynić dla swej córki?

To dziecko wzrastało bez niego. Nie tęskniło za nim, gdyż nie wiedziało o jego istnieniu, jak również nie znało występnego węzła, łączącego ich obojga, ponieważ wobec świata kto inny przecież uchodził za ojca Adeli.

Odwracając się od tej ostatniej, sprawiał przykrość tedy tylko sobie samemu. Przeciwnie zerwanie z Henryką groziło owej pięknej, delikatnej istocie niemal śmiercią.

Wybór drogi zatem widniał jasno przed jego oczyma; wahanie było nadal zupełnie niemożliwem. Powinien był nie zbliżać się do swej córki i cierpieć sam, tak, zupełnie sam. Czuł zaś, że odwrócenie się podobne od własnego dziecięcia, którego rysy na dobitkę przypominały mu ukochaną nad wyraz wszelki nieboszczkę, będzie dla niego katuszą straszną, niemal równą powolnej, lecz nieuchronnej agonii. Zgodzi się jednak na nią! Wymóże to na sobie samym. Zdobędzie się na konieczną tutaj energię! Postara się odtąd, by wszystkie dnia godziny spędzał w taki sposób, aby nie potrzebował rumienić się przed swoją narzeczoną, ani za jeden gest, ani za jedną myśl.

Tu ogarnął go jakiś smutek bezbrzeżny. Jasno zdawał sobie sprawę, że życie podobne zatruje mu każdą chwilę szczęścia. Zniknęły odtąd bezpowrotnie dla niego owe miesiące błogie, jakich kilka przeżył, niedawno

jeszcze przy boku Henryki. To szczęście było tak wielkiem, iż ciągle bał się jakiegoś ciosu, który spadłszy nagle, zatrułby je i zmaćił.

Istotnie zjawiły się ciosy, i to ciężkie. Owo nagle, ponowne wmieszanie się Pauliny w obręb jego życia, owa pewność ojcowstwa, zdobyta w niniejszej właśnie chwili, owa konieczność stłumienia porywów serca celem zachowania honoru, owa obawa wreszcie instynktowa przed wypadkami przyszłości, obawa, która szarpie go teraz nieustannie — wszystko to są przejścia bardzo ciężkie.

Czyż można je nazwać niezasłużonemi? Przecież każdy z owych bólów, przeszywających teraz jego pierś, tworzył tylko następstwa nieuniknione błędu, którego się dopuścił przed laty, cudzołóstwa, tak pobłażliwie zazwyczaj wybaczanego przez świat towarzyski. A jednak z grzechów ciężkich jest to grzech najcięższy, za które Pismo Święte śmiercią nakazuje karać.

Dzięki nieuniknionemu tutaj skojarzeniu myśli, Franciszek od rozpamiętywań nad owocem zakazanym przeszedł do wspomnień o przyjaciółch młodości, do wspomnień o tych, którzy nurzali się po szyję w tego rodzaju przygodach miłosnych. I nagle uświadomił sobie, że każdemu z nich los prędzej czy później narzucił pokutę bolesną ..

Oto ten zeszedł ze świata zbyt wcześnie, młody, bogaty, kochany; śmierć musiała być dla niego bardzo gorzką. Tamten drugi, ożeniwszy się następnie, nie był szczęśliwym co do potomstwa; umarło mu już dwoje ubóstwianych dzieci. Trzeci znowu towarzysz Fran-

ciszka staczał się coraz niżej i niżej, ze stopnia upadku na stopień następny, obecnie zaś lada dzień zasiądzie na ławie oskarżonych, obciążony zarzutami kryminalnemi..

A kobiety?

Tutaj pamięć jego odrazu wskrzesiła przed oczyma ducha długi szereg zająć skandalicznych, w których występowały owe upadłe grzesznice, sprowadzone najczęściej za zgodą własną z prostej drogi cnoty.

To też Franciszek, który nawet po tylu doświadczeniach bolesnych, po tylu rozczarowaniach oraz po nurzaniu się w tylu odmętach nie posiadał ani kropli sceptycyzmu i pozostał dobrym chrześcianinem, natychmiast uznał, iż całe jego położenie obecne tworzy pokutę zasłużoną za grzechy przeszłości. Co więcej, uznał, iż powinien uważać się za szczęśliwego, jeżeli owa pokuta ograniczy się do przejść dzisiejszych. Uchylił więc głowę z pokorą przed zrzędzeniami losu, postanawiając w milczeniu dźwigać na obolałych barkach krzyż, przeznaczony mu przez Stwórcę.

* *

Im bardziej zbliżał się do miasta, tem wyraźniej rysował się przed jego oczyma obowiązek, według którego powinien postępować na przyszłość. Bez żadnych układów z własnem sumieniem lub wolą musi unikać dziecięcia, którego był ojcem, jedno najmniejsze choćby ustępstwo w owym kierunku zgubiłoby go na zawsze.

Tak! Powinien nawet zdobyć się na odwagę, odwracania się od dziecka przy spotkaniu! Smutna, okropna, lecz nie mniej przeto potrzebna odwaga! Uczucie

ojcowskie, choćby raz tylko przez nieostrożność rozdmuchane, przerwałyby z pewnością wszelkie tamy, wszelkie zapory. Takiej powściągliwości zaś wobec dziecka wymaga znowu uczciwość, której winien dochować dla narzeczonej. By więc ułatwić sobie zadanie, tak uciążliwe przynajmniej przez pierwsze dni, poprzysiągł, że ani na jeden krok, ani na jedną godzinę, w miarę możliwości, nie odstąpi narzeczonej. Jej obecność powinna strzedz go przed pokusami.

Nazajutrz tedy, według przyjętego dawniej zwyczaju, jeszcze przed dziewiątą rano stawił się w salonie okrągłym, gdzie go oczekiwała pełna wdzięku narzeczona.

Po za oknami widniała przecudna panorama: piękny krajobraz z niebem turkusowem i z szafirowem morzem. Białe pałace odcinały się wyraziście na zielonem tle ogrodów palermitańskich; na dwie przystanie, pełne żagli, góry czerwone rzucały swój cień uroczysty.

Te same ramy jeszcze niedawno służyły za oprawę jego szczęścia. Teraz były one już tylko świadkiem gorzkiej boleści, jaka ogarnęła go na widok Henryki.

Kochał tę promienną postać dziewczęcą o czystych oczach pełnią swego serca, a przecież z owego serca nie mógł w żaden sposób wypłenić innego uczucia, które je krwawiło i napełniało gorączką. Myśl, że nie ma od-tąd prawa zajmować się Adelą, wywierała na nim takie wrażenie, jak gdyby był rannym. Wreszcie, mimo wszelkie wysiłki, nawet podczas rozmowy z Henryką nie zdołał odpędzić od siebie natrętnego wyobrażenia innego salonu, o piętro wyżej; widział tam małą Adelę,

jedzącą śniadanie wraz z starą boną, podczas gdy matka spoczywała w jednym z tych snów chorobliwych, tak zwykłych u ludzi, dotkniętych piersiowemi dolegliwościami.

Owo przeciwieństwo tych dwu salonów, tak bliskich siebie, a przecież tak zasadniczo różnych, wstrząsało nim do głębi. Usiłował pozbyć się takich urojeń. Udało się mu to tylko na chwilę. Wnet atoli powróciły one tem silniejsze, tem żywsze, tem wyrazistsze!

Na kilka minut przed jedenastą wszyscy troje, hrabina z córką i on, wyszli, jak codziennie, na przechadzkę. Mijając ogród hotelowy, Franciszek widział wychylające się ponad mur liście lśniące, a wielkie eukalyptusu, i szerokie kiście palm, zwieszające się ponad dachem kapliczki gotyckiej. Odrazu przyszło mu na myśl owo dziecko, które teraz tam bezwątpienia oddaje się swej poważnej, niemal smutnej zabawie. I owładnęło nim, nawet w obecności narzeczonej, która spoglądała na niego słodkimi oczyma, jakieś marzenie melancholijne. To marzenie towarzyszyło mu stale przez cały dzień, a zwiększyło się popołudniu, gdy zbliżała się możliwość spotkania pani Raffraye wraz z Adelą.

Dziwny niepokój ścisnął mu serce.

Nie mógł doczekać się końca przechadzki, podczas której musiał przebiegać długie aleje parku Favorite wraz z Henryką, kiedy pani Scilly zostając w powozie, jedynie uśmiechem towarzyszyła im zdaleka. Franciszkowi wbrew pogodnemu niebu, wbrew zieloności świeżej drzew, acz to już był grudzień, zdawało się, że horyzont pokrywają chmury coraz to czarniejsze.

Sama Henryka zresztą bezwiednie przyczyniała się do pomnożenia jego katuszy. Głosem dzwięcznym bowiem opowiadała mu ustawicznie swoje marzenia o przyszłości, marzenia o ich życiu wspólnem, o ich mieszkaniu, o ich zajęciach. Wszystkie te rojenia owej istoty szczerej i prostodusznej zasadały się na pojęciach o utworzeniu rodziny.

On sam dawniej, gdy pieścił w wyobraźni obraz szczęścia rodzinnego, pragnął zawsze zostać ojcem dzieci, w których przebijało by się nieco z usposobienia, tudzież z powierzchowności zarówno jego drogiej, delikatnej żony, jak i jego samego

Dlaczego teraz podobne rojenia przysłała myśl o tem drugim dziecięciu? Dlaczego dla tego dziecięcia, dla tej Adeli nie będzie mógł okazywać się również tak dobrym ojcem, jak i dla owych, które dopiero pojawiają się na świecie?

Podobne rozpamiętywania wstrząsały nim, męczyły go i torturowały. Spoglądał więc na Henrykę, by jej widokiem pokrzepić się na siłach, i wciąż równocześnie owe uczucia męczące rosły oraz potężniały aż do powrotu wieczorem w podwoje hotelu.

Tam znowu opanowały go inne myśli. Czy głośno czytał, jak dawniej, u stóp narzeczonej urywek jakiegokolwiek ulubionej jej książki, czy też słuchać miał jej gry na fortepianie, czy wreszcie wszyscy troje wszczynali jedną z owych rozmów, poufnych i cichych, natychmiast rodziło się w nim pytanie, co może porabiać w tej właśnie chwili Adela... I widział ją, jak już widział rano, że podbiega przed udaniem się na spoczynek do chorej

matki i patrzy na nią oczyma, w których maluje się obawa instynktowa. Czyż przeczuwa, że nagle pewnego wieczora może się znaleźć na świecie sama, bez niczyjej pomocy? Jej ojciec również wie o tem. Bo jej ojciec żyje przecież. Jej ojciec posiada i energię i siłę, których dziecko opuszczone może niedługo potrzebować, tymczasem niestety, jej ojciec nie ma prawa niesienia jej pomocy. Przeciwnie, jego obowiązkiem jest teraz umożliwić przeszkody, dzielące ich obojga. Honor wymagał, by zachowywał się wobec własnej córki, jak gdyby wobec osoby zupełnie obcej. Och! Boże! jakież to koniec występny owych miłostek występnych!

Jakże długo zdołał Franciszek wytrwać w owem energicznem postanowieniu, w owem wyrzeczeniu się Adeli?

Wytrwał kilka tygodni, a byłby zapewne zdołał wytrwać miesiące całe, gdyby nie wypadek nadspodziewany. Cierpiał bowiem, ale dotrzymywał przyrzeczenia wobec siebie samego, dotrzymywał do tego stopnia, że dwa razy, z daleka spostrzegłszy na schodach sylwetki dawnej kochanki tudzież córki — dwa razy miał odwagę odwrócić głowę, oraz nie patrzeć w tamtą stronę.

Łatwiej przecież przyszło mu stawić czoło faktom, trudniejszą już była walka z uczuciami. Nie umiał, potem nawet i nie chciał wyrwać z korzeniami miłości szalonej, gorączkowej, chorobliwej, którą żywił dla swej córki. Gdyby jeszcze oddalił się z owego miejsca, wyjechał z Palermo, być może, zdołałby powoli uleczyć serce, zranione tak głęboko. Nie taił nawet przed sobą samym, iż taka ucieczka byłaby dla niego zbawieniem

w warunkach dzisiejszych. Lecz raz już, poprzednio oznaczywszy swój wyjazd do Francyi na 25 stycznia, łudził się, że powinien wytrwać na stanowisku do oznaczonego terminu.

Przytem zbliżał się Nowy Rok, święto dzieci, a to święto budziło w nim znowu świeże rozpamiętywania bolesne. Niemal przeczuwał, iż tym razem okoliczności z wszelką pewnością postawią go oko w oko z córką, niemal przeczuwał, iż złamie przyrzeczenie, dane sobie samemu, nie umiał atoli zdobyć się na energiczne postanowienie odjazdu.

Właściciel hotelu, czcigodny kawaler Francesco Randa, chcąc zastosować się do przyzwyczajęń swych klientów z Anglii i z Austrii, urządzał co roku w najobszerniejszym z salonów wspaniałe drzewko, dźwigające świeczki na wszystkich gałęziach, od najniższych do najwyższych. Ową uroczystość dopełniało jakieś przedstawienie teatralne lub koncert o charakterze miejscowym.

Don Ciccio — zdrobniałe to imię noszący z całym wdziękiem południowca — przyniósł paniom Scilly trzy bilety na ową uroczystość, podczas nieobecności Franciszka. Tem postąpieniem dowiódł wielkich zdolności dyplomatycznych, przeczuwał bowiem, iż młodzieniec, który zawsze z niego żartował, odradzałby swoim paniom wzięcia udziału w owej zabawie.

Istotnie, odgadł.

Franciszek bynajmniej nie okazał zadowolenia, gdy Henryka pokazała mu owe bilety nieszczęsne.

— Ależ to wcale nie będzie wesołe! — wykrzyknął.

— A zatem może lepiej nie chodzić? — odpowiedziała Henryka z ową uległością szczerą kobiety kochającej, która pragnie kochanemu mężczyźnie oszczędzić choćby najmniejszych przykrości.

Tymczasem Franciszek z żywością zaprzeczył Henryce. Owszem, pójdą wszyscy troje.

Przecież powinien był widzieć, iż pani Raffraye z pewnością wszelką przyśle Adelę na ową zabawę, boć drzewko jest wyłącznie przeznaczonem dla dzieci?

Otóż wiedział on o tem, lecz sądził, że posiada zbyt odpowiednie siły, by śmiało spojrzeć niebezpieczeństwu w same oczy. Będzie miał dosyć odwagi, aby znowu odwrócić wzrok, nie powinien zatem pozbawiać swej narzeczonej uciechy, z której, biedna, tak się cieszyła.

Był więc przygotowany na nowe cierpienia w chwili, gdy wprowadzał swe panie do salonu, pełnego fraków i sukien strojnych, w pośrodku których olbrzymie drzewo rozlewało światło swych świec, oraz latarni różnokolorowych. Nie przewidział atoli, że kawaler Randa, chcąc każdemu z cudzoziemców odpowiedniego rodaka dodać do boku, zachował miejsce dla pań Scilly przy miejscach, przeznaczonych..

Dla kogo?

Ach! właśnie dla Pauliny, tudzież jej córki. Tak, tam w kącie na prawo, tuż koło owych trzech pustych foteli, ku którym Don Ciccio, ubrany niby czystej krwi klubowiec angielski, prowadził hrabinę wraz z Henryką, siedziało dziecię, formalnie zahypnotyzowane widokiem wspaniałego drzewa; opiekowała się niem stara i pocziwa bona, ubrana w suknie świąteczne, ta sama, którą

Franciszek owego poranku pamiętnego widział robiącą pończochę pod eukalyptusem. Tem dziecięciem zaś była Adela Raffraye, jego Adela!

Jeszcze chwila przelotna, a Henryka już siadała na fotelu, graniczącym z fotelem dziewczynki; pani Scilly ruchem ręki zaprosiła go, aby zajął miejsce przy narzezczonej, sama zaś spoczęła po drugiej stronie.

Paulinę niestety przykuła choroba do łóżka; Franciszek złorzeczył temu zrządzeniu losu, jej obecność bowiem napoiłaby go wstrętem oraz dodała mocy do opiekania się pokusie strasznej i niebezpiecznej, jaką przedstawiało takie blizkie sąsiedztwo z Adelą.

VII.

Drzewko gwiazdkowe.

Szmer, sprawiony przyjściem nowych gości ani na chwilę nie oderwał Adeli od precudnego obrazu, jakim dla jej wyobraźni dziecięcej było drzewko gwiazdkowe, oświetlone setką kul płomienistych, zwieszających się między ciemnymi gałęziami i gromada śpiewaków neapolitańskich, spoczywających na ziemi.

Prażkowane czapki mężczyzn, ich pasy czerwone, żółte i błękitne, różnorodność ich teatralnego przystrojenia, prostota instrumentów muzycznych, którymi się posługiwali, sposób czesania włosów u kobiet, wielkie szpilki metalowe tych ostatnich, oraz ich suknie z jaskra-

wego aksamitu, wszystkie te szczegóły, tak dla Adeli obce, musiały zachwycać ją i jej bonę; obie też bezwiednie tworzyły bardzo wdzięczny obrazek: jedna — to służąca biedna z obliczem pomarszczonem; druga — to dziewczynka dziewięcioletnia z twarzyczką młodą i świeżą. Obie zachwyty naiwny nad widowiskiem, nigdy nie oglądaniem, czynił głuchemi na otoczenie najbliższe; to też otrzeźwienie, które nastąpiło w kilka chwil później, przyniosło w zanadrzu nagłą gorycz.

Gdy Adela oderwawszy oczy od drzewka, spojrziała naokoło siebie, spostrzegła, że fotele, w jej muiemaniu wolne, zajęły jakieś nieznanne osoby. Ogarnął ją tedy nerwowo przestach tak widoczny, że zarumieniwszy się, cofnęła gwałtownie ku swej bonie z właściwym sobie gestem niezadowolenia. Równocześnie pochyliła swą piękną główkę, zmarszczyła wązką brewkę, a w wielkich, ciemnych oczach malowała się trwoga. Całe to zachowanie, na poły nieprzyjazne, na poły trwożliwe przypominało antylope, gotującą się do obrony.

Henryka, która starej Anusi kiwnęła głową na znak poznania i powitania, zwróciwszy się do Franciszka, rzekła:

— Oto właśnie moja mała przyjaciółka, którą — wiesz — spotkałam kiedyś rano. Ta mała, co tak grzecznie bawiła się z lalką w chorobę... Popatrz na nią, tylko niezbyt natarczywie, aby jej nie robić przykrości, i sam powiedz, czy nie podobna ona do portretu twej siostry, gdy ta była dzieckiem, czy nie podobna ładnąco?.. Dzisiaj nawet, jeszcze więcej, aniżeli kiedyindziej, gdyż zdjęła kapelusz...

— Istotnie, łudzące podobieństwo! — powtórzył Franciszek machinalnie.

Siła tajemnicza zmuszała go do rzucenia okiem na twarz owego dziecięcia, a w spojrzeniu owem widniała szalona rozpacz i wzruszenie szalone. Patrzył na nie, choć wiedział, iż grozi mu to strasznem niebezpieczeństwem ze strony jego towarzyszek.

Ale na szczęście Henryka wraz z matką były w pierwszej chwili zanadto oszołomione gwarem rozmów, błyskiem światła i tysiącem szczegółów malowniczych, jakie obecnie przepełniały salon. Gdy wreszcie panna Scilli spostrzegła wzruszenie oczywiste narzeczonego, wytłomaczyła to sobie zupełnie naturalnie owym podobieństwem, budzącem w nim tyle wspomnień o ukochanej nieboszce.

Istotnie w Franciszku grało tym razem pewną rolę i owo wspomnienie, ponieważ Adela po zdjęciu kapelusza, obrócona do niego profilem, z twarzyczką otoczoną pierścieniami loków złocistych, ubrana białą, przez co jej delikatna cera jeszcze bardziej zyskiwała na świeżości, niemal równała się widmu lub postaci wskrzeszonej jego siostry.

Dziwnie atoli tęskny, czy gorzki wyraz spoczywał równocześnie na tem obliczu, pełnem melancholii. Zdało się na pierwszy rzut oka, że owe usta nigdy nie nauczyły się śmiać, a nawet choćby uśmiechać.

Dzieci, spółdzone w stosunku cudzołożnym, mają bardzo często na swem obliczu znamię jakiegoś smutku przedwczesnego. W głębi ich źrenic jeszcze tkwią szczątki troski, wśród której były poczęte, szczątki wyrzutów

sumienia, szczątki nakoniec obaw przed niebezpieczeństwem. Niekiedy mogłoby się wydawać, iż instynktownie odgadują swoje pochodzenie, spowite kłamstwem i winą. Mimo to, Adela posiadała również zdolność, tak właściwą dzieciom, natychmiastowego, niepodzielnego oddawania się zabawie wesołej, zdolność tryskającą z głębin ducha, instynktową, niemal zwierzęcą.

Z chwilą bowiem, gdy owi muzycy neapolitańscy rozpoczęli grać, oraz śpiewać, akompaniując sobie to na skrzypcach, to na mandolinie; gdy jedni tańczyli, a inni się wykrzywiali — policzki małej odrazu się zarumieniły, źrenice błysnęły ogniem, usta złożyły się do uśmiechu, cała jej istota wogóle zadrgnęła i zaczęła się przekształcać, ożywiać, rozweselać.

Franciszek miał tedy sposobność ponowną spostrzedz, iż Adela nie tylko z twarzy, lecz i z usposobienia przypomina jego siostrę, kiedy ta jeszcze była dzieckiem. To podobieństwo nadzwyczajne, dochodzące prawie do tożsamości, wywołało w nim ponownie wrażenie, jak przedtem w ogrodzie, że ma przed sobą widmo czy marę. Duch nieboszczki, z którą ongi wesoło się bawił podczas świąt noworocznych, dawno minionych, wstąpił teraz na nowo w ciało żywe tej pięknej, tej zgrabnej istotki, którą tak chciał uściskać rękoma, jak ją obrzucał spojrzzeniami palącemi.

Pomiędzy nią przecież, a nim, pomiędzy tym uściskiem, a owem ciałem, gdzie toczyła się cząsteczka jego krwi, znajdowała się, dosłownie i symbolicznie, jeszcze inna osoba. Dwie swoje miłości, najprawdziwsze i najszczęśliwsze, miał tuż przy sobie, uosobione w owych dwu

namiętnie przez niego kochanych postaciach. Dlaczegoż nie mógł niestety połączyć ich obu, kazać im iść ręka w rękę, na wspólną nić nawiązać oba serca, z młodszej zrobić córkę starszej i kochać je obie, kochając razem z niemi to, co one obie kochałyby zgodnie. Niedorzeczne marzenia, równocześnie naiwne i występne, marzenia jednak, mogące obłąkać jego biedną głowę!..

Przyszedł do tego salonu, na ową zabawę, i tak już zdenerwowany wysiłkami kilku ostatnich tygodni; teraz strapiony owem blizkiem sąsiedztwem, niemal zapomniał, gdzie się znajduje, jak musi nieustannie panować nad sobą samym; co winien wreszcie swojej narzeczonej, tudzież matce tej narzeczonej...

Nagle z owego zapomnienia wyrwał go przytłumiony głos Henryki, z której czystego oblicza jeszcze tak niedawno, czytał dla siebie zapowiedź nowego życia.

Henryka, zwróciwszy się do zatopionego w marzeniach Franciszka, szepnęła:

— Widzę, że cierpisz. Ta dziewczynka zbyt żywo przypomniała ci biedną siostrę twoją. Może chcesz, byśmy wrócili do siebie?

— Nie — odpowiedział, zmuszając się do uśmiechu — to już przeszło. Choć ta rana wciąż się jeszcze krwawi...

— Drogi Franciszku! — szepnęła Henryka z taką litością niewysłowioną w pięknych oczach błękitnych, iż nie mogąc wytrzymać podobnego spojrzenia musiał odwrócić głowę.

Podwójnie bowiem kłamał w owej chwili: przede wszystkim przypisując swoje pomieszanie owemu

wspomnieniu siostry i powtóre przyjmując nie należące się mu za to politowanie Henryki.

A przecież taką odczuwał potrzebę w owej chwili nasycania się wrażeniami, nawet zabójczemi i niebezpiecznemi, że odtrącił ową propozycję opuszczenia zabawy, acz ponowiła ją w chwilę potem i sama pani Scilly.

— Proszę się mną nie krępować — mówiła. — Owe pieśni neapolitańskie bynajmniej mnie nie zachwycają. Kto je raz słyszał, nie dowie się nic nowego za następnym razem...

— Umieszczone dzisiaj na programie — odparł młodzieniec — są jeszcze nieznanne, muzycy zaś są dosyć dobrzy, co również nie często się zdarza. A przytem co za nieporównani mimicy! Wyznaję otwarcie, że jeszcze nie widziałem podobnych! Proszę popatrzeć na tego grubego. Co to za mina niby prostoduszna, a! przecież łotrowska! Albo znowu ten chudy, rozśmieszający wszystkich już choćby przez swą sztuczną powagę!.. Robią na mnie wrażenie, że sami bawią się własną grą, choć już występowali w tysiącach hoteli podczas tysiąca podobnych uroczystości... Zresztą warto popatrzeć i na publiczność! Co za miny mają anglicy, spoglądając na neapolitańczyków, miny, w których zachwyty mięsza się z pogardą, ową zwykłą pogardą, odczuwaną przez ludzi Północy dla ludzi Południa... Oto na przykład ta stara angielfka w czepcu z krwistemi rumieńcami, na które składały się cztery pokolenia lubowników porto. Jak ona się nadyma na widok owej cyganeryi artystycznej!.. To wspaniałe!..

I prawil w taki sposób przez czas dłuższy, z podrabianą werwą, byle tylko dowieść, iż jego smutek minął bezpowrotnie. Ową werwą, ową wesołością sztuczną, pragnął oszukać nie tylko swe sąsiadki łatwowierne, lecz i bicie własnego serca, nie dającego mu spokoju ani na chwilę.

Bezustannie bowiem podczas rozmowy oczy jego błędziły w stronę dziewczynki, która trafem nagle spojrziała również na niego. Po raz pierwszy te źrenice ciemne, a świeże, osadzone w twarzyczce różowej, spoczęły na nim — podobnie jak owego poranka oczy Pauliny — zupełnie spokojnie, zupełnie naturalnie. Po chwili ów wzrok ześlizgnąwszy się z jego oblicza, podążył ku widzom, dalej siedzącym, aż wreszcie powrócił ku muzykom i drzewku, zawsze spokojny, zawsze naturalny.

Franciszek dowiedział się tedy, o czym powinien wiedzieć oddawna, że był dla Adeli człowiekiem całkowicie obcym i niczem nie wzbudzającym jej uwagi. Dlaczegoż atoli ta obojętność dziecka tylko podwoiła jego smutek? Czyż mógł czego innego spodziewać się od owej biednej dziewczynki, której przecież przez tyle lat uporczywie się wyrzekał? Czyż miał prawo przypuszczać, iż Adela, oświecona jakimś tajemniczym głosem krwi, odpowie na jego spojrzenie spojrzeniem pełnem miłości?

Wiedział o tem wszystkim, mimo to jednak uczucie ojcowskie, raz w nim obudzone, bolało i krwawiło się na widok tej obojętności dziecka. Widocznie nawet nie umiał przyciągać do siebie dzieci tak, jak posiadała ów przymiot jego narzeczoną.

Ta ostatnia bowiem chwaliła się onego czasu, że dzieci lgną do niej z łatwością. Teraz zachowywała się z początku inaczej, aniżeli wówczas w ogrodzie, gdy zbytnią obcesowością zraziła do siebie dziewczynkę. Nie, obecnie udawała, że nie zwraca nią uwagi, dzięki czemu Adela miała czas przyjrzeć się jej ukradkiem, a przyglądając, wnet uledez czarowi, piękności i dobroci, widniejącej na obliczu sąsiadki.

Ta sympatya, rodząca się w dziewczynce, objawiła się niedługo pod formą mimowolnego zbliżania do Henryki. Zwolna i stopniowo Adela zaczęła wysuwać się z kąta fotelu, gdzie wcisnęła się, spostrzegłszy panie Scilly, jak gdyby chciała szukać opieki u boku swej bony. Widocznem teraz było, że czuje się swobodniejszą. Kilka razy, przy zbyt komicznych wykrzywieniach się któregoś ze śpiewaków, śmiała się w tym samym czasie, co i jej sąsiadka; jeszcze chwila, a zaczęły obie rozmawiać ze sobą.

Franciszek zazdrościł narzeczonej owego daru tajemniczego, a zarazem bołał, iż ta sympatya wzajemna dziewczicy dojrzałej i dziecka, nie zawiązała się wśród innych, tak dla niego pożądaných warunków. To też z zachwytem i z rozpaczą naprzemian, z zaciekawieniem i ze wzruszeniem przysłuchiwał się rozwojowi owego dyalogu, który z każdym zapytaniem i z odpowiedzią każdą nabierał coraz bardziej poufnego charakteru.

— Czy panienka nigdy nie widziała tak pięknego drzewka gwiazdkowego? — spytała się panna Scilly.

— Och! nie! — pośpieszyła z odpowiedzią stara Anusia zamiast panienki.

Jakże wielkiem było przecież jej zdziwienie, gdy usłyszała, że i Adela, tak zazwyczaj uporczywie milcząca w obecności osób obcych, tym razem odpowiedziała:

— Nie. Tak ładnego, jak to, nie widziałam, choć widywałam piękne... Przeszłego roku mama przystroiła drzewko dla pięćdziesięciu dziewczynek. Podobało mi się ono bardziej, aniżeli to dzisiejsze. Przedewszystkiem — dorzuciła, patrząc się gdzieś w dal — było to u nas, i śnieg również padał...

— I zresztą panienska miała wtedy swoje małe przyjaciółki?.. — wtrąciła Henryka.

— Tak — odparła żywo dziewczynka — miałam Franciszkę, siostrzenicę Anusi

— A inne? — spytała panna Scilly.

— Och! z innymi tylko się bawię — odrzekła mała — podczas gdy Franciszka, to tak jak mama i Anusia... Nie mogła jednak przyjechać tutaj z nami. Taka jest biedna. Musi pracować w polu... Jak dorośnie przecież, będzie mieszkała w pałacu, a ja zabiorę ją ze sobą wszędzie, gdzie tylko pojedę...

I w chwili, gdy jej usteczka śmiejące się wymawiały te słowa, w oczach błysnął promień zadowolenia; znać było w tem wszystkim szlachetność ducha, skłonność do robienia dobrze bliźnim, i zacne serduszko.

Henryka obróciwszy się ku Franciszkowi, szepnęła półgłosem:

— Zaraz można poznać, iż jestto córka prawej matki!

Następnie ujęła w swoją rękę rączkę małej sąsiadki. Ta zarumieniła się lekko wobec tej pieczyoty, po-

tem uśmiechnęła się nieco zakłopotana, lecz znać już było w owym uśmiechu szczerą zarazem życzliwość. Henryka zaś nowe zadała jej pytanie:

— Spodziewam się, że mama panienki, jakkolwiek nie przyszła, nie jest bardzo chorą?

W odpowiedzi na to pytanie uśmiech zniknął natychmiast z liców dziewczynki. Jakiś cień osiadł na tej ruchliwej twarzyczce, gdzie każda myśl rysowała się tak wyraźnie, jak krew, rozlana w sieci żyłek błękitnych, przebijała się przez delikatną skórę jej skroni maleńkich. Wreszcie odezwała się:

— Dziękuję pani, mamie w tych dniach zrobiło się znacznie lepiej. Wczoraj przecież nieco się zaziębiła i dlatego dzisiaj czuła się zmęczoną. Nie chciała jednak, abym siedziała przy niej w domu. Boi się bowiem zawsze, bym się nie znudziła przy niej w Palermo i nie zażęskniła za Molamboz. To prawda. Kocham bardzo naszą wieś, lecz stokrotnie wolę być tutaj razem z mamą ..

— Eh! przekona się, panienka, jak to piękne niebo prędko ją wyleczy — podjęła szybko Henryka, która żałowała już, że przypomniała dziecku matkę, widząc, jak to dziewięcioletnie serce jest czułem i jak umie kochać szalenie. — Moja mama również była bardzo chorą, kiedy tutaj przyjechała. Teraz, niech panienka popatrzy, wygląda doskonale. .

Wnet atoli chcąc opuścić tak drażliwy przedmiot, przeskoczyła do czego innego.

— Ale muszę panienki poprosić, by mnie nie nazywała panią, tylko panną Henryką. Czy panienka się zgadza?

Adela pozornie już nie słyszała słów końcowych, ponieważ z uwagą niesłychaną przyglądała się, formalnie badała z zajęciem niepospolitem oblicze pani Scilly. Przyczynę tego było łatwo odgadnąć. Dziecko z właściwą sobie logiką porównywało twarz hrabiny z twarzą, którą najwięcej na świecie kochało. Ta miłość właśnie dodawała Adeli pojętności nad wiek, ta miłość uczyła ją rozumieć choroby, których samą inteligencyą dziecięcą zrozumiećby nie zdołała. Musiała przecież ostatecznie słyszeć słowa Henryki, gdyż po milczeniu przelotnem podjęła:

— Przepraszam, panno Henryko, czy mama pani długo leżała w łóżku?..

— Och, tygodnie całe! — odparła zagadnięta.

— Przepraszam raz jeszcze — ciągnęło dalej dziecko — czy to było tutaj zimno, tutaj?..

I przy tych słowach wskazała na swoją pierś.

— Tak — odpowiedziała Henryka.

— I zawsze dużo kaszlała w nocy?

— Och, tak, dużo.

— A jak długo musiała przebywać w Palermo, zanim wyzdrowiała?

— Ech, my zaledwie przed dwoma miesiącami wyjechalіśmy z Paryża. .

Adela poraz wtóry umilkła.

Nad czemże mógł pracować jej umysł, podczas gdy śpiewacy dzielili się wciąż jeszcze z tem banalnem towarzysstwem podróżnych, próżniaków i chorych gorącemi romancami Południa? Zdawało się, że dziewczynka

uleciała daleko od tej sali, od tego widowiska, od tej publiczności i od tych śpiewaków.

W Henryce znowu owe melodye jedynie podwajały miłość, którą odczuwała dla tego dziecięcia; nie mogła sobie darować, iż słowem nieostrożnem zraniła owo nadto tkliwe serduszko.

I w Franciszku również te melodye jeno spotęgowały zadumę melancholijną. Słyszając doskonale całą rozmowę, zdziwił się, że ta dziewczynka posiada serce niezmiernie dobre. Czuł niemal, jak ona czuje, a raz już owładnięty ideją dziedziczności, rozpoznawał w owej dobroci właściwość własnego charakteru i swojej siostry, również tkliwych i dla tego cierpiących w wieku, gdy byli dziećmi, jak Adela.

I kogoż kocha owo serduszko zbyt wczesnie dojrzałe w atmosferze choroby? Kocha matkę, która musiała przecież zasłużyć na to, aby w taki sposób być kochaną.

Franciszek wiedział z własnego doświadczenia, że dzieci zbyt tkliwe i zbyt czułe nigdy łatwo się nie przywiązują. Drobnostki bowiem zrażają je i ranią. Jedno słowo zbyt żywe, mała niesprawiedliwość, zniecierpliwienie wystarczają, by takie dziecko zamknęło się w sobie samem; kiedy więc chcecie zbliżyć się do niego, wasza obecność już odnawia cierpienia doznane poprzednio i uniemożliwia pojednanie.

Fakt, iż Adela ubóstwiała panią Raffraye dowodził i to niezbicie, że ta ostatnia musiała poprostu poświęcać się dla swego dziecięcia.

Czyż Franciszek nie powinien był czuć się z tego powodu szczęśliwym? Czyż wyrzuty sumienia, których doznawał, nie powinny były się zmniejszyć na widok, iż macierzyństwo obudziło w Paulinie poczucie obowiązków i odpowiedzialności, czego poprzednio daremnieby tam szukał. Czyż nie przeklinałby stokroć więcej Pauliny, gdyby spostrzegł, że jego córka szalenie matkę kocha, a jest mało kochaną; że jej dusza dziecięca paczy się pod wpływem zabójczej obojętności lub niedbałości matczynej; że może z niej wyrósć zła kobieta? Dlaczego tedy owa pewność, iż dzieje się inaczej i lepiej, pewność, mogąca być jedyną pociechą dla ojca, na zawsze rozdzielonego z córką, nie pocieszyła go w tej chwili choć trochę.

Tu rozmowa, będąca dla niego istną męczarnią, rozpoczęła się ponownie:

— My tu jesteśmy — odezwała się Adela — prawie od miesiąca. W lutym będzie dwa miesiące.

Te ostatnie słowa należało sobie tłumaczyć: „W lutym mama będzie zdrową,“ gdyż odblask radości zamigotał w jej ciemnych źrenicach.

Henryka spytała znowu:

— Czy panienka pierwszy raz podróżuje?

— Nie — odparła mała — jeździłam do Besançon w odwiedziny do cioci.

— A do Paryża?..

— Nigdy. Miałyśmy jechać tam, kiedy mama była bardzo chorą, by poradzić się innego doktora. Lecz potem mama nie chciała... Anusia powiedziała mi, że mama nie cierpi tego miasta od czasu, kiedy tam umarł

mój biedny ojciec... A czy pani ojciec bawi w Palermo? — dorzuciła na końcu.

— Mój ojciec także nie żyje — odparła Henryka — umarł już dawno...

— Lecz pani go, panno Henryko, widziała, pani go sobie przypomina? — badało uporczywie dziecko.

— Tak jest — objaśniała Henryka — miałam dziewięć lat...

— Ach to właśnie tyle, ile ja mam teraz — wtrąciła dziewczynka.

Tu na nowo spojrzała na pannę Scilly. W jej wzroku można było wyczytać, iż chce się pytać o coś bardzo poufnego, waha się przecież.

— Proszę pani — Henryka dodała jej tutaj odwagi swemi pięknymi i dobrymi oczyma — proszę pani, chciałabym o coś się spytać...

— O co takiego? — zachęcała młoda panna.

— Czy w niebie, jak się człowiek dostanie tam po śmierci, można rozpoznać ludzi, których się nigdy nie widziało za życia na ziemi?

— Och! to już Pan Bóg jeden wie tylko — odrzekła Henryka.

Ani na chwilę jednak nie uśmiechnęła się z zapytania dziewczynki, była na to za pobożną oraz za wyrozumiałą, powtórzyła je natomiast narzeczonemu, dodając:

— Co za dziwne to drogie dziecko!

Niedomyślała się przecież, że te słowa, powtórzone przez nią, posiadały dla Franciszka stokrotnie dziwniejsze znaczenie.

Potem Henryka obróciła się z powrotem ku swej małej przyjaciółeczce i wtedy spostrzegła, że była ona mimo przedwczesną dojrzałość serca również jeszcze i dzieckiem.

Jej twarzyczka ruchliwa przybrała znowu inny wyraz w chwili, gdy do salonu niespodziewanie weszła nowa osobistość.

Tym razem był nią szwajcar - polyglota, przebrany atoli do niepoznania z pomocą białej peruki obficie upudrowanej i długiej brody. Przedstawiał on właśnie dobrodzieja Noëa czyli raczej hojność Don Ciccio, niósł bowiem w koszu na plecach stos rozmaitych zabawek, przeznaczonych dla licznych wśród zgromadzonych zastępu dźiatwy. Oczekiwanie tej niespodzianki spotęgo- wało jeszcze wrażenie, malujące się na obliczu Adeli. Oczy jej świeciły żywym ogniem. Szcupłe rączki poruszały się, otwierały i zamykały znowu nerwowo. Krew nabiegała do lic, teraz zaróżowionych nadzieją.

I kiedy nareszcie otrzymała podarunek z rąk samego właściciela hotelu, który osobiście rozzdzielał owe *Christmas presents*, ciałem jej wstrząsnął kilkakrotnie dreszcz nerwowy. A przecież marny to podarek—owa maleńka lalka, ubrana w strój wieśniaczki sycylijskiej.

Dziewczynka jednak przyjrząwszy się jej z uwielbieniem nieukrywanem, odezwała się wreszcie do bony, mając na myśli swą wielką ulubioną lalkę.

— Wiesz, Anusiu, ta laleczka będzie Franciszką owej drugiej.

I podniosła się, wymawiając te wyrazy, których dziecięcość stała w sprzeczności dziwnej, a komicznej ze zda-

niami szczytnymi, wygłaszanymi niedawno Stara bona spojrzawszy na zegarek, oświadczyła, że pora wracać na górę. Adela, nieco wstydliwie, obróciła się ku Henryce, by ją pożegnać, ta zaś pocałowała ją w twarz i we włosy, na co znowu dziewczynka, odpowiedziała uśmiechem, wyrażającym przychylność oraz przyjaźń, na jaką tylko umięją się zdobyć owe małe serduszka, raz już podbite i przejednane. Pani Scilly i Franciszkowi skłoniła się bojaźliwie, choć wdzięcznie, a potem zniknęła między fotelami, podczas gdy Don Ciccio rozdzielał podarunki, a wszyscy śpiewacy znowu zaczęli koncertować.

Panna Scilly zaś streściła wrażenia, odniesione tego wieczoru, następującymi słowy:

— Ach, jakie to nad wszelki wyraz smutne przypuszczenia, że ta biedna mała, tak wrażliwa i tak kochająca, może za rok, może nawet i prędzej zostanie sierotą, zostanie samiuteńką na świecie!..

— Henryka ma słuszość — powtarzał Franciszek w duchu, gdy powrócił do swego mieszkania — To bardzo smutne przypuszczenie..

Trzeba bowiem pamiętać przedewszystkiem, że owe słowa, stanowiące dla Henryki nieuchwytnie przypuszczenie, w jego umyśle natomiast rodziły szereg długi obrazów bardzo wyraźnych, straszliwie wyraźnych.

Widział, jak Paulina umiera. I jakkolwiek od chwili jego spotkania się z Adelą, dawna kochanka zesłała na drugi plan wszelkich rozpamiętywań — podobna myśl o śmierci, o rozplynięciu się w nicość ciała, które dawniej kochał, wstrząsnęła silnie całym jego jestestwem. Tak, Paulina umrze niedługo, umrze prędko, wnet po

powrocie do domu, acz napozór będzie wyleczoną, jak to zwykle dzieje się z suchotnikami, szukającemi pomocy u fałszywego słońca Południa.

Tej śmierci świadkiem, tam, w domu będzie mała Adela, własnymi oczyma będzie oglądała ową scenę straszną, podobną do tej, którą on przeżył, dzieckiem będąc, przy łóżku swej umierającej matki.

Jakże ulotnymi są owe godziny, kiedy patrzymy własnymi oczyma na nieruchomą, niemą maskę tego, co jeszcze niedawno było obliczem żywym, a czułem, odzwierciadlającym duszę, szczerze nas miłującą! Mimo tę ulotność przecież, jakże silnie wciskają się one w naszą pamięć, jaką melancholią zatruwają przez lata długie nasze godziny nawet najweselsze, nasze radości nawet potężne!

Zapewne nie zostawią Adeli samej na tej wsi opustoszałej pod opieką starej Anusi, tudzież innych domowników? Wywiozą ją.. Lecz gdzie i kto? Jakieś osobistości mu nieznane, a groźne niby przeznaczenie. Bez wątpienia przyjmie ją pod swój dach owa ciotka z Besançon, o której mała już wspomniała. Czyż ta ciotka zdoła jej choć w części zastąpić matkę? Bo nawet, gdyby okazywała jej dużo dobroci, z trudnością zrozumie owo rozpieszczone, lecz i tkliwe zarazem serce dziecięcia, wychowywane w słodkiej stale atmosferze troskliwości bez miary. Jeżeli zaś nie będzie dobrą, Adela wpaśnie nagle z raju miłości do przekłętego piekła, w wir ukłuc, dokuczań i niesnasek rodzinnych.

Franciszek tak poznał już usposobienie swej córki, tak namiętnie je rozważał, tak zagłębił się w nie wybor-

nie, że odrazu przewidział jak najgorsze skutki dla dalszego rozwoju jej charakteru. Zresztą takiemu brzemieniu klęsk może nawet nie zdoła się oprzeć ów wątły organizm? Widział małą, wychudłą, zmartwioną, wybujałą chorobliwie, noszącą na swem obliczu piętno straszliwe męczeństwa, które powinno wskrzesić z grobu matkę lub ojca. Matka z martwych nie powstanie!.. A ojciec?..

Jeżeli zaś Adela przetrzyma zwycięzko owe ciosy i dojdzie do lat ośmnastu, kto wtedy podejmie się wyszukać męża, który byłby jej godzien? Przypuszczając nawet, iż ta ciotka okaże się dobrą, bardzo dobrą opiekunką; to i tak będzie starała się wydać swą wychowanicę za mąż możliwie wcześniej. Opieka nad sierotą jest obowiązkiem tak uciążliwym, iż nawet najlepsi usiłują pozbyć się go możliwie szybko

Adela tedy dostanie się w ręce bylejakiego chłystka, jakiegoś innego Raffraye'a, jakiegoś brutala i cynika, który być może zrobi z niej to samo, co tamten zrobił z jej matki...

Takie przypuszczenie straszne zraniło Franciszka.

Ujął tedy głowę w dłonie i zaczął płakać — płakać nad swoją córką, płakać nad sobą, nad córką dlatego, że najniezawodniej stanie się ona ofiarą wypadków tragicznych, nad sobą samym zaś, z tego powodu, że będąc jej ojcem, znając ją, wiedząc o tem wszystkim, kochając ją wreszcie, nic nie będzie mógł dla niej uczynić

Czyż atoli w samej rzeczy nic nie zdoła dla niej uczynić?

Boć liczne argumenta, jakimi się obwarował podczas owej przechadzki nocnej na Monreale, przeciwko zbliżeniu się do córki, zasadzały się na tem, iż obowiązków ojca żadną miarą niema prawa łączyć z obowiązkami, jakie zaciągnął dla Henryki. Należało wybierać. On tedy szedł drogą, która mu się wydawała najmniej bolesną dla dwu kobiet, tak przez niego kochanych.

Czy przecież istotnie obu tych rodzajów obowiązków nie można połączyć?

I w tej chwili zamigotał przed jego oczyma obraz, już widziany poprzednio tego wieczoru: oto Henryka ujęła Adelę za rękę i uśmiechnęła się do niej czule. Cóż mówił uśmiech, natychmiast odwzajemniony? Mówił, że te dwie istoty pragną się kochać; te dwie dusze zdołają się zrozumieć; ta młoda panienska potrafi zostać wielką przyjaciółką dziewczynki. Zaledwie poznały się, już polubiły wzajemnie. Czyż on temu co winien? Czyż mógł w mgnieniu oka rozciąć owe węzły sympatyczne, prosząc, by panie powróciły do siebie, jak to proponowała Henryka?

Oczywista, że nie.

Czyż zawini w czemkolwiek, jeżeli w przyszłości będzie obojętnie spoglądał na wzrastanie tej przyjaźni?

Pobyty w jednym i tym samym hotelu ułatwi spotkanie się ustawiczne, nastroczając mnóstwo nieprzewidzianych zetknięć. Henryka zobaczy się z Adelą z pewnością, i to nie raz jeszcze. Obie polubią się przeto więcej, niż dodad.

Poprzednio, podczas owej nocnej przechadzki Franciszek bezwzględnie wywnioskowałby w nadmiarze uczi-

wości, że powinien za każdą cenę zapobiedz takiemu spoufaleniu się Henryki z małą. Lecz teraz zbliżywszy się do dziecka, użył sofizmatów, byle tylko dogodzić głosowi serca.

Spytał tedy samego siebie, czy byłoby kłamstwem o wszystkim zamilczeć?.. Takie zamilczenie pozwoli zakorzenie się przyjaźni jego narzeczonej z jego córką, przyjaźni znowu dla niego samego tak niewymownie słodkiej! I on wtedy będzie mógł podziwiać własne dziecko; będzie się mógł do niego przybliżyć i rozmawiać z niem, nie popełniając żadnej zbrodni!..

Lecz podobny stan rzeczy będzie musiał wywołać jeszcze jeden skutek nieodzowny: jeżeli Adela zaprzyjaźni się z paniami Scilly, poznanie tych ostatnich z Pauliną Raffraye jest nieuniknionem.

Franciszek pamiętał wybornie, jak jeszcze niedawno oburzał się w duchu na myśl podobną; jak wstrętnym był dla niego obraz zbrodniczej współniczki jego cudzołóstwa, siedzącej przy boku Henryki, oraz hrabiny, podczas gdy owe dwie kobiety uczciwe będą się opiekowały tą nieszczęśliwą, mówiły do niej, żałowały, być może, darzyły nawet uściskiem! Tymczasem jeden wieczór, spędzony pospołu z małą Adelą, wprowadził taki zamęt w jego pojęciach moralnych, że teraz wstydził się owego oburzenia, zwłaszcza, gdy pomyślał, do jakiego stopnia to dziecko kocha swoją matkę.

Naprawdę przecież, czy Paulina nie zasługiwała na szacunek jako matka wzorową? Czyż jej miłość dziewięcioletnia dla śliczniutkiej dziewczynki nie wynagradzała dostatecznie wszelkich zdrad czarnych; nie po-

winnaby nadto nakłonić jego samego do zapomnienia i przebaczenia? Ach przebaczyłby jej natychmiast, gdyby tylko był pewien, że odtąd nie straci, póki życia, swej córki.

Oto wynik ostateczny jego sofizmatycznych układów z własnem sumieniem.

Jeżeli bowiem obie rodziny zawiążą w Palermo jakiekolwiek stosunki, za powrotem do Francyi nastąpi ciągła wymiana listów, dzięki którym on dowie się o trybie życia Adeli, o jej kolejach losu, o wypadkach, w jakich należałoby jej przyjść z pomocą. Był przekonany z góry, że Henryka dowiedziawszy się, wybaczy mu kłamstwo, skoro uwzględni cel szlachetny jego postępków. Gdyż po ślubie powie żonie o wszystkim, daje słowo honoru, że powie jej całą prawdę; to słowo honoru rozgrzeszało go teraz wobec własnych zarzutów.

Niebaczny, nie wiedział, że w tej właśnie chwili przypomina owego stróża depozytów, który narusza powierzoną mu sumę, przysięgając w duchu, że ową pożyczkę odda w przeciagu tygodnia. Lecz wszelki głos sumienia, wszelkie zastanowienie, wszelkie rozróżnianie między złem, a dobrem zagłuszyła w nim struna ojcostwa, raz już silnie potrącona.

Nie umiał zdobyć się na siłę podążania drogą prostą i szczerą, słabość zaś swą usprawiedliwiał tem, że popadł w moc dwóch najsilniejszych uczuć ludzkich, w moc miłości i w moc ojcostwa. Nie przestawał też rozkoszować się planem, pozwalającym mu zadowolnić równocześnie oba te uczucia.

Potem znowu pytał samego siebie, co też pomyślała sobie pani Raffraye, dowiedziawszy się, o czem Adela mówiła tego wieczora z Henryką. Tutaj przecież długo się nie łudził:

— Paulina — rozumował — już raz wzbraniała się odpowiedzieć mi choć słowem jednym. Dalej zakazała swym sługom jadać przy tem samem stole, co i domownicy pani Scilly. Nie chce wogóle utrzymywać z nami nawet cienia stosunków. A zatem z pewnością poleci bonie, by nie pozwoliła Adeli z nami rozmawiać.

Powiedział „z nami“, ponieważ już z góry obiecywał sobie zawiązać rozmowę z Adelą.

— Z drugiej strony — dodał — zgodziwszy się za znajomić z panią Scilly, mogłaby nawet bez złej myśli opowiedzieć jej, że była przyjaciółką mojej siostry...

Te rozpamiętywania, obawa utracenia jedynej sposobności do osobistego poznania swej córki, chęć pokazania dawnej kochance, że już się na nią nie gniewa, tyśiące wreszcie krzyżujących się wzajemnie uczuć, skłoniło go do stanowczego kroku, przed którym jeszcze kilka godzin temu cofnąłby się z pewnością. Chciał po raz ostatni spróbować zbliżyć się już nie do kobiety, która mu tyle złego zrobiła, że zasługiwała na odwet, lecz do matki czulej, tudzież niespokojnej, a niemogącej pozbawić swej córki opieki najbezinteresowniejszej, najbardziej uprawnionej i najczulszej. Postanowił wszystkie te uczucia wyrazić w liście, — liście daleko trudniejszym do ułożenia, niż pierwszy. Mimo to ani nie pisał brulionu, ani nie przekreślił choćby słowa jednego; w tej chwili mio-

tało nim uczucie tak potężne, że natychmiast znajdował stosowne zwroty i odpowiednie słowa, dokładnie oddające jego nastrój oraz jego zamiary.

I oto powstał list następujący.

„Piszę jeszcze raz do Pani, jakkolwiek pierwszy mój list, przesłany przed kilku tygodniami, pozostał bez odpowiedzi. Zrozumiałem aż zanadto dobrze, co ma oznaczać to milczenie; raczy tedy sama Pani przyznać, czy nie uszanowałem Jej woli.

„Zapewne Pani wie, musi nawet Pani wiedzieć, iż pomiędzy pierwszym listem i niniejszym zaszły pewne wypadki, które — nie będę tego tał przed Panią — wstrząsnęły mną do głębi.

„Była Pani przyjaciółką mojej drogiej Julii, w imię zatem ukochanej nieboszczki ofiarowałem Pani pomoc przed kilku tygodniami w tych wszystkich kłopotach, które nieodzownie pociąga za sobą zawsze pobyt na obczyźnie. I teraz również w imieniu mej nieboszczki błagam Panią, byś raczyła mię przyjąć. O to samo prosiłaby Panią i moja siostra, gdyby żyła; o to samo błagam Panią i w imieniu owej małej, zachwycającej istotki, w której odnalazłem wdzięk, delikatność, umysł wysubtelniony, całe dzieciństwo, a nawet i rysy mojej siostry.

„To, co mam Pani powiedzieć, odgadłaś zapewne sercem matki. Niech Pani wysłucha głosu serca, które jej z pewnością wszelką powie, że nie wolno tak niewinnego i tak czulego zarazem stworzenia, jak Adela, mięsząć do wszelkich wspomnień gorzkich, oraz drażli

wych. Prawdziwe poświęcenie nie często się spotyka. Nie zechce zatem Pani odtrącić człowieka, który pragnie jedynie zapewnić, że list niniejszy nawet w części nie odzwierciedla wzruszeń, wstrząsających jego piersią.

Z poważaniem

Franciszek Nayrac.“

Młodzieniec przeczytał kilkakrotnie ów list, zagadkowy, być może, dla postronnych, ale pełen znaczenia w każdym wyrazie dla matki Adeli. Franciszek nie wiedząc, iż Paulina od lat dziewięciu żywi do niego żal nieubłagany, przekonany nadto, że go zdradziła, a więc naprawdę zasługuje na karę surową, teraz naiwnie uważał się za bardzo szlachetnego.

Jeszcze raz przeczytał list następnego poranka po nocy, pełnej snów, w których stale ukazywała mu się mała Adela wśród przygód najokropniejszych. Przeczytawszy, był pewien, iż taki list wzruszy matkę w kobiecie, którą dawniej kochał. To też czempredzej list zapieczętował i zaadresowawszy do pani Raffraye, oddał szwajcarowi przed udaniem się do narzeczonej.

A tę narzeczoną jeszcze silniej umiłował od chwili, gdy spostrzegł, jak czułemi, jak kochającemi oczyma spoglądała na Adelę. Czyż te oczy już nie przebaczyły mu z góry wszystkiego, co dobrego zrobiłby dla tej biednej małej — która bynajmniej nie chciała żyć?

VIII.

Paulina Raffraye.

Podczas gdy ta scena, tak zwyczajna co do szczegółów, a niemal tragiczna pod względem odźwięku, jaki znalazła w sercu Franciszka, rozgrywała się na dole hotelu wśród hałasu rozmów, wśród oceanu światła elektrycznego, tudzież świeczek niezliczonych, pokrywających drzewko, arcydzieło Don Ciccio, — Paulina Raffraye, bardziej cierpiąca, niż zazwyczaj, leżała w łóżku i oczekiwała córki.

Nawet nie przeszło jej przez myśl, że tam na dole rozwija się nowy epizod starego dramatu, który zatrzymał jej życie, zabijał ją nawet.

Ani jeden szczegół w urządzeniu owego hotelowego pokoju, nie zdradzał strasznej choroby lokatorki, która musiała szukać pomocy aż pod gorącym niebem Południa.

Paulina, jakkolwiek chora bardzo ciężko, wszelkimi siłami ustawicznie się troszczyła o zatarcie wśród otoczenia śladów, które zazwyczaj wytwarza atmosfera szpitalna. Choć do pokoju, gdzie stale leżała, zaglądali wyłącznie doktor i mała Adela, mimo to usiłowała ustroić go i przyozdobić jak najwdzięczniej.

I o sobie samej również nie zapomniała: włosy ciemnego koloru czesała starannie oraz przystrajała wstążkami, kaftaniki miewała zawsze świeże i woniące; koronkowe kołnierzyki, tudzież mankiety niczem nie różniły się od

dawniejszych z epoki, gdy była jeszcze zdrową i zakochaną.

Na stole marmurowym zamiast butelek, pełnych lekarstw, zamiast szarpi i bandaży, szpecących zazwyczaj pokój chorego, stała lampa, przyćmiona abażurem, której światło padało na fotografię Adeli w ramach emalio- wanych, na srebrną wazę, napełnioną zaniłcami, i na roz- pylacz, do połowy już pusty, dzięki czemu w pokoju unosiła się woń przyjemna, tudzież łagodząca płuca.

Te wszystkie szczegóły drobne dowodziły, że Pauli- na do ostatka postanowiła walczyć z cierpieniami w imię kobiecego wdzięku, chcąc swemu dziecieniu pozostawić wspomnienie matki, bladej, schorowanej, ale nie zeszpe- conej i do straszdyła podobnej. Dowodem zaś najlep- szym, jak ona to dziecko kochała, były owe pięć czy sześć fotografii, porozrzucanych po pokoju, nie licząc tej, któ- ra stała tuż przy łóżku.

I w tej chwili także zajmowała się tylko córką, przygotowując dla niej podarunki gwiazdkowe, które po- tem miano włożyć w małe trzewiczki Adeli, skoro ta ostatnia po powrocie ustawi je w kominku. Zawinąw- szy je, oddała Katarzynie, drugiej pokojówce, która zwy- kle pozostawała przy niej. W paczkach mieściły się i ciastka i zegar podróżny i fotel na biegunach dla lalki. Były więc tam i przedmioty dla dziecka, jakim Adela jeszcze była w gruncie rzeczy, i przedmioty niemal dla osoby dorosłej, czem zrobiły ją troski przedczesne oraz wrażliwość niezwykłą.

Bez wątpienia to zajęcie się córką obudziło zwolna w matce wspomnień tysiące, gdyż w końcu zażądała od

Katarzyny małej skrzynki z którą się nigdy nie rozstała. Z owej skrzynki wyjęła dwie wielkie teki skórzané, zamykane na klucz. Im dłużej atoli przeglądała listy, schowane w owych tekach, tem większy smutek młówał się w jej oczach siwych. Zamknęła więc obie teki i jęła czytać naprzemian to *Nowy Testament*, to *Nasładowanie!*

Niewątpliwie zdziwiłby się Franciszek, widząc te dwie książki w rękach kobiety, którą, jak mniemał, mógł zupełnie słusznie pogardzać.

Dzisiaj atoli i na kartach owych książek Paulina nie znalazła zapomnienia tak upragnionego. Wspomnienia lat ubiegłych gwałtownie cisnęły się pod czaszkę. Wyzucała sobie już niejednokrotnie, że nie zdobyła się na siłę bądź zniszczenia owych listów z doby jej miłości, bądź nie oglądania ich tak często!

Ach! te listy, po tysiąckrotnie czytane, tak żółkłe i wyblakłe! Jakże zdziwiłby się Franciszek ich treścią, gdyby choć kilka wpadło mu przypadkiem w rękę!.. Były tam nasamprzód jego listy, następnie kilka biletów Armada de Querne, a wreszcie długa korespondencya z Franciszkiem Vernantes — słowem wszystkie dokumenta, odnoszące się do zarzutów ciężkich, któremi obzucał on Palinę w 1877 r. Lecz te akta ich wspólnych dziejów nie zawierały bynajmniej dowodów zdrady, o której był tak mocno przeświadczonym, przeciwnie dowodziły zupełnie jasno, że nieszczęśliwa kobieta ani razu go nie okłamała.

Nie, nigdy przed nim nie miała kochanka. Nie miała innego również podczas ich miłości wzajemnej.

Nie miała go też po zerwaniu. Siedm, czy ośm bilecików Armanda dowodziło, że istniała między nimi najzwyczajsza, światowa, lecz całkowicie niewinna poufałość. Częste i długie znowu listy Vernantesa dowodziły przyjaźni romantycznej, bez cienia nawet namiętności lub zalotności, przyjaźni pełnej poważania, zachwyty i uznania! Te listy potępiając Franciszka i uniewinniając Paulinę, dostarczały zarazem najlepszego dowodu, dla jak błahych często przyczyn mężczyzna męczy za zdrością kobietę, która już jest zbyt zniechęconą, aby się bronić należycie. Te listy mówiły aż zanadto wyraźnie, że Franciszek potępiając ową kobietę jedynie na podstawie plotek, podejrzewając ją z powodu błahostek, a opuszczając z powodu podobieństwa przypadkowego sylwetki, dostrzeżonej w bramie — dopuścił się niesprawiedliwości niezmiernie ostrej i niemożliwej do wyrównania.

Paulina — to prawda — wzbraniała się wymówić dom panu Querne na pierwsze wezwanie Franciszka, uczyniła to przecież skutkiem zwyczajnej nieświadomości niebezpieczeństwa, na jakie się ze strony kochanka narażała. Jeżeli następnie stawiała opór podobnemu żądaniu co do Vernantesa, to grało już tutaj rolę rozdrażnienie, spowodowane niesprawiedliwym zachowaniem się ukochanego mężczyzny. Jeżeli w końcu nie broniła się ani jednym słówkiem i milczała, kiedy Franciszek wpadł do niej, obrzucając ją obelgami i dowodząc, iż ją widział zawołowaną, gdy wchodziła do Vernantesa, to stłumiło jej głos oburzenie — oburzenie, że jedyna przez nią kochana istota może ją o taki występki posądzać.

A więc jej honor, jej szczęście, zależało — według Franciszka — od jakiegoś przypadkowego zbiegu okoliczności, od podobieństwa płaszcza tej lub owej kobiety, pukającej do drzwi Vernantesa. Mało brakowało, by ten, co ją rzekomo kochał, nie schlaźnął jej uderzeniem.

To też dreszcz nienawiści wstrząsał ją i teraz jeszcze, gdy spojrzała na owe listy, spoczywające w tece skórzanej.

Dlaczegoż atoli nie pokazała mu tych listów? Dlaczego nie będąc winną, pozwoliła odjechać temu, którego kochała? Dlaczego nie przyzwała go, zostawszy wdową, a będąc pewną, że dziecię, które nosi pod sercem, jest jego dziecięciem? Dlaczegoż przez te lata ubiegłe nigdy nie podjęła ani jednego kroku, który obmyłby jej czoło z podejrzeń nieuzasadnionych?

Ach dlaczego?

Odpowiedź na to możnaby znaleźć w listach Franciszka, tchnących taką wściekłością, takim uniesieniem zazdrośnym i barbarzyńskim niemal, że Paulinę ogarniał wstręt do dobrowolnego poddania głowy pod jarzmo zazdrości szaleńca, przez miłość dochodzącego do torturowania kochanki. Nie czuła ani ochoty ani siły do ponoszenia ponownie takich katuszy.

Zresztą nie raz jeden i nie dwadzieścia Nayrac mawiał dawniej do Pauliny:

— Listy! Cóż to za dowód! Czyż znajdzie się choć jeden mężczyzna, który odmówiłby jakiej łotrzyicy napisania kilkunastu antydatowanych listów, mogących oszukać męża lub następnego kochanka?..

Kobieta, pamiętająca o słowach podobnych, nigdy nie zdobędzie się na to, by wdzierać się raz jeszcze do serca, nasiąkniętego jedynie podejrzeniami, zazdrością, nienawiścią, szaleństwem. I oto przyczyna, która nakłoniła Paulinę do milczenia i sprowadzenia zupełnego zerwania.

Nie chciała się bronić. Po co? Owe listy zaś zachowała jedynie po to, by podsycać wciąż i odnawiać nienawiść ku owemu nędznikowi, który znalazł się na drodze jej życia najdziwniejszym z przypadków.

A teraz ma się on żenić, otrzymać jako żonę ową zachwycającą pannę Scilly, którą trzeba pokochać za pierwszym zaraz spojrzeniem. Ach! gdyby jednak i panna i jej matka znały naprawdę ów charakter; gdyby znały jego podle postąpienie wobec biednej kochanki, którą miał w dwudziestym piątym roku życia; gdyby wiedziały, w jak okropnych porzucił ją warunkach, niemal w przeddzień porożu, nieszczęśliwą i złamaną; co wtedy mogłyby obie kobiety pomyśleć o sercu tego człowieka? Wystarczyłoby tylko pokazać im owe listy, które niepotrzebnie przeglądała dzisiejszego wieczora. Budziły one taki wstręt w jej duszy, że odepchnęła wreszcie z goryczą tekę, szepcząc:

— Ach, jaki to podły człowiek, jaki podły, jak niewart niczyjej miłości!

Wreszcie dodała:

— Po co odświeżać wszystkie owe wspomnienia? Ach! temu winno sąsiedztwo z tym człowiekiem. Na szczęście, skończy się ono niebawem...

Istotnie zaraz od pierwszej chwili, gdy dowiedziała się o przebywaniu dawnego kochanka w tym samym hotelu, odczuła, że było dla niej niepodobieństwem pozostać z nim pod jednym dachem. W tej samej chwili młodzieniec — ach, co za ironia smutna wzajemnych nieporozumień, któremi kończy się niemal każda miłość występna! — pytał się w duchu, czy i jak zdołałby jej przebaczyć wszystkie zdrady i krzywdy doznane.

Na razie przecież pewien wzgląd powstrzymał Paulinę od zmienienia natychmiastowego hotelu. Zdawało się jej, że byłaby to ucieczka, rzucająca cień na jej charakter, jakiś rodzaj ustępstwa czy przyznania do winy. Została tedy.

Wnet atoli spotkanie się z Franciszkiem w ogrodzie hotelowym, oraz spojrzenia, jakie tenże rzucał na dziecko, wzbudziły trwogę w sercu matki. I ona bowiem wiedziała wybornie, że rysy Adeli kropla w kroplę przypominają twarz zmarłej przyjaciółki, której fotografię też już od dawna schowała jak najgłębiej.

Franciszek tedy skutkiem takiego zjawiska dziedziczności, która niejednokrotnie w ten właśnie sposób karze kobiety cudzołożne, nieodwołalnie rozpozna krew własną w żyłach Adeli. Będzie wiedział, że jest ojcem małej dziewczynki.

Paulina przewidziała to natychmiast. Podczas owego spotkania w ogrodzie jedno spojrzenie pouczyło ją, że ta dla Franciszka niespodzianka wzburzyła go do głębi.

Nie można było teraz wątpić, iż będzie usiłował się zbliżyć do swej córki. I jakkolwiek przez dni następne Nayrac nie dawał znaku życia, ta możliwość, ta pewność

niemal spotkania podobnego, złamała odwagę biednej kobiety.

Postanowiła więc opuścić hotel, i na resztę zimy wynająć małą willę, wskazaną jej przez lekarza, jedyną osobę, z którą utrzymywała w Palermo stałe stosunki. Owa willa leżała na samym krańcu Ogrodu Angielskiego, a więc w dzielnicy, możliwie odległej od brzegu morza, tudzież od hotelu Kontynentalnego.

Jedynie konieczność dokonania kilku naprawek, oraz odnowienia częściowego sprzętów, przewlekły owo przeniesienie się na świeżą siedzibę. Miało to przecież nastąpić nieodwołalnie w końcu tego tygodnia. Skoro już raz znajdzie się u siebie, pod opieką dwu sług, oraz małżeństwa ze wsi, które naraił jej doktor, żonę do kuchni, męża za stangreta, wówczas wszelki dostęp stanie się dla Franciszka wprost niemożliwym. Ani z nią, ani z dzieckiem nadal mówić nie zdoła.

A szczególnie właśnie obawa, by Nayrac nie zaczepił Adeli, przybrała tak wielkie rozmiary, że wahała się, czy pozwolić córce iść na *Christmas-tree* kawalera Rendy, skoro sama z powodu choroby nie mogła jej towarzyszyć. Wnet atoli uprzytomniła sobie, że Franciszek, jeżeli się tam znajdzie, to z pewnością w towarzystwie pań Scilly, co będzie go krępowało. Z drugiej zaś strony wiedząc, jak Adela gorąco pragnie uczestniczyć w owej zabawie, rzadkiej sposobności do przerwania życia jednostajnego, które prowadziła przy chorej matce, nie miała serca zostawić jej w domu.

Teraz atoli wydzwoniła już godzina dziesiąta. Dziewczynka powinna była za chwilę powrócić, a matka już

z góry uśmiechała się na myśl, ile to przyjemności musiała użyć jej córka.

To też szepnęła z uśmiechem smętnym:

— Będziemy miały obie naszą Gwiazdkę; ona nieco urozmaicenia, ja zaś upoję się jej wesołością.

Później znowu zatopiła się w marzeniach o willi Cyané — takie miano nosiło jej mieszkanie w przyszłości najbliższej, — o latach minionych, o nadziejach niespełnionych, gdy w tem posłyszała lekki chód stóp drobnych i szmer w pokoju sąsiednim. Była to Adela, która w przeciwieństwie do innych dzieci miarkowała zawsze żywość wrodzoną, ilekroć razy przebywała w pobliżu chorej matki, byle tylko nie drażnić jej nerwów. Potem lekkie stuknięcie do drugich drzwi i w tej samej niemal chwili Adela pojawiła się w sypialni z uśmiechem czułym, rozlanym na jej słodkiej twarzyczce. Ten uśmiech, jakim zawsze witała matkę po dłuższem czy krótszem rozłączeniu, dowodził, iż żyła tylko dla matki.

Jakkolwiek powracała z przedstawienia, które ją nadzwyczajnie zajęło, tudzież trzymała w ręku lalkę-sycylianę, odrazu wyniesioną do godności ulubienicy, instynktownie nie chciała mówić ani o sobie samej, ani o wrażeniach doznanych. Podbiegła wprost do łóżka i ująwszy białą, wyciągniętą ku niej rękę pani Raffraye — ach! jak ta ręka była wychudłą i bezkrwistą — złożyła na niej przeciągły, namiętny pocałunek, podczas gdy wzrokiem pieściła owo oblicze blade, na które jej zjawienie się rzuciło odblask młodości:

— Czy nie bawiłyśmy zbyt długo?... Czy nie nudziłaś się bezemnie?... Spytaj się Anusi, czy natychmiast nie wyszłam, skoro powiedziała mi godzinę?...

— Tak, natychmiast — potwierdziła stara bona, która wraz z panienką weszła do pokoju. Całe jej zachowanie poufałe dowodziło, że była przyzwyczajoną do przebywania pospołu z matką i córką, nie jako służąca, lecz jako przyjaciółka pokorna, niemal jak pies, który kładzie się u stóp waszych, podczas gdy wy niemal nie zwracacie na niego uwagi.

Tymczasem mała ciągnęła dalej:

— Powiedz, czy czujesz się zupełnie dobrze? Czy już nieco spałaś?

— Och! jest mi wybornie! — odpowiedziała matka. — Lecz niechże cię nasamprzód uściskam, następnie zaś siadaj, ot, tutaj przy mnie i opowiedz cokolwiek o wieczorze. Czy dobrze się bawiłaś?...

— Och! wybornie, wybornie! — podjęło dziecko, z oczyma w tej chwili wlepionemi w dal, i podziwającemi obraz, niedawno jeszcze widziany w rzeczywistości, teraz zaś odtwarzany przez wyobraźnię. — Wyobraź sobie, że był tam tłum, ależ tłum olbrzymi, może tysiąc osób... w środku salonu zaś drzewo' tak wysokie, jak stara jodła w parku w Molamboz, a na tem drzewie świeczki, już nie wiem ile, może także więcej, niż tysiąc, i muzykanci, i prawdziwi aktorzy, przebrani za pajaców, którzy tańcząc, śpiewali i staruszek Noël, podobny do naszego ojca Jana Klaudyusza, — ów staruszek przyniósł mi tę wieśniaczkę... dzisiejszej nocy musi jeszcze spać razem z drugą... Jestem pewną, że już jutro będą żyły ze sobą w serdecznej przyjaźni... A potem...

Tu zatrzymała się na kilka sekund. Ten wyraz „przyjaźń“, naturalnem kojarzeniem m pojęć, przypomniał jej nagle sąsiadkę dzisiejszego wieczora.

— Zapomniałam ci powiedzieć — dodała — że siedziałam tuż obok bardzo grzecznej panny!.. przypominasz sobie, to ta, o której ci kiedyś już wspominałam; ta, którą widziałam w ogrodzie...

— Tak — przerwała Anusia z lekkim zakłopotaniem, gdyż wiedziała zbyt dobrze, że pani Raffraye nie lubi wszelkich przypadkowych znajomości. — Pani już ją także spotkała. Jest to owa panna z Paryża, która przepędza tutaj zimę wraz z matką, oraz narzeczoną... Musi pani wiedzieć, iż dano im fotele tuż obok naszych; nie można zaś było dowoli zmieniać miejsca...

— Sądzę, że nie byłaś zbyt gadatliwą? — spytała Paulina, zwracając się do dziewczynki. Zdawało jej się bowiem, iż jakiś ból — ból fizyczny — ścisła jej serce. Wspomnienie narzeczonej Franciszka Nayraca, siedzącej tuż przy Adeli, wywarło na nią wrażenie nader przykre, gdyż bardzo niespodziewane. Głos jej drżał, kiedy zadawała pytanie tak zwyczajne.

Dziewczynka odpowiedziała z rumieńcem lekkim na ściągłych policzkach.

— Zdaje mi się, że nie. Lecz...

I tu zatrzymała się, nieco zakłopotana.

— Czy ta panna zagadnęła cię pierwsza?

— Tak — odparła Adela — wiem, iż nie wypada rozmawiać z osobami nieznanymi... Tylko, że ta panna jest taka... jakaś.. jakby się ją znało oddawna...

— I o cóż ci się pytała? — ciągnęła dalej pani Raffraye.

— Nasampród, pytała się o moje zdrowie — rzekło dziecko coraz bardziej zasmucone. Odczuwało bowiem,

dzięki tajemniczemu głosowi duszy każde uczucie, miłujące ducha matki, choć ta niczem, a niczem nie zdradziła teraz swego niezadowolenia. Gdyby nie lekkie drżenie głosu, nie mówiliby o stanie jej uczuć. Ręką wychudłą gładziła, jak poprzednio, sploty kręcące się Adeli, usta się uśmiechały, wzrok czuły spoczywał na twarzyczce córki, — mimo to przecież Adela odczuła, że wieść o jej rozmowie z panną Scilly głęboko matkę dotknęła.

— A potem rozmawiała ze mną o Molamboz i naszym drzewku gwiazdkowem w roku przeszłym, a potem o Franciszce i Anusi, a potem mówiłyśmy o jej matce, która także tam była. Opowiadała mi, że dwumiesięczny pobyt w Palermo zupełnie ją uleczył...

Umilkła. Przez delikatność bowiem nie chciała wywoływać wspomnienia o swym ojcu — o tym, którego uważała za ojca — co mogłoby, jak przypuszczała, sprawić przykrość ukochanej chorej. Za szczerą przecież była, by kłamać, dodała tedy pieszczotliwie, a z przebiegłością młodej kokietki:

Mówiłyśmy także o raju i o tych, którzy nas tam oczekują... Rozumiesz?

— Tu ujęła obu rękoma rękę, która wciąż głaskała jej pukle i spytała ostatecznie:

— Ależ ty się na mnie nie gniewasz, mateczko?

— Nie, nie, moja droga istoto!... — odparła Paulina, wzruszona obawą i prośbą zarazem, malującemi się w owych ukochanych przez nią źrenicach. Ta rozmowa przecież z panną Scilly była jeszcze niczem w porównaniu z drugą, możliwą w każdym razie rozmową, której strasznie się obawiała:

— A więc mówiłaś tylko z tą panną? — spytała wreszcie.

— Z nią wyłącznie! — potwierdziła dziewczynka. — Dlaczego jednak pytasz się o to?

— Aby być pewną, czy zachowywałaś się roztropnie — odparła matka — a teraz ulóż do spoczynku twą nową lalkę i sama też połóż się spać...

Uśmiechnęła się przy tych słowach, zachęcających Adelę do zabawy.

Zaledwie przecież została sama, uśmiech ustąpił miejsca goryczy:

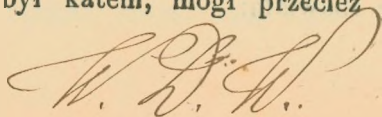
— A więc nie odważył się. Jeszcze raz bałam się niepotrzebnie...

Gdyby jednak wzięła do ręki lustro, jak to czyniła niejednokrotnie, aby śledzić postępy cierpień fizycznych, spostrzegłaby na swej twarzy wyraz niepokoju, silnie przeczący owej zimnej krwi, wmawianej w siebie samą.

Zatopiona w myślach, przyciemniła lampę, aby ułożyć się na spoczynek. Nie mogła spać atoli, gdyż jej wyobraźnia pracowała usilnie.

I wówczas zrozumiała, że owo świeże, przypadkowe spotkanie było następstwem nieuniknionem innego przypadku, nadzwyczajnego co prawda, następstwem owego zamieszkania dawnego kochanka w tym samym wszechświatowym karawanseraju, co i ona.

Zaniepokojona od trzech tygodni domysłami co do dalszych zamiarów Nayraca, zapytywała się w duchu, czy ta rozmowa panny Scilly z Adelą nie tworzyła czasami wstępu do z góry przygotowanej kampanii; ten człowiek, który był katem, mógł przecież bardzo łatwo



nakłonić pannę Scilly, aby szukała sposobności zetknięcia się z dziewczynką, — lecz w jakim celu? . Tu rozum nie umiał jasno odpowiedzieć, ów biedny rozum, oszołomiony wspomnieniami tych doznanych niesprawiedliwości, zgorączkowany chorobą, wyczerpany nadmiarem fantazjowania, zgorzkniały nadto niespodziewanem spotkaniem dawnego kochanka.

To też Paulina gubiła się w domysłach najsprzeczniejszych i zawikłanych, co do możliwych zamiarów Franciszka względem dziecka. Owe domysły i obawy tak ją rozdrażniły, tudzież osłabiły, że musiała znowu zatruć się chloralem, byle tylko ściągnąć sen na swe powieki; ów chloral zaś był przyzwyczajeniem okrutnem, nabytem w epoce przejść najcięższych.

Przy życiu utrzymywała ją tylko miłość dla Adeli, czuła zaś, iż gaśnie z dniem każdym coraz szybciej z powodu owego wstrętnego sąsiedztwa.

Łatwo więc odgadnąć, co za uczucie musiało nią owładnąć, gdy wśród listów, przyniesionych jej rano po tym śnie ciężkim i niemal przykrym, zoczyła kopertę z charakterem pisma Franciszka.

Przez jedno z okien, otwierane w tej właśnie chwili ręką pokojówki, wpadł do pokoju dzień jasny, wpadło słońce pogodne i ukazał się szmat lazurowego nieba.

Wskoczyła do pokoju i Adela, rozweselona, ucieszona zegarkiem, krzeselkiem, mnóstwem podarunków drobnych, znalezionych koło trzewiczków. Śmiała się ochoczo, a w tej wesołości, tudzież z owym uśmiechem równała się zupełnie światłu słonecznemu i świetlanemu porankowi.

Lecz Pauliny nie zdołały uspokoić ani uśmiechy słońca, ani uśmiechy córki, ani błękit nieba. Do żywego ją bowiem obruszył ów list, tylko co przeczytany, list, który Nayrac uważał za arcydzieło taktu i szlachetności.

— A więc — myślała w duchu — mój instynkt matki bynajmniej mnie nie omylił. — Usiłuje on zbliżyć się do swej córki. Adela przecież należy do mnie, wyłącznie do mnie jednej... On jej nie kocha. Nie ma zresztą prawa jej kochać. I Adela nie pokochałaby go wcale. Nie chcę zresztą, by ją kochał...

I nagle objąwszy Adelę, zaczęła ją przyciskać namiętnie do łona, oraz okrywać gorącymi pocałunkami.

— Nieprawdaż — powtarzała — ty mię kochasz? Powiedz mi! Powiedz mi i to, że się czujesz szczęśliwą, przebywając tutaj razem ze mną; że będziesz jeszcze szczęśliwszą, gdy pozostaniemy obie same i zamieszkamy w domku, dla nas tylko przeznaczonym, z ogrodem, gdzie tylko my same będziemy chodziły. A dalej, kiedy już wyzdrowieję, nieprawdaż, ucieszysz się za powrotem do Molamboz, będąc zawsze tylko ze mną, z nikim innym, tylko ze mną?...

— Zawsze z tobą — odpowiedziało dziecko z uciechą na twarzy, poczem przeszedłszy z fotelu na łóżko matki, usiadło tuż przy jej ramieniu wychudłem.

— Wiesz o tem doskonale — zaczęła Adela głosem przytłumionym — że dorósłszy, ani myślę wychodzić za mąż, byle tylko pozostać z tobą, z nikim innym, tylko z tobą..

I powtarzając dosłownie zdanie matki, instynktownie — boć ani wiedzieć o tem, ani rozumieć nie zdołała —

chciała odpędzić od mateczki myśl o osobie trzeciej, która mogłaby ich rozdzielić. To też Paulina, zachwycona zachowaniem się córki, jeszcze raz namiętnie i długo przycisnęła ją do serca, przebiegając w duchu przelotnie wszystkie te chwile rozkoszy, tudzież szczęścia, których już doznała z pomocą Adeli.

Po wyjściu tej ostatniej z pokoju, Paulina z wolna odzyskała zimną krew i zaczęła się zastanawiać nad postawą, którą wypada jej przyjąć wobec Franciszka.

— Nie może nic nam zrobić — wywnioskowała ostatecznie po roztrząśnięciu szczegółowem i chłodnem całej sprawy. — Moja córka należy do mnie na mocy prawa, zupełnie tak samo, jak pieniądze i dom. Jeżeli dzisiaj tego człowieka dręczą wyrzuty sumienia, tem lepiej. Będzie to zupełnie sprawiedliwem, gdyby cierpiał i on z kolei. Nie odpowiem mu nawet ani słówkiem. Najlepszą zresztą odpowiedź będzie stanowiło nasze wyprowadzenie się... Gdyby zaś i to nie wystarczyło; gdyby upierał się dalej i prześladował nas, wówczas dowiodę mu, że nie ma do czynienia z ową słabą kobietą z przed lat dziesięciu... Tym razem jest tu matka, z którą musi walczyć; jeżeli zatem dotychczas nie wie, co znaczy, tudzież może wola matki, to ja go nauczę...

To postanowienie wywołane listem Franciszka, wlało w chorą spory zapas energii, której brakowało jej niestety przez dni kilka. Chęć zemsty szła tutaj o lepsze z miłością macierzyńską. Postanowiła przeto jeszcze dzisiaj, choćby rano udać się do willi Cyané, by osobiście przekonać się o postępie dokonywanych robót.

Przekonała się niebawem, że będzie mogła przeprowadzić się tam po upływie doby. Pomówiwszy z dozorcą i poleciwszy mu jeszcze możliwy pośpiech, powróciła do hotelu, by nakazać pokojówkom pakowanie rzeczy, nie chciała bowiem ani jednej godziny niepotrzebnie przebywać w hotelu, tak teraz dla niej wstrętnym, od chwili, gdy willa będzie gotową na przyjęcie gości.

Równocześnie ani na krok jeden nie odstępowała córki, ani tego samego dnia, ani następnego pod pozorem, iż Anusia, oraz Katarzyna są zbyt zajęte pakowaniem. Sama szła z nią na przechadzkę, będąc pewną, że w takim razie już nikt nie zbliży się, ani nie przemówi do dziecka.

Wnet atoli przekonała się, że siły jej nie starczą na taki dozór codzienny, który zazdrość matczyna zrazu uważała za niezbędny.

List Franciszka otrzymała we środę, do willi zaś miała stanowczo przeprowadzić się w sobotę. Wychodząc jednak przez dwa dni z rzędu, i to po dwa razy, uczuła się już w piątek tak słabą i wyczerpaną, że nie mogła żadną miarą udać się na przechadzkę.

Przez godziny ranne kazała Adeli pozostać przy sobie, potem atoli widząc, iż jest ona nieco bladą, postanowiła posłać ją pod opieką obu służących aż do willi.

Sądziła przytem, iż podobna opieka uchroni dziecko przed wszelką zaczepką. Równocześnie zaś przestrzegła Anusię, której i tak udzieliła naganę za ów wieczór gwiazdkowy:

— Mam powody, dla których nie chcę, by owe panie rozmawiały z Adelą...

— Będę posłuszną pani — odpowiedziała stara służąca z miną, wyrażającą skruchę.

Do dawnych wyrzutów zresztą przyłączyła się świadomość nowego błędu.

— Pani zapewne — jąkała się po chwili — będzie się gniewała. Lecz doprawdy nie wiedziałam. Te panie mają taki dobry wyraz twarzy... Muszę tedy wyznać, iż nie przypuszczałam, że robię źle, mówiąc pokojówce tych pań o naszej jutrzejszej przeprowadzce...

Jakkolwiek owo plotkarstwo niewinne nie było Paulinie na rękę, to przecież szczerzy żal Anusi tak ją rozbroił, że jeszcze zaczęła pocieszać tę ostatnią i zaręczać o zupełnem przebaczeniu. Wyrzucała jedynie sobie samej, że natychmiast po pierwszym liście Franciszka nie dała wyraźnego pod tym względem rozkazu Anusi, która, będąc przywiązana nad wyraz wszelki, nawet nie zastanawiała się nad powodami takiego kroku.

Wreszcie Adela wraz z dwoma sługami poszły do willi; Paulina patrzyła na nich przez okno tak długo, aż zniknęły. Zostawszy samą, chciała użyć tych kilku chwil wolnych na zapakowanie rozmaitych drobnostek i zniszczenie niepotrzebnych rachunków, listów, papierów.

Podczas tego zajęcia nagle usłyszała jakieś pukanie do drzwi salonu, następnie zaś była pewną, że ktoś owe drzwi otworzył i zamknął. Na razie sądziła, że służący hotelowy przyniósł bądź list, bądź paczkę. Spytała tedy głośno, kto tam jest. Gdy nie otrzymała odpowiedzi, nagle strzeliła jej dziwaczna myśl do głowy, że Franciszek Nayrac nie otrzymawszy odpowiedzi na list, a na dobitek dowiedziawszy się, że ona wyprowadza się z hotelu, wi-

dząc nadto wychodzącą Adełę, tudzież obie służące, chce skorzystać z jej osamotnienia i wymódl na niej jakiegokolwiek wyjaśnienie. Lecz to niepodobna! Podobna śmiałość, tak zresztą niezgodna z dobrem wychowaniem, nie mogłaby się zrodzić choćby nawet w sercu Nayraca. Wstrząsnęła więc ramionami, śmiejąc się z własnego przypuszczenia i spytała na nowo:

— Kto tam?

Znowu milczenie.

Wpadła więc na domysł, iż jeden z gości hotelowych, jak się to zdarza, pomylił się co do pokoju. Otworzywszy drzwi, musiał on spostrzedz błąd i zamknął je z powrotem.

Bądź co bądź postanowiła stwierdzić sama, co to takiego, i weszła do salonu...

...Franciszek Nayrac stał przed nią...

Młodzieniec stał wyprostowany, opierając się ręką o stół, gdzie Adela rozłożyła podarunki, otrzymane przed trzema dniami. Gdyby Paulina mogła obserwować wśród tego strasznego wzruszenia, jakie ją ogarnęło, — byłaby spostrzegła natychmiast szczegół bardzo znamienity, który dowodził, że tylko szaleństwo istotne nakłoniło Nayraca do tego kroku. Wszedł on bowiem do niej bez kapelusza. Widocznie tylko co dowiedział się o mającym rychło nastąpić odjeździe pani Raffraye. Spostrzegł też oddalenie się obu sług i Adeli, wpadł do Pauliny, nie dlatego by jej grozić, jak ta mogła przypuszczać, ale celem zawiązania nieodzownej dla niego rozmowy. Jego twarz, napiętnowana cierpieniem, oczy, zdradzające boleść, wargi drżące, — wszystko to mówiło aż zanadto

jasno, że niczego nie chciał i o niczem naprzód nie pomyślał. Popęd niepowstrzymany nakazywał mu chwycić się jedyne go środka zobaczenia się z Pauliną... Po co? Czy to miało być wyznanie, obietnica, nadzieja? Sam nie wiedział dobrze. Miłość ojcowska wprawiła go w taką gorączkę, że nie zdawał sobie sprawy ze swego postępowania. Paulina jednak na widok tego sprawcy swych cierpień długoletnich, wpadła również w gniew tak wielki, iż nie spostrzegła na jego twarzy — aż zanadto jasno — malujących się i rozpaczy, i bólów, i zwątpień, i wątpliwości, i całej tragedii ducha. Odczuła tylko, że to najście jest pogwałceniem brutalnem jej praw domowych. To też pewna siebie, acz drżąca z gniewu, energicznie zawołała.

— Proszę pana wyjść, i to natychmiast... Wyjdz albo zadzwonie! Jestem u siebie i nie chcę pana widzieć... No, czy pan wychodzisz!..

Tym słowom szorstkim towarzyszyło jeszcze bardziej gniewne spojrzenie.

Franciszkiem wstrząsnął dreszcz widoczny; sprawiało to wrażenie, jak gdyby przybywszy do tego salonu w stanie somnambulizmu, teraz dopiero się budził i powracał do świata rzeczywistego. Chwycił się tedy jeszcze silniej krawędzi stołu, aby nie upaść. Milczał atoli uporczywie i ani krokiem nie ruszył się z miejsca.

Paulina zaś z nieprzejednaną uporczywością powtarzała:

— Wychodź pan!...

Jeszcze chwila, i nie spuszczać oczów rozplamionych z natręta, krokiem energicznym, wyciągnąwszy

rękę, ruszyła ku kąтови pokoju, gdzie widniał guzik dzwonka elektrycznego.

Jeszcze kilka sekund, a byłaby zadzwoniła.

Tym razem Franciszek nie zostawił jej na to czasu, gdyż ruchem równocześnie brutalnym i proszącym, ujął jej rękę.

— Nie — odezwał się — niech pani nikogo nie przywołuje! Pani nie zakaże mi mówić. Czego się zresztą pani obawia?... Przecież łatwo spostrzedz, iż nie przyszedłem tutaj w celach zemsty... Proszę pani tylko o pięć minut rozmowy, tylko o pięć minut, a potem pójdę... Lecz pierwej muszę z panią pomówić! Prawda, że nie miałem prawa gwałtem wstępować w pani progi... Pani jednak odjeżdża... Odpowiedzi na mój list nie otrzymałem. Nie zdołałbym zaś chyba tego przeżyć, aby nie rozmówić się z panią przed jej odjazdem... Pani musisz mię wysłuchać... Potrzeba tego koniecznie... Pani mi tyle złego wyrządziła w życiu. Nie zechcesz tedy odmówić mi tej rozmowy. Pani musisz mi na to już pozwolić przez samo poczucie sprawiedliwości, już choćby dlatego, że-bym pani przebaczył moje krzywdy...

W chwili, gdy Franciszek uchwycił panią Raffraye za rękę, ta ostatnia cofnęła się instynktownie o kilka kroków w tył, jak gdyby samo dotknięcie się młodzieńca sprawiało jej wstręt niewypowiedziany. Potem stanęła nieruchoma, już nie starając się przerwać tej niespodziewanej rozmowy. Byłaby bezwątpienia bądź zadzwoniła, bądź wyrzuciła Franciszka z salonu, bądź cofnęła się do swego pokoju, gdyby ten ostatni jedynie prosił ją o chwilę rozmowy. Położenie przecież się zmieniło, gdy do prósb

dołączyły się wyrzuty. Te wyrzuty rozdrażniły w niej ranę nie gojącą się od lat wielu. Ośmielał się mówić, on kat, jak ofiara pokrzywdzona; on, winowajca występował w roli sędziego. „Nie chcę się mścić... Pani wyrządziła mi tyle złego!... Chcę pani przebaczyć!...” I to on ośmielił się wypowiedzieć te słowa! Na ich dźwięk Paulina, zapomniawszy o wszystkim, blada, trzęsąca się, uczuła w sobie żądzę wściekłą obrony przeciwko potwarzom. Ta żądza okazała się silniejszą, niż roztropność. Odpowiedziała tedy:

— I pan ośmielasz się tutaj, wobec mnie mówić o zemście, o krzywdach, które ja miałam panu wyrządzić, o przebaczeniu — o pańskim przebaczeniu!... Czyż pan nie widzisz, że nic nie mamy sobie do powiedzenia. Kiedy mężczyzna w taki sposób obszedł się z kobietą, w jaki pan obszedłeś się zemną, nie może on już mieć żadnego prawa do jakichkolwiek nadal stosunków... Jeżeli zasłużyłam na pańskie wyrzuty, jestem nędznicą, niegodną pańskich odwiedzin. Jeżeli zaś nie zasługiwałam na nie, jesteś pan nędznikiem, ja zaś nie chcę, abyś tutaj przebywał. Proszę tedy wyjść... Powtarzam raz jeszcze i rozkazuję panu się wynosić...

Mówiąc te słowa, Paulina tak się uniosła, że nieco krwi zabarwiło jej blade policzki. Błyskawice, strzelające z jej oczów, rzuciły jasny promień światła na twarz wychudłą i zczerniałą z bólu. Franciszkowi zdawało się na chwilę, że stoi przed nim dawniejsza Paulina Raffraye, ta dawniejsza, której duma zarozumiała tak gorzko zawsze go raziła. Nic dziwnego więc, że i w jego słowach zaczęła się ujawniać cała gorycz dawniejsza. Już, już

potok słów ostrych i surowych miał popłynąć z jego ust, gdy w tem myśl o dziecięciu, nastroiła go na nutę pojednawczą:

— Proszę mi przebaczyć, jeżeli dotknęłam panią czemkolwiek. Bóg mi świadkiem, iż nie przyszedłem z zamiarem poruszania tego, co powinno już na zawsze dla nas nie istnieć. Mówił o tem mój list, teraz jeszcze raz zapewniam panią o tem. Nie zamierzam zajmować uwagi pani, ani jej, ani moją osobą. Pragnę pomówić o kimś innym...

Tu stłumiwszy mimowoli głos, dorzucił.

— Chcę mówić o Adeli, o naszej córce...

Nie zdołał atoli dokończyć zdania, przerwał je mu bowiem krzyk matki. Podskoczyła nadto ku niemu ruchem tak gwałtownym, iż instynktowo cofnął się o kilka kroków w tył.

— Milcz pan — zawołała — milcz! Nie wymawiaj tego imienia. Zabraniam panu. Moja córka tylko do mnie jednej należy, rozumiesz pan, wyłącznie do mnie! Ja ją bowiem wykarmiłam, wychowałam, kochałam, tylko ja jedna; ona też tylko mnie jedną kocha. . . Czyż ona zna pana? Czyż ona z panem, — z panem właśnie choć raz jeden mówiła? Czyż przez lat dziesięć starałeś się pan choć raz jeden zbliżyć do niej? Dlaczego więc teraz usiłujesz się wdzierać do naszego pożycia?

Po chwili dodała z ironią nader gorzką:

— Zapomniałeś pan zresztą widocznie swego mniemania o mnie, mniemania, które musisz żywić i obecnie, skoro w arcyzaczem uniesieniu szlachetności postanowiłeś mi przebaczyć. Skoro kobieta wychodząc od jednego

kochanka, biegnie natychmiast do drugiego; skoro następnie odrzuca się ją w sposób panu właściwy niby rzecz obrzydliwą i wstrętną, bez żalu żadnego, oraz bez wyrzutu, — czyż można po tem wszystkim zajmować się dzieckiem takiej kobiety? Nie, mój panie, pozostawia się obie, matkę i dziecko, w błocie, tak w błocie, jak to napisałeś mi pan z Marsylii. Pozostanę więc w błocie razem z moją córką...

— Ach — podjął Franciszek głosem jeszcze bardziej stłumionym i wyrażającym zniechęcenie nieskończone — jeszcze nienawiść, zawsze nienawiść! Ach! to smutne! I to spotyka mnie, który przybyłem do pani z przekonaniem wyrobionem o tem dziecku, z przekonaniem, wyczytanem z twarzy biednego dziecka? Czyż ono nie powinno zostać poza obrębem naszych waśni i uraz, czy nie powinno właśnie wpłynąć na ich ukojenie? Musimy się pogodzić, skoro to jest i moja córka. Wiem zaś wybornie, że ona także i do mnie należy. Zabraniam pani temu przeczyć, a choćbyś zaprzeczyła, byłoby to kłamstwem oczywistem. Lecz pani nawet nie ośmielisz się zaprzeczyć. Są takie pewniki, o których niepodobna wątpić. Pani zaś odzywa się do mnie jak do nieprzyjaciela, jak do kata! Czyż można przecież nazwać złym takiego człowieka, który od pierwszego dnia ustąpił głosowi krwi. Że nie sprzeciwiałem się temu ostatniemu ani przez godzinę jedną, na to pani przysięgam. Czyż można zarzucić okrucieństwo takiemu człowiekowi, który oddał się prawie niepodzielnie owemu uczuciu ojcostwa. Tak, natychmiast pokochałem Adele, skoro tam w ogrodzie spostrzegłem jej podobieństwo nadzwyczajne, jej tożsamość niemal

z Julią? .. Mój Boże! Przecież to tak naturalne, że w położeniu, w jakim się obecnie znajduję, na razie chciałem nie zbliżyć się do niej, tak, stanowczo pozostać dla niej obcym, acz wiedziałem, iż jest moją córką. Sądzę przynajmniej, że powinienem był tak postąpić. Usiłowałem... Nie mogłem atoli, nie zdołałem. O tem właśnie pragnąłem panią powiadomić .. I dodam jeszcze: kochaliśmy się wzajemnie w szkaradny sposób, poraniliśmy się nawzajem, niemal zdruzgotaliśmy własne dusze na zawsze. Jeżeli pani przezemnie cierpiała, to również i ja szalenie dużo przez panią cierpiałem! .. Zapomnijmy o tem wszystkim, pamiętajmy zaś tylko o tem, że pani byłaś oraz jesteś wyborną matką; ja zaś jestem gotów, bynajmniej nie domagać się praw ojcowskich, ale przyjąć na siebie obowiązek skromny pamiętania i opieki nad Adelą na zawsze. Widzisz tedy pani, że nie potrzebujesz się mnie obawiać... Co więcej, sądzą, że nasze spotkanie obopólne na Sycylii, spotkanie tak niespodziewane i tak dziwne, leżało w wyrokach Opatrzności. Może zapisane tam w górze, by to wszystko wyszło na korzyść niewinnego dziewczęcia. Otóż, jeżeli w przyszłości Adeli przydałby się opiekun, ja zawsze nieznacznie, z boku będę tam, aby biedz jej z pomocą... Ach jak ładną jest ona! Czy pani nie rozumiesz, iż musiała schwytać mię za serce?...

— A więc tak, pan myślałeś o tem wszystkim, proszę, pan myślałeś! — zaczęła Paulina.

W głosie jej brzmiała teraz już nie nuta gniewu, lecz goryczy cierpkiej, z której Franciszek mógł wybornie odczytać nienawiść, jątrzącą ową biedną duszę kobiecą aż do głębi, nienawiść niewzruszoną, instynktową,

namiętną, skierowaną przeciwko jego małżeństwu, co tworzyło dowód aż nadto widoczny, że mimo wszelkiej urazy zaognionej, jeszcze musiała go kochać.

— Więc pan mogłeś marzyć o czemś podobnem, o takiej potworności, że ja wraz z córką zajmiemy miejsca pomiędzy panem i...

Tu urwała, lecz koło ust jej, wykrzywionych boleścią tragiczną, zaigrał uśmiech radości, że może pomścić własne krzywdy, zatapiając nóż w serce kochanka. Potem zaczęła ponownie:

— Do tego nie dojdzie nigdy, czy pan słyszy, nigdy! Tak, Adela jest istotnie pańską córką, dla pana przecież nie istnieje. Umarła dla pana. Tak — to żyjący portret Julii, wiem o tem tak dobrze, jak pan; wiem przecież również i o tem, że się pan nigdy, ale to nigdy nie zbliżysz, nie będziesz mógł zbliżyć. Jeżeli zaś pan cierpisz — gdyby to było prawdą — tem lepiej! Tak, w naszym spotkaniu widnieje przeznaczenie. Tak, Opatrzność chciała, by sprawiedliwości stało się zadosyć. Jakto! Dawniej, podczas lat ubiegłych, niemal zadusiłeś pan kobietę nieszczęśliwą, która wierzyła panu święcie z całym zapalem swych lat młodych, oraz swych naiwnych na świat poglądów, uwiodłeś ją, a następnie obrzuciłeś błotem, podeptałeś, złamałeś, opuściłeś. Byłeś moim mordercą, zabiłeś moje szczęście, oraz moje sumienie, wszystko, co tkwiło we mnie szlachetnego i czułego, i miałbyś być szczęśliwym!.. Nie, nie! to być nie może. Z nas obojga do tego czasu ja cierpiałam najwięcej, teraz kolej na pana...

— Nakazuję pani milczyć: pani nie masz prawa odzywać się do mnie w taki sposób — krzyknął Franciszek.

Oburzyła go bowiem owa straszna obluda, jak mniemał, odgrywająca rolę męczenniczki. To oburzenie nie pozwoliło mu zapanować nad sobą i mieszając żal dawny za zdrady doznane z obecnymi uczuciami ojcowskimi, każało mu ciągnąć dalej:

— Ach! pozostałaś pani zupełnie taką samą, jak dawniej; zawsze dumna, zawsze zarozumiała i zawsze gotowa uciec się do kłamstwa! I czy pani nie pojmujesz, iż odpychając mię w ten sposób, krzywdzisz jedynie własne dziecko?... Przecież i tak wyrzuciłaś mu pani niezmiernie wiele złego, pozbawiając go skutkiem własnej zdrady ojca, który kochałby ową córkę z całym zaparciem się i miłością. Jeżeli zaś Adela teraz go nie posiada; jeżeli niemal cudu było potrzeba, by ów ojciec mógł rozpoznać własne dziecko, — czyjaż w tem wina?

— Tylko pańska — odpowiedziała żywo Paulina — wyłącznie pańska... Powiedziałaś pan przed chwilą, że nie zmieniłam się zupełnie; otóż i pan również nie zmienił się w niczem. Jedynie taki brutal, jak pan, może wpaść do mieszkania kobiety chorej i męczyć ją, mścić się na niej, a za co? Za nic, boć jedynym powodem pańskiej zemsty jest owa głupia zazdrość, — zazdrość, opierająca się na podejrzeniu zgoła nie słusznem... A ja przecież żyłam przez lat dziesięć tak, jak żyję teraz, całą moją młodość ogniskując jedynie w płaczu, przygniewiona owym strasznym oszczerstwem.. Nie, to kłamstwo, co pan twierdziłeś. Nie zdradziłam pana. Nie, nie zasłużyłam na taką obelgę. Niech pan popatrzy mi w oczy, jeżeli tylko się odważysz!... Czyż ja wyglądam na kobietę, która kłamie; czyż mam oczy, głos, ruchy, które kłamią?

Przecież prawdę zawsze można poznać. Tak, prawda musi wyjść na wierzch, albo Boga nie byłoby w niebie. Czyż zresztą zależałoby mi dzisiaj na tajeniu prawdy przed panem, skoro mówimy teraz ze sobą po raz ostatni w życiu, ponieważ ja pana wypędzam od siebie, rozumiesz pan, wypędzam od siebie!... Lecz ową prawdę muszę wypowiedzieć, tak, choćby wśród łez i jęków. Nie, nigdy pana nie okłamałam; nigdy nikogo nie kokietowałam, nawet de Querne'a. Nie, również i w mojej przyjaźni dla tego biednego Vernantesa nie było ani cienia winy. Nie, nie byłam u niego, jak pan twierdziłeś. Ta kobieta, którą pan widziałeś wchodzącą do niego, to musiał być ktoś inny! W każdym razie nie ja, nie ja!

Powtórzyła jeszcze te słowa kilkakrotnie, poczem dodała z melancholią ponurą:

— Jestem bardzo chorą. Wiem, że umrę może jutro, może za sześć miesięcy, może za rok. Nie kłamie się, stojąc nad grobem. Przysięgam panu, że jestem niewinną...

W słowach Pauliny brzmiał akcent takiej szczerości, że o prawdzie jej słów trudno nawet było powątpiewać. Franciszek znalazł się w położeniu straszliwym: jeżeli Paulina jest niewinną, jego cała uczciwość i honor cały w wątpliwem przedstawiają się świetle. Wybąkał tedy, przygnieciony owem odkryciem, zgola niespodziewanem.

— Jeżeli to prawda, dlaczego pozwoliłaś mi pani odjechać? Dlaczego nie odpowiedziałaś na mój list? Dlaczego nie postarałaś się ze mną rozmówić przez te lat dziewięć tak, jak ja dzisiaj postarałem się o rozmowę z tobą?

— Jakto? — odpowiedziała wśród gwałtownego łkania. — Czyż ja mogłam? A więc widocznie zapomniałeś pan już i o tych podejrzeniach, ani na jeden dzień nie ustających, i o pańskich powątpieniach i o wszystkim innym!... Widocznie zapomniałeś, żeś mię uderzył, tak, uderzył jak ulicznicę!.. Wobec tego rodzaju wysoków okrucieństwa traci się wszelką odwagę. A zresztą czyż zdobyłabym sobie wiarę u pana? Wogóle czy pan mi wierzysz? Czy pan będziesz mi wierzył za godzinę? Czyż posiadam jakiegokolwiek dowody na poparcie swych słów? Czyż można walczyć z tak fatalnym zbiegiem okoliczności, jakiego ja padłam ofiarą? Boć to fatalizm, abym wyszła z domu tego samego właśnie dnia, kiedy pan widziałeś owo stworzenie, gdy wchodziło do przyjaciela, o którego tak byłeś zazdrosnym. Podobieństwo ruchów i płaszcza!.. Oto powody dostateczne dla pana. by mię oskarżyć o najpodlejsze bezeceństwo; by mną pogardzić; by w końcu nogami podeptać moją biedną miłość.. Byłam zrozpaczoną, oto przyczyna mojego milczenia. A gdy spostrzegłam, iż zostanę matką, w chwili właśnie zupełnego osamotnienia — osamotnienia na zawsze, czyż mogłam wówczas tak się poniżać, aby aż wzywać pańskiej pomocy? Nie uwierzyłbyś zresztą, że to pańskie dziecko.. Dzisiaj pan wierzysz, jak pan zapewniasz! Ach! To już za późno! Podeptałeś pan wszystko, złamałeś wszystko, shańbiłeś, znieważyłeś, zabiłeś.. Na miłosierdzie Boskie zaklinam cię, odejdz! Sił mi już brakuje..

Wymawiając te ostatnie wyrazy zbladła, — niby chusta. Obu rękoma dotknęła się piersi, jak gdyby chciała wyciągnąć stamtąd nóż, który ranił ją śmiertelnie.

Szepnęła jeszcze:

— Ach! jak mi słabo!..

Franciszek zaledwie zdążył ją podtrzymać. Zachwiała się i zatoczyła. Wstrząśnienie, wywołane owem spotkaniem, było zbyt silnem dla tego słabego organizmu

Młodzieniec oszołomiony, ujął ją w ramiona i zaniosł na łóżko. Tak niosąc, mimo straszliwe wzruszenie, doznał wrażenia dziwnego. Przypomniawszy sobie, że przed laty w ten sam sposób dźwigał owo, biedne dzisiaj ciało, wówczas jednak i młode, i wiotkie, i drżące miłością, tudzież namiętnością pożądliwą. Wszedłszy do pokoju chorej, wsunął się pod baldachim nad łóżkiem, aby rozcierać owe skronie tak zżółkłe i chude, celem przywołania chorej do przytomności, gdy nagle usłyszał otwierające się, a potem zamykające drzwi salonu...

Kto to taki?

Wiedział przecież, że Adela, oraz obie pokojówki wyszły i tylko pewność, iż zostanie panią Raffraye samą, skłoniła go do wyprawy tak niebezpiecznej. Sekundę jedną obawiał się, że to Henryka przychodzi, dowiedziawszy się, dokąd poszedł. Wyleciał bowiem od niej pod niedorzecznym pozorem napisania listu i zauważył dobrze, że spojrzała na niego bardzo dziwnie.

Ale nie! Do pokoju weszła mała Adela, która nieco skróciła przechadzkę, z powodu sirocco, tudzież oślepiającego kurzu. Wesoła, uradowana wcześniejszym powrotem. Towarzyszyła jej Anusia. Przebiegłszy salon i znalazłszy się w połowie pokoju, spostrzegła panią Raffraye na łóżku, u wezłowania zaś młodzieńca, w którym poznała

swego bliskiego sąsiada z owego wigilijnego wieczora. Krzyknęła tedy trwożliwie i, zawoławszy na matkę, rzuciła się ku niej. Tu zaczęła ją obsypywać pocałunkami, które widocznie ocuciły ją i pozwoliły unieść się nieco.

Paulina również ujęła córkę w ramiona, ruchem na poły opiekuńczym, na poły zazdrosnym. To wszystko przecież wlało w nią tyle energii, że zdołała ocalić to, co jeszcze pozostało do ocalenia w owem położeniu tragicznem. Spojrzawszy bowiem Franciszkowi prosto w oczy, których rysy wykrzywione, zdradzały lęk szalony, rzekła, by dodać i jemu również siły do zapanowania nad sobą, tudzież wynaleźć pozór, który usprawiedliwiałby jego obecność.

— Dziękuję, że pomógł mi pan znaleźć się z powrotem w domu. Bez pańskiej pomocy nie zdołałabym nigdy wejść po tych schodach. Anusiu, odprowadź pana...

I zdobyła się jeszcze na energią uśmiechu, tudzież skinienia głową na znak podzięki, oraz pożegnania; — co za uśmiech, co za podzięka i co za pożeganie!

IX.

Przeczcucia młodej panienki.

Franciszek, odważając się na wyprawę tak niebezpieczną, jak wtargnięcie do pokojów pani Raffraye, przedewszystkiem był zgóry pewnym, iż naraża się na najstraszliwszą scenę. Powtórę wiedział, że ściągnie na

siebie podejrzenia niepożądane ze strony pań Scilly. Decydował się przecież na wszystko, byle tylko już raz przerwać położenie, gorsze od męczarni najgorszych. Upór bowiem Pauliny, nie chcącej go widzieć, dowodził może jej niewinności, — a wówczas on sam wyrastał na kata, niemal na mordercę.

To przypuszczenie zmieniło się dla niego w pewność od chwili, kiedy wyszedł z mieszkania Pauliny. Z głową odkrytą, drżący, z uginającymi się nogami, nie umiał nawet zdobyć się na siłę, by powrócić do narzeczonej, ponieważ jego wzruszenie było za widocznem. Nie chciał zaś kłamać i powtarzać im historyi zmyślonej, którą mógłby powiązać z świeżo wyrzeczonymi słowami Pauliny. Zawahał się jednym krokiem energicznym przeciąć już raz owo pasmo kłamstw i to właśnie miało go zgubić w przyszłości.

Uciekał, by uniknąć wszelkich wyjaśnień. Skoczył do swego pokoju po kapelusz i wnet znalazł się daleko od hotelu. O wytłomaczeniu powodów nieobecności pomyśli za powrotem, gdy już będzie panem swej woli.

Tymczasem, gdy Franciszek błąkał się przez owe godziny popołudniowe po mieście, pustem i zasypianem tumanami pyłu, — Henryka, opuszczona przez narzeczonego, oddawała się dziwnym rozpamiętywaniom. Czuła ona zmianę w postępowaniu narzeczonego, gdyż i sama bardzo go kochała i on ją kochał bardzo. Bynajmniej atoli nie podejrzewała go o zdradę. Bała się o niego, o jego zdrowie, o jego kłopoty; raził ją pewien zamęt w zobopólnych stosunkach. Widziała w oku Franciszka,

dawniej tak pogodnem, gorączkę ciągłą, niepokój na twarzy i wyraz nieokreślonego cierpienia. Nie wiedziała nawet, iż można kochać kobietę, kochać zupełnie szczerze, mimo to zaś ją okłamywać. Wiedziała przecież, iż od pewnego czasu w czułości narzeczonego dla niej brakuje dawnego harmonijnego spokoju. Widniało tam niekiedy — właśnie wówczas, gdy nieszczęśliwy Franciszek silił się na swobodę — na dużo jakiegoś szału niezrozumiałego, który ją wprost przerażał. Już nie myśleli, już nie czuli razem. Bo z poza tego Franciszka, którego znała, wychylał się jakiś inny, szydarczy, oschły...

Wszystko to przecież były tylko podejrzenia; faktów nie miała, nie miała więc od czego rozpocząć z narzeczoną rozmowy.

Co go trapiło? Przecież nie bał się w duchu o zdrowie jej matki, ponieważ ta ostatnia z każdym dniem coraz lepiej wyglądała. Ona sama czuła się zupełnie dobrze. Doktor zaś zapewnił ją pewnego razu, że i Franciszek jest całkowicie zdrowym. Wiedziała także, iż nie zostawił we Francyi ani bliskich krewnych, za którymi tęskniłby teraz, ani takich interesów, o których przebieg musiałby się obawiać. Pragnął nadejścia dnia ślubu tak gorąco, jak i ona. Dowodziło tego każde jego słowo. Henryka nie wątpiła o tem, ani na chwilę, mimo wszystko przecież zdawała sobie doskonale sprawę, że istnieje w postępowaniu Franciszka coś zagadkowego, czego nie umiała sobie ani wytłumaczyć, ani wyjaśnić.

Do powyższych wątpliwości przybyły jeszcze nowe dzisiejszego ranka, skutkiem dziwnego zachowania się Franciszka. Aczkolwiek bowiem ostatnimi tygodniami biedne

dziecko już się przyzwyczało do dziwactw narzeczonego, to przecież zatrwożyło ją owo pomieszanie, malujące się na twarzy Franciszka, gdy wszedł nagle do salonu i potem, niemal nic nie mówiąc, pod błahym pozorem napisania listu wyleciał z powrotem.

Było to właśnie w chwili, gdy Franciszek spostrzegł, iż Adela wyszła na miasto z obu sługami, i zaraz w duchu pytać siebie samego zaczął, czy ma pójść do Pauliny, czy też nie.

Gdy wyleciał, Henryka odczuła kłamstwo w jego słowach. Minęło pół godziny, godzina, półtorej godziny, dwie godziny. Nie wracał. Posłała tedy lokaja Wincen- tego, by zobaczył, co się stało. Lokaj, wróciwszy, oznaj- mił, że p. Nayrac wyszedł. Niepokój Henryki wzrósł do tego stopnia, że posłała do odźwiernego, by powiedział, jak dawno już wyszedł p. Nayrac. Spodziewała się, że Franciszek, wychodząc, zostawił dla niej bilecik z obja- śnieniem, który zapomniano oddać. Nie! Wyszedł pieszo, nie mówiąc ani słowa, zawrócił ku miastu, około pół do trzeciej, teraz już było po czwartej.

Najbardziej zaś bolała zaniepokojoną Henrykę ta okoliczność, iż widziała również zaniepokojenie matki, której pragnęła oszczędzić wszelkich trosk. Miłość tedy i matki i dla Franciszka podszeptała jej te słowa:

— Zbliża się dzień Nowego Roku .. Bezwątpienia, chce nam sprawić jakąś niespodziankę.

A potem pieszczotliwie dodała:

— Proszę cię, mamó, nie dawaj mu do poznania, że byliśmy pomieszane. Wiesz dobrze, jakby się tem zmartwił...

— Bądź spokojną — odpowiedziała pani Scilly — nie powiem mu ani słowa wymówki, choć zasługiwałby na nią, nawet w razie przygotowywania nam niespodzianki... Ach! jak to dobrze, iż go kochasz, i jak to szczęśliwie, iż on ciebie również kocha. Cierpiałabyś zbyt wiele!..

Dzięki więc przywiązaniu narzeczonej, Nayraca nie spotkała żadna scena przykra, gdy koło godziny szóstej wrócił do małego saloniku, gdzie tak długo nie opuszczało go szczęście. Na zewnątrz nic się tutaj nie zmieniło, lecz z duszy ulotnił się spokój dawniejszy. Tem więcej jeszcze niespokojnym był teraz, skoro musiał paniom Scilly oznajmić to, co postanowił podczas długiej, oraz samotnej przechadzki. Otóż chciał wyjechać z Palermo i z Sycylii wcześniej, aniżeli poprzednio oznaczył. Nasamprzód bowiem miał powrócić do Francji 20—25 stycznia, teraz zaś już 2-go zamierzał znaleźć się na morzu. Gdy już stąd się oddali, wszystkie sprawy muszą wziąć obrót daleko lepszy. Jest to jedyny środek zaradzenia wszystkiemu złemu. Poszedł nawet po doktora, prosząc, by doradził pani Scilly szybką zmianę klimatu.

Doktor atoli, chytry sycylijszyk, przeniknął jego zamiary i szybko uciął rozmowę słowami:

— Niech pan nie stara się przyspieszyć wyjazdu pań Scilly. Jeżeli pan potrzebuje sam wyjechać, ma pan do tego doskonały pozór. Panna Scilly niepokoi się o pańskie zdrowie... Radziła się mnie nawet któregoś dnia...

A więc Henryka już spostrzegła, co się z nim dzieje. Tem prędzej zatem musi wyjechać, aby nie doprowadzać do katastrofy. Bystra spostrzegawczość narzeczonej atoli

ułatwiła mu odjazd. Ufał tedy, że się mu wszystko doskonale powiedzie i dlatego też pełen ufności wszedł tym razem do salonu.

— Panie zapewne — zaczął — musiały się o mnie niepokoić? Proszę o przebaczenie... Byłem bardzo cierpiący; czułem, iż świeże powietrze przyniesie mi pewną ulgę i dlatego chciałem się przejść. To też szedłem i szedłem bardzo daleko... Lecz niedomaganie nie ustąpiło, poszedłem więc do profesora Teresiego zasięgnąć rady. Miał powrócić za chwilę, tak przynajmniej zaręczał służący, mimo to jednak musiałem czekać przeszło godzinę...

— A czy mogłeś pan przynajmniej się z nim zobaczyć? — spytała pani Scilly.

— Na szczęście — odparł młodzieniec — albo raczej — dodał — na moje nieszczęście!...

Tutaj obie kobiety, matka i córka równocześnie podniosły głowę ze współczuciem, jeno powiększającym jego wyrzuty.

Po chwili przecież ciągnął dalej, tym razem zwracając się już wprost do hrabiny:

— Niech pani będzie spokojną; ciężko chory nie jestem... Sądzę przecież, że to tem gorzej. Zdaje się bowiem, iż szkodzi mi tutejszy klimat; jeszcze dłużej, a mógłbym dostać bardzo złośliwej febry. Doktor tedy żywi przekonanie, że tem lepiej się stanie, im prędzej opuszczę te strony.

— Mógłbyś wyjechać! — krzyknęła Henryka.

— Sądzę, że trzeba — odpowiedział.

— A kiedy? — spytała.

— Oczywiście, nie przed 1-szym stycznia, nie chciałbym bowiem bez pań rozpocząć roku następnego; lekarz atoli twierdzi, że lepiej, rozstropniej, a nawet nieodzownie byłoby wyjechać 2-go, najpóźniej zaś 3-go..:

Henryka patrzyła na niego uporczywie przez cały czas, gdy mówił. Nie mógł znieść wyrzutu niemego tych pięknych oczów, w których jeszcze nigdy nie malowało się tyle przestachu. Lecz już postąpił krok naprzód i nie mógł się cofać. Trzeba było tylko, w miarę możliwości, uspokoić zatrwożoną Henrykę. Coby się to działo, gdyby przeczuła, że powodem wyjazdu nie jest stan jego zdrowia?

Istotnie Henryka wątpiła, po raz pierwszy w życiu zaczęła mu nie wierzyć, jakkolwiek Franciszek szczerze zapewniał:

— Jakież mię smutek ogarnia na myśl o rozłące, o rozłące na dwa miesiące. Ach! jak to przykro!..

Mimo to Henryka już mu nie wierzyła. Instynkt tajemniczy szeptał jej, że Franciszek kłamie. Milczała tedy zniechęcona, choć Franciszek jeszcze nie spostrzegął jej podejrzeń, Henryka kłamstwo wyczytała narzeczonemu z warg i z oczów, wiedziała wybornie, że wyjeżdża z zupełnie innych powodów, aniżeli z obawy o zagrożone zdrowie. Lecz dlaczego wyjeżdża?

Przez całą noc naprzemiany płakała i myślała, usiłując odgadnąć tajemnicę, to znowu chwilami złorzeczyła sobie samej, że niesprawiedliwie oskarża narzeczonego o taką obłudę! Wpadła wreszcie na domysł, że Franciszek otrzymał zapewne z Paryża jakiś telegram, który musiał wstrzasnąć nim do głębi. Chciał zapewne

sam odtelegrafować, a właśnie stacya jest na tej samej ulicy, gdzie mieszka i doktor Teresi, który przed kilku dniami zaręczył jej, że Franciszek jest zdrow. I na raz dwukrotnie podczas 48 godzin, bez pojawienia się żadnego znamienia nowego i niepokojącego zarazem, miałby zmieniać swoje zdanie, nakazując Franciszkowi natychmiastowe opuszczenie Palerma. Czyżby ci dwaj mężczyźni, których szanowała tak głęboko, mieli się ze sobą umówić w celach postronnych?

Henryka na samo przypuszczenie czegoś podobnego, odpowiedziała energicznie: Nie! jakkolwiek jakiś głos wewnętrzny szeptał jej, że narzeczony kłamie. Dlaczegoż atoli miałby kłamać? Faktem przecież było, iż na twarzy Franciszka widniało odbicie goryczy ciężkiej; co go mogło trapić?

Na drugi dzień podczas obiadu, który zawsze jadałi we troje, hrabina nagle odezwała się w te słowa:

— Zdaje się, że matce owej małej Adeli znacznie gorzej... Wynajęła willę tuż przy Ogrodzie Angielskim i chciała się dzisiaj przeprowadzić... Ale sił jej nie stało.

W tej chwili Franciszkiem dreszcz wstrząsnął, dreszcz żalu i wzruszenia zarazem. Gdyby Henryka była mniej zdenerwowaną, musiałyby koniecznie spostrzedz ową nagłą bladość na licu Franciszka, owo drżenie rąk, ów kurcz mimowolny, a bolesny w kątach ust. Przytem ton jego głosu już byłby go zdradził, gdyby tylko Henryka była uważała. Franciszek bowiem chciał koniecznie odpowiedzieć, sądząc niebacznie, że w taki sposób najlepiej się zasłoni przed wszelkimi posądzeniami. Odrzekł zatem:

— Biedna kobieta! A więc powiedziano pani, że ma się gorzej. Małeńka myliła się widocznie, twierdząc, iż stan zdrowia matki znacznie się poprawił.

— Jest już tak źle - odparła hrabina — że jeszcze kilka dni, a wszystko może się skończyć...

— Czyż ma przynajmniej dobrego doktora? — badał dalej.

— Nie wiem — ciągnęła hrabina. — W początkach leczył ją Teresi, rzuciła go przecież dla jakiegoś anglika, poleconego jej przez Don Ciccia, pańskiego nieprzyjaciela.

Ta wzmianka ułatwiła Franciszkowi zmianę przedmiotu rozmowy, niesłychanie bolesnego, tak bolesnego, że przez resztę dnia okropnie wyglądał.

Gdyby Henryka była już kobietą, świadomą wszystkiego i dojrzałą, ów stan nienaturalny Franciszka po dowiedzeniu się o niebezpieczeństwie, grożącym Paulinie, w połączeniu z nadzwyczajnem podobieństwem Adeli do Julii Nayrac, gdy owa była w tym samym wieku — byłyby powiedziały całą prawdę biednej panience. Lecz Henryka była jeszcze naiwną, nie wpadłszy zatem na właściwą drogę domysłów, — po raz ponowny znowu drugą noc spędziła na próżnych domniemaniach. Rankiem postanowiła iść do katedry palermitańskiej i tam się wypowiedzieć, oraz komunikować. Towarzyszyła jej stara Małgorzata.

Wracając do domu, Henryka szła już spokojniejsza, lecz zatopiona w dumaniach głębokich, gdy w tem przywołał ją do rzeczywistości głos Małgorzaty.

— Ach, będziemy miały nowiny o tej biednej pani Raffraye. Właśnie naprzeciwko nas idzie panna Adela z Anusią ..

Henryka podniosła głowę i w samej rzeczy spostrzegła w odległości trzydziestu kroków dziewczynkę, idącą tym samym chodnikiem. Ale po chwili spostrzegła coś dziwnego: bona ujęła małą za rękę i przeprowadziła ją przez ulicę na drugi chodnik. Ten ruch był tak wyraźny i tak szorstki zarazem, że Małgorzata zdziwiona zatrzymała się przez chwilę, następnie zaś odezwała się do panienki:

— Zdaje się, że nas unikają umyślnie...

— Ale czy jesteś pewną, że nas widziały? — spytała Henryka.

— Tak pewną, jak tutaj widzę panienkę — odpowiedziała pokojówka, poczem dodała. — Być może, iż pani Raffraye zrobiło się gorzej, i nikt z nich nie chce udzielać takich nowin, albo też śpieszą się na mszę...

Choć Henryce ani jeden z tych argumentów nie trafił do przekonania, nie odpowiedziała przecież ani słowa. W duchu natomiast przemknęła jej myśl:

— Ta służąca nie śmiałaby postępować w ten sposób z własnej podniety. Musiano jej wydać rozkazy odpowiednie... Pani Raffraye widocznie była niezadowolona, że dziewczynka rozmawiała z nami owego wieczora...

I znowu pograżyła się w rozpamiętywaniach, co to wszystko ma znaczyć. To też, gdy później koło południa zobaczyła przez okno, że Adela bawi się sama w ogrodzie, ogarnęła ją chęć natychmiastowego sprawdzenia, czy i dlaczego dziewczynka rozmyślnie uniknęła jej spotkania.

Szybko tedy zbiegłszy na dół, zaskoczyła ją przy zabawie. Mała zarumieniła się na jej widok i stanęła nieruchoma, rzucając błagalne spojrzenia w stronę bony. Lecz teraz opiekowała się nią nie Anusia, jeno Katarzyna, która, nie otrzymawszy od pani swojej żadnego polecenia specjalnego, patrzyła obojętnie na to spotkanie.

Henryka zaczęła pierwsza:

— Dzień dobry, panno Adelo. Wiem, że mama pani była bardziej cierpiącą. Spodziewam się atoli, że dzisiaj ma się już znacznie lepiej..

— O wiele lepiej; bardzo pani dziękuję — powiedziało dziecko, samo nie wiedząc, jak się zachować. Sympatya, którą odczuwała dla Henryki, walczyła w Adeli o lepsze z niezadowoleniem mamy i ze wspomnieniem o przestrojach Anusi, słyszanych dzisiaj rano. Zakłopotanie jej było widocznem, trzęsące się zaś rączyny powypuszczały zabawki na ziemię.

— Pozwoli panienka, że jej pomogę — podjęła znowu Henryka. — Sądzę bowiem, iż się panienka mnie nie boi. Jestem pewną, że zostałyśmy przyjaciółkami w ów wieczór wigilijny...

Głos jej nabrał tutaj tyle słodczy, że dziecko musiało podnieść oczy w górę. Widocznie, serce jej chwiało się wśród uczuć najróżnorodniejszych, klamać zaś nie chciała, odpowiedziała tedy otwarcie:

— Dostałam nagane, skoro przyznałam się, że rozmawiałymy ze sobą... Mama nie lubi, abym rozmawiała z obcemi osobami...

— A więc dobrze! — rzekła Henryka — trzeba być mamie posłuszną... Do widzenia!

Wiedziała to, o czem chciała się dowiedzieć, lecz ani krok nie posunęła się dalej.

Już, już miała odejść, gdy w tem dziewczynka ujęła ją za rękę i spytała z uporczywością słodką:

— Czy pani się na mnie gniewa?

— Ależ bynajmniej — odparła Henryka z uśmiechem nieco wymuszonym.

— Bo, jeżeli się pani gniewa — upierało się dziecko. — Nie trzeba mieć tego za złe mojej mamie. Ona pani nie zna. Zresztą teraz, być może, to się zmieni...

Zatrzymała się chwilę, potem zaś dodała czule:

— A wtedy z przyjemnością zostanę pani przyjaciółką...

Owo zdanie brzmiało zbyt zagadkowo dla Henryki. Spytała tedy:

— Dlaczego się to ma zmienić? Mama panienki nie poznała mnie jeszcze, a ponieważ wyprowadzacie się stąd. .

-- Tak — odparła Adela zalotnie — mama wie przecież, że pani jesteś jego narzeczoną...

Pamięć o młodzieńcu, którego zoczyła schylonym nad łóżkiem matki, nie opuszczała jej na chwilę. To też z naiwnością poufną spytała:

— Czy pani czeka na niego? Czy on przyjdzie?..

Henryka zawahała się chwilę, spostrzegła, że ukrywa się tutaj jakaś tajemnica; pytała więc, czy ma prawo wyciągać ją z niewinnych ust dziecinnych. Gorączka jednak, w której żyła od dni kilku, przewyciężyła wszystkie jej skrupuły. Odezwała się przeto:

— Nie wiem, o czym panienka chce mówić; pytała panienka, czy czekam tutaj na mojego narzeczonego, Franciszka Nayraca?...

Tak — odparło dziecko, poczem powtórzyło dwa, czy trzy razy, sylabizując każdą zgłoskę z osobna! „Franciszek Nayrac, Franciszek Nayrac“, jak gdyby chciało dobrze wbić sobie w pamięć owo nazwisko.

— Nie, nie czekam na niego — podjęła Henryka, poczem dodała z sercem rozdartem:

— A więc panienka go poznała? Panienka z nim mówiła?

— Och! nie — odparła Adela — zdziwiłam się bardzo, gdy powróciwszy, spostrzegłam mamę, leżącą na łóżku, bardzo, ale to bardzo bladą...

Tu chwilę zatrzymała się, gdyż samo wspomnienie owej sceny poruszyło ją do żywego. A potem prawiała dalej z okrutną szczerością naiwnego dziecięcia:

— I on również był tak, jak ja, wzruszonym, drżał cały... Musi mieć bardzo dobre serce...

— To było przedwczoraj, nieprawdaż? -- pytała Henryka.

— Tak, przedwczoraj — poświadczyła dziewczynka, zdziwiona zaś drzeniem, dającym się odczuć w głosie panny Scilly, spytała ze swej strony:

— Czy pani się jeszcze gniewa, i na mnie?

-- Około godziny drugiej?.. — badała dalej Henryka.

— Skoro pani wie o tem, dlaczego pani pyta? Teraz ja się pani boję... — szepnęła Adela, coraz bardziej zdziwiona nagłym smutkiem, czy pomieszaniem narzeczonej Franciszka.

Ta ostatnia znowu, mimo całe pomieszanie, odczuła instynktownie, że powinna przerwać ową rozmowę. Doszłaby bowiem do tego, że bądź wybuchnęłaby płaczem wobec małej, bądź zaczęłaby jej zadawać pytania nikczemne. Zdołała przeto zapanować nad sobą i z swobodą możliwą odparła:

— Ależ nie! Nie gniewam się... Gdyby się gniewano na panienkę, proszę powiedzieć, że to ja panienkę zczepiłam... A teraz proszę korzystać z tego pięknego poranka i bawić się dalej...

Nie miała już siły powiedzieć ani słowa więcej. Czuła, że ją dławi smutek straszliwy. To, czego dowiedziała się o Franciszku, przechodziło jej najbujniejsze domysły. Teraz już nie wątpiła, że między ową sceną u pani Raffraye i jego odjazdem nagłym musi istnieć ścisły związek. Zdecydowała się tedy zażądać od niego stanowczych wyjaśnień. Zdobyła się jednak na tyle mocy, że postanowiła doczekać drugiej godziny popołudniu, to jest chwili, kiedy po śniadaniu mogła pozostać sama z narzeczonym. Umiała nawet ukryć ową gorączkę, pożerającą ją od chwili rozmowy z Adela; umiała też bez okrzyku, bez gestu, nawet oburzenia lub co najmniej ironii, wysłuchać następującej rozmowy, która zawiązała się między panią Scilly i Franciszkiem.

— Małgorzata powiadomiła mnie, że nasza biedna sąsiadka— rzekła pani Scilly—ma się już daleko lepiej...

— A więc niebawem będzie mogła przenieść się do swojej willi?— spytał niby to obojętnie Franciszek.

Ach! jak ta kłamana obojętność, ta komedia kłamstwa, to wieczne kłamstwo, szarpały biedne serce Henryki

w kawały. Lecz jeszcze potrafiła cierpliwie poczekać, gdy jednak po śniadaniu matka poszła do swojego pokoju, Franciszek zaś również chciał wychodzić, rzekła do niego z mocą namiętną:

— Zostań! Chcę z tobą pomówić...

X.

Przeczcucia młodej panny. *(dokończenie)*.

Gniew namiętny wstrząsnął Henryką przy wymawianiu tych słów. Musiała usiąść, ponieważ biedne nogi odmawiały jej posłuszeństwa. Franciszek stał przed nią, patrząc na nią wzrokiem, zwykłym u ludzi słabych, oraz chwiejnych, którzy nie są zdolni ani do przyjaźni stałej, ani do zdrady stanowczej. Pojął atoli, że Henryka cierpi z jego powodu, padł więc w mgnieniu oka na kolana, ujął jej dłonie i, ściskając, zaklinał:

— Uspokój się, Henryko — mówił — uspokój się, jeżeli mię kochasz. Robisz mi przykrość szaloną... Mój Boże! Jakże ty cierpisz, jak jesteś wzruszoną i to wszystko przezemnie!.. Popatrz mi w oczy, ja cię przecież kocham. Wysłuchaj mię, ponieważ mówię zupełnie szczerze, z sercem otwartem... Bądź więc i ty całkowicie szczerą... Czy mój odjazd tak cię zasmuca? Ależ czy sądzisz, że i mnie on nie przyprowadza do rozpaczki? Być zdala od ciebie będzie to dla mnie rzeczą straszną, nie odjechałbym atoli nigdy, gdybym wiedział, iż to ci sprawi taki smutek..

które ongi zrodziła namiętność, teraz zaś pański słaby charakter. Sądzę atoli, że kochasz pan Henrykę tak prawdziwie, silnie, szlachetnie, iż będziesz mógł odkupić owe błędy i zostaniesz dobrym, oraz uczciwym mężem .. Ja panu wierzę, lecz ja nie jestem nią. Przestrzegając pana, byś według mnie nie sądził córki mojej, chcę pana zarazem uchronić w możliwie najdelikatniejszy sposób od wszelkich złudzeń. Widzi pan: kobieta w moim wieku, a wychowana w naszym społeczeństwie, godnem pożałowania, wie doskonale, że można popełniać błędy takie, jakich pan się dopuściłeś, mimo to zaś nie stracić jeszcze pięknych przymiotów serca... Henryka jest odemnie młodszą...

— A więc pani przypuszcza, że mi nie przebaczy? — spytał Franciszek z nieukrywanem drżeniem w głosie.

— Nie powiedziałam tego — odparła hrabina — i przeciwnie spodziewam się, że... Chcąc jednak pana nie łudzić, muszę przewidzieć wszystkie możliwości... A może to młode serce nie zdoła przebaczyć sprawcy swego pierwszego rozczarowania... Jeżeli Henryka oświadczy stanowczo, że nie zostanie pańską żoną, na to nic nie będę mogła poradzić...

— Pani przecież przywołała mię z powrotem — zawołał Franciszek — abym mógł bronić swojej sprawy i wytłomaczyć jej...

— Wytłomaczenie — przerwała pani Scilly — należy do mnie jako do matki. Dowiodłam, iż posiadam dla pana bardzo dużo sympatyj, może więc pan być pewnym, że przytoczę na korzyść pańską wszystko, co tylko się da

przytoczyć, a nawet to, czego pan żadną miarą nie miałbyś prawa powiedzieć. Rozmowa między wami może się ograniczyć jedynie na przebaczeniu z jej strony...

— Będę pani posłusznym — odparł młodzieniec po krótkim milczeniu. Tu ujął rękę szlachetnej kobiety i całując ją znowu, dodał:

— Powierzam pani wszystko, co mam na świecie najdroższego, ufam pani, jako osobie, którą najbardziej ze wszystkich poważam...

— Ach! — krzyknęła matka — gdybyś pan był wcześniej tego zaufania dowiódł i zwierzył mi się zaraz pierwszego dnia, ileż boleści oszczędziłbyś przez to mojemu biednemu dziecięciu!...

Młodzieniec oddalił się z silnem postanowieniem, iż obietnicy dotrzyma, jakkolwiek było mu to bardzo, a bardzo ciężko. Sam pakując walizę, by uniknąć wszelkich domysłów ze strony Wincentego, przyznał w duchu hrabinie słuszność, iż warunki, wśród których żyli we troje, nie pozwalały mu zostać. Odjeżdżając atoli, oddał się zarazem od córki, której może już nigdy więcej nie miał w życiu ujrzeć. Postanowił przecież ponieść taką ofiarę dla szczęścia Henryki.

Gdy jednak o piątej rano powóz hotelu Kontynentalnego odwoził go na dworzec, spostrzegł, iż wiele razy myśli o Henryce, musi myśleć i o córce.

— Tak, o obu równocześnie!.. — jęknął w duchu — Ale czyż to zbrodnia kochać je obie równocześnie? A gdybym się ożenił z Pauliną, potem owdowiał, a potem po raz wtóry ożenił się z Henryką? Nie. Zbrodnia moja tkwi nie w owej równoczesności, lecz w błędach, ongi

popelnionych. Te błędy teraz ścigają mię i karzą... Czyż nigdy nie zdołam odpokutować za nie? Nie, nigdy, ponieważ nigdy nie będę mógł być użytecznym dla mojej biednej, małej Adeli. O Boże, gdybym miał prawo przynajmniej być użytecznym dla Henryki...

Nieco później pani Scilly dnia tego odważyła się wejść do sypialni Henryki.

Dzień dosyć pochmurny dziwnie licował z bladym obliczem chorej dziewczyny. W oczach jej gorzał niezdrowy płomień, odblask przełomu moralnego, jaki widocznie zachodził w jej duszy.

Hrabina ujęła w ręce jej blond główkę i złożyła na włosach pocałunek przeciągły. Milczała przecież, nie wiedziała bowiem, jak przemówić do tej dziewczynki niewinnej, srodze w swej czystości dotkniętej, złamanej duchowo.

Wyznanie Franciszka, które podsłuchiwała przypadkowo, spiorunowało Henrykę. Bolało ją zaś równocześnie odkrycie, że Franciszek kłamał w sposób tak okropny i uporczywy zarazem.

Wreszcie rumieniec strzelił na blade lica chorej, rumieniec zakłopotania. Hrabina domyśliła się, że córka zamierza zadać jej kilka pytań, przyrzekła tedy sobie odpowiedzieć na owe pytania z możliwym zaoszczędzeniem Franciszka.

— Mamo — zaczęła Henryka — czy ja nie dopuściłam się jakiej niedelikatności?... Mama zostawiła mię samą. Bałam się o tę rozmowę, tak mię obchodzącą zbliżską, mnie się nadto tyjącą... Chciałam jej położyć kres... Podeszłam do drzwi i otworzyłam je, jak zawsze, bez

pukania. Nie usłyszeliście mnie, ja zaś nie mogłam kroku postąpić naprzód. Drżałam tak silnie, iż musiałam oprzeć się o mur. Nóg pod sobą nie czułam...

Tutaj zamknęła oczy, jak gdyby cała ta scena z powrotem działała się na jawie. Matka głaszcząc jej loki, uspakajała ją pieścizotliwie:

— Nie potrzebujesz się usprawiedliwiać. Znam cię zbyt dobrze, abym cię mogła choć na chwilę posądzić o uleganie popędom niskim... A nawet, gdybyś im tym razem uległa, nie zdobyłabym się na skarcenie. Kara, którą poniosłaś, byłaby już i tak zbyt wielką. Mój Boże! — dodała — wiem, iż jesteś dla mnie najdroższą na świecie istotą... Jak atoli jesteś mi drogą, przekonałam się dopiero teraz po owym ciosie, który spadł na ciebie... Wiedziałaś atoli, że nie pytałam się ciebie o nic. Szanowałam twoją boleść. Będę ją szanowała i nadal. Chcę cię jedynie pielęgnować. . Przypomnij sobie atoli od czasu do czasu, że jestem tutaj u twojego boku, ja, twoja matka...

— Droga mamó — odparła Henryka, ujmując w swe ręce gorejące rękę tej, która do niej w taki przemawiała sposób. Potem po chwili milczenia, z purpurą na licach, jak gdyby wstydyła się słów własnych, dodała:

— Droga mamó, on powiedział, iż ta mała Adela jest jego córką...

— Słyszałaś sama, — potwierdziła hrabina, widząc, iż biedna istota nie śmie poruszać zagadnienia, które ciążyło jej na sercu. — Rzecz to szkaradna, gdy kobieta zamężna zostaje matką dziecięcia, które nie jest

dzieckiem jej męża. Gdy przecież wejdiesz w świat, przekonasz się, że takie wypadki są tam dosyć częste. Ty zaś jako dobra chrześcianka, przypomnij sobie teraz i zapamiętaj na przyszłość słowa naszego Zbawiciela: „Kto jest bez grzechu...”

— Mimo to — podjęła Henryka — owa mała Adela nosi nazwisko obce. Mówiła mi o ojcu owego wieczora wigilijnego, kiedy się pytała, czy go pozna po śmierci... A więc, gdyby ten człowiek żył, uważałby się za jej ojca. .

— Bez wątpienia!

— A matka wiedząc o tem, iż ten człowiek nie jest ojcem owego dziecka, nie powiedziała mu prawdy? Pozwoliłaby, aby ten człowiek wobec niej całował owo dziecko. A gdy dziecko modli się wieczorami, każe mu ona modlić się za ojca, jak ongi ty nakazywałaś mi modlić się za mojego... I nie boi się ona Boga, który jest Wszechwiedzącym... Co za wstrętna kobieta!

— Z pewnością cierpi ona strasznie tak samo, jak gdyby widziała męża zdradzonego, całującego dziewczynkę. Widzisz zresztą, że nie jest naprawdę złą, skoro odzyskawszy swobodę po owdowieniu, prowadzi życie, zdaje się, nienaganne. Gdybyś wiedziała, ile to kobiet nieszczęśliwych z zaślepieniem oddaje się miłości występnej! A zaślepia ich otoczenie, złe wychowanie, niereligijność, przykład niedobry, także i wady męża... Wówczas zaś, gdy uświadamiają sobie ohydę swego postępowania, już jest za późno — są zgubione bez ratunku. .

— Nie mogą przecież być tak zaślepiene, aby usprawiedliwiały przed samemi sobą potrzebę kłamstwa... —

odpowiedziała Henryka. — Dobrze zresztą! Kobiety można czasami uniewinnić, jak mama mówi. No, a czyż można mężczyznę?... Pani Raffraye nie rozłączyła się z mężem, nieprawdaż?..

— Nie — odparła matka.

— A czy on — tu dziewczę głos zniżyło do szeptu — znał tego męża?..

— Nie mówił mi o tem, ale zapewne znał..

— Odwiedzał go? Ścisnął mu dłoń? Siadywał przy jego stole?..

— Ależ nie męcz się podobnemi przypuszczeniami; powinna ci wystarczyć świadomość jego winy. Zagłębianie się w podobnych szczegółach może cię tylko nasycić złością, gdy tymczasem przystoi ci właśnie być sprawiedliwą i litościwą...

— Nie mogę! — krzyknęła Henryka z uniesieniem, zdradzającym gniew ponury. — Nie mogę! Widzę ich oboje tuż przed sobą... Widzę, jak sobie mówią, że się kochają... Widzę ich...

Tu szybko zamknęła powieki. Zazdrość nurtowała ją aż do głębi.

— I do niej — zaczęła znowu — mówił taksamo, jak do mnie, że ją kocha. A wiedział, że ona zdradza i kłamie. Jak można kochać kogoś, kim się pogardza. Mimo to ją kochał, sam przecież to powiedział. Ach, teraz nie dziwi mnie, że mógł również kłamać wobec mnie, ponieważ postępował podobnie i w czasie, kiedy żywił uczucia takie niskie, szkaradne, obrzydliwe ..

— Tak bolesne zarazem — przerwała matka. — Owa pogarda bowiem, towarzysząca zazwyczaj później miłości

występną, tworzy karę straszliwą... Czy nie słyszałaś, jak mówił, iż owa pogarda kazała mu powątpiewać o kochance, a później o dziecku, o jego własnym dziecku... Skoro zdradzała męża dla niego, mogła z kolei zdradzić i jego.. Nie wierzył, iż ojcem tej dziewczynki, której twarz najlepszy stanowi dowód pochodzenia, dowód, będący dla ciebie przedmiotem podziwu, dla niego zaś odpowiedzią na wszystkie powątpiewania. Owo podobieństwo przecież, jakkolwiek tak uderzające — to przypadek. Przypadkiem również owo spotkanie po tylu latach. Pomyśl, ile to on udręczeń przecierpiał przez lata długie, pytając się zawsze: czy to moja córka? Pomyśl o jego wyrzutach, kiedy po latach otrzymał na pytanie powyższe odpowiedź twierdzącą! Pomyśl o jego pomieszeniu smutnem w ów wieczór wigilijny!.. Przypominam ci to wszystko nie celem obrony, lecz celem wykazania, iż za wielkie błędy ciężką odbył pokutę, ma tedy prawo do przebaczenia z twojej strony tak, jak ja mu przebaczyłam.. Przysięgam ci, że spłacił swój dług, dowiadując się o swem ojcostwie w taki sposób, w jaki on się dowiedział..

— Ach! mamó — krzyknęła Henryka z rozpaczą w głosie — poruszasz ranę jak najbardziej bolesną... Przyprowadza mię do rozpaczyny to, że mógł mię okłamywać; rozpaczą też napęłnia mię i to, że mógł kochać kobietę, niegodną siebie. Przebaczyłabym mu przecież i jedno i drugie. Pomyślałabym sobie, że chciał mi oszczędzić przykrości. Pomyślałabym, iż miał w młodości stosunki, których nie rozumiem. Wielu bowiem rzeczy nie znam — wiem o tem. Zgodziłabym się tedy, że sądząc

go zbyt surowo, popełniam niesprawiedliwość. Pod tym atoli względem trudno być niesprawiedliwą. Nic bowiem nie zdołała go uniewinnić, iż przez lat tyle nie usiłował zobaczyć tej małej dziewczynki... Mama sama dostarczyła straszliwej przeciwko niemu broni, mówiąc, iż to przypadek pozwolił mu ją spotkać... Przypadek! A czyż nie powinien narazić się nawet na omyłkę, byle tylko uniknąć tej strasznej możliwości, że się zaparł własnego dziecka? I to on, którego stawiałam tak wysoko! I to on, którego uważałam za uosobienie delikatności i szlachetności, mógł się dopuścić takiego okrutnego postępku wobec małej, biednej istotki... Ludzie niskiego rodu adoptują podrzutek, on zaś nie postarał się rozproszyć wążpliwości, co zrobiłby jednym spojrzaniem...

— Ależ Franciszka usprawiedliwia ta okoliczność, iż owa mała go nie potrzebuje. Zresztą on nawet nie ma prawa się nią zajmować. Jest od tego matka ..

— A gdyby owa matka okazywała się złą dla tego dziecka? Gdyby była strwoniła majątek i popadła wraz z dzieckiem w nędzę.. A gdyby umarła i dziecko dostało się w ręce ludzi złych, obcych?... Gdyby...

— Nie masz prawa wysnuwania przypuszczeń podobnych — przerwała pani Scilly. — Nie wiemy stanowczo, co zrobiłby, jeżeli to dziecko, miast być bogatem i pieszczonem, znajdowałoby się w nędzy, oraz było nieszczęśliwym ..

— Ach! nawet i nie dowiedziałby się o tem.

Tym razem hrabina nie odpowiedziała, przekonała się bowiem aż za bardzo dosadnie, o czem przekonać się chciała. Henryka słyszała całe wyznanie Franciszka,

zrozumiała je, o ile zrozumieć mogła, i oburzyła się nie-
słuchanie z tą bezwzględnością młodzieńczą, niezdolną
do żadnych ustępstw i do żadnej wyrozumiałości. To
też dopiero po chwili zaczęła na nowo:

— Nie powracajmy już do tej historyi nieszczęsnej.
Chcę cię tylko uwiadomić, co się stało następnie. Doktor
Teresi polecił, abyś unikała wzruszeń choćby najlżej-
szych. Sądziłam tedy, że będzie lepiej i dla p. Nayraca
i dla ciebie, abyście się nie spotykali przez czas pewien
w warunkach naszego zacieśnionego życia hotelowego,
dlatego też prosiłam Franciszka, by się usunął...

— Odjechał — szepnęła Henryka z bolesnym wy-
razem twarzy. Ta boleść atoli była dla matki niejako
pierwszym zwiastunem możliwego przebaczenia. Hrabi-
na tedy pieszcząc córkę, pospieszyła ją uspokoić:

— No, rzecz prosta, nie powrócił do Paryża... Jest
w Katanii, gdzie oczekuje twojego wyroku co do waszych
stosunków na przyszłość... Z nim rozmówiłam się zupeł-
nie taksamo, jak rozmówiłam się z tobą; masz pełne
prawo zerwać wasz stosunek, jeżeli nie czujesz siły, by
wskrzesić w sobie dawne uczucia. Jakkolwiek jest to rze-
czą niezwykle przykrą zrywać zaręczyny, które tak długo
trwały, jak twoje, lecz — powtarzam ci to raz jeszcze —
wolną jesteś całkowicie, ale to całkowicie... Ja z mej
strony będę tylko pośredniczką; prześlę Nayracowi taką,
lub inną odpowiedź... Chcę jedynie, abyś się powstrzy-
mała przez czas pewien z daniem owej odpowiedzi... Je-
żeli należy odważyć się na krok, który rozstrzyga nie-
odwołalnie o przyszłości, trzeba bardzo długo się zasta-
nawiać... Namyślisz się tedy... Dzisiaj — dodała czule,

ściskając córkę — nie mówmy już więcej o tym przedmiocie bolesnym. Jesteś chorą, chcę cię zatem pielęgnować i troszczyć się o ciebie tak, jak wówczas, gdy byłaś jeszcze małą dziewczeczką. Przypominasz sobie, jakie wtedy okazywałaś posłuszeństwo... Bądź tak posłuszną i dzisiaj.

— Będę — odparła Henryka, — przytulając się do matki — jestem przecież zrozpaczoną, że mam swoje takie, a nie inne zdanie o tym, którego tak gorąco kochałam...

XII.

Droga bolesna.

Pani Scilly niepokoiła się srodze o córkę przez ów dzień cały, oraz przez następny. Z początku bowiem zdawało się, że życie zupełnie zamarło w Henryce, ponieważ od czasu katastrofy ani nie jadła, ani nie spała, ani nie płakała. Dziwił się temu i lekarz, co jeszcze więcej pomnażało obawy pani Scilly.

Nawet w dzień Nowego Roku życzenia, złożone Henryce przez matkę, nic a nic na chorobę nie oddziaływały. Nie pytała się również o listy, nadsyłane z Francji przez przyjaciół. Nayrac także nie zapomniał o tym dniu tak ważnym. Prócz listu, zaadresowanego do pani Scilly, pełnego skarg tęsknych, przesłał skrzynkę, długą i płaską, zaadresowaną do narzeczonej. Drżącą ręką pani Scilly odjęła wieko. Woń kwiatów nappełniła pokój; na

posłaniu z prześlicznych fiołków leżał posążek z terrakoty, arcydzieło sztuki rzeźbiarskiej starożytnej. Była to kobieta, zwieszająca z wyrazem smutku swą maleńką i wdzięczną główkę.

Pani Scilly bardzo się podobało to delikatne przypomnienie jeszcze niedawnej przeszłości. Postanowiła tedy zanieść ów podarunek Henryce z myślą, że może zdoła on rozproszyć jej czarne myśli. W milczeniu położyła skrzynkę wraz z wiekiem na łóżku córki. Ta z adresu, wypisanego na wieku, poznała rękę Franciszka, nie wyrzekła przecież zrazu ani słowa. Im dłużej atoli patrzyła na ów posążek, tudzież na owe kwiaty, tem wyraźniej przypominał się jej zawód gorzki, sprawiony przez narzeczonego, który ją okłamywał i zwodził. I taki ból ścisnął jej serce, że wreszcie odtrąciwszy skrzynkę, buchnęła rzewnym płaczem:

— Ach! to nad moje siły! Już dłużej nie zdołam tak cierpieć!...

— Płacz, moje dziecko, — odrzekła pani Scilly — płacz i nie powstrzymuj bynajmniej owych łez... Płacz nad sobą, płacz nad nim, pożałujesz go, przebaczysz mu i będziecie ocaleni oboje...

Matka, wymawiając te wyrazy, niemal miała uśmiech na ustach. Czuła bowiem, iż owe łzy przyniosą Henryce wielką, bardzo wielką ulgę. Oznaczały one powrót życia do tego ciała bez ruchu i czucia. Łzy te znaczyły także, iż Henryka opłakuje powrót do rzeczywistości; opłakuje tego dawnego Franciszka, którego uważała za idealnie czystego; płacze nad Franciszkiem takim, jakim go poznała, tchórzliwym kłamcą. Opłakiwała także swoje

marzenia, że poślubi człowieka, który nikogo przed nią nie kochał, a którego również nikt przed nią nie kochał. Ta gorycz, którą teraz łykała, rozdrażniła ją do żywego i buntowała przeciwko przeznaczeniu:

— Nie, nie zasłużyłam na tak ciężkie zmartwienie... Gdybym była złą córką; gdybym chciała wyjść za mąż wbrew woli mamy; gdybym wyszła za mąż dla majątku, dla tytułu, lub jedynie z myślą bywania w świecie i bawienia się, wówczas poniósłszy taką karę, przyjęłabym ją w milczeniu, gdyż zasłużyłabym na nią! Lecz, Boże Wszechmogący, który znasz moje myśli, wiesz, jak zawsze chciałam spełniać swoje obowiązki!... Czyż to sprawiedliwie?

— Ach! jak mi przykro — przerwała matka — że mówisz, a raczej myślisz w taki sposób. A czy ty wiesz, że cios, spadający na ciebie w tej chwili, jest może właśnie dobrodziejstwem? Tak może dobrodziejstwem... Pomyśl, gdybyście byli spotkali ową kobietę wraz z dzieckiem już po ślubie i dopiero wtenczas dowiedziałyby się o tem, o czem dowiedziałaś się teraz. Teraz jesteś wolną i możesz postąpić, jak zechcesz, wówczas byłabyś już związaną na zawsze...

— Przedtem, czy potem — odparła Henryka — niesprawiedliwość zawsze byłaby jednaką... Cóż bowiem zrobiłam takiego, aby za karę odebrać mi to, co miałam na świecie najdroższego, co było moją radością i dumą zarazem...

— Moje dziecko, a cóż ze mną stałoby się przed laty piętnastu, gdybym myślała tak, jak ty, w chwili, kiedy traciłam także istotę dla mnie najdroższą...

A przecież opanowałam swoją rozpacz, byle ciebie wychować, opanowałam zaś dlatego, że wierzyłam, będąc prawdziwą chrześcianką. Ty nią nie jesteś, skoro oburzasz się przeciw woli Stwórcy. Tak, nie wierzysz szczerze...

Używając takich argumentów, hrabina popełniła błąd, którego przez czas długi umiała się dawniej wystrzegać. Pani Scilly była chrześcianką, lecz nie entuzjazmowała się, gdy przeciwnie Henryka w swej religijności dochodziła do mistycyzmu i fanatyzmu zarazem. W piętnastym roku życia ów entuzjazm przybrał objawy tak gorączkowe, że Henryka marzyła jedynie o wstąpieniu do klasztoru. Hrabina, mając jedyne dziecko, nie chciała poświęcić go samotności klasztornej. To też zaręczyny Henryki cieszyły ją i z tego powodu, że już kładły kres owym marzeniom o klasztorze.

Tymczasem teraz niebaczne słowa hrabiny rozbudziły w młodej dziewczynie myśli podobne do dawniejszych. Henryka na wzmiankę o religii zaczęła wreszcie dziękować matce za słowo prawdziwej pociechy, a po południu tego samego dnia uporczywie zaręczała, iż czuje się znacznie lepiej. Kiedy jednak matka chciała się dowiedzieć, jaki też ona los przeznacza Franciszkowi, Henryka żywo zawołała:

— Mamo, zaklinam, nie powracajmy do tego przedmiotu. Mam dać odpowiedź dobrze obmyślaną. Proszę więc pozostawić mi czas; kiedy się namyślę, odpowiem, ale teraz nie mogę, żadną miarą nie mogę...

Panią Scilly wszystko to zaczęło znowu niepokoić.

I w samej rzeczy mogłaby się niepokoić, gdyby zajrzała w głąb duszy Henryki. Z zamętu sprzecznych uczuć, które ją targały przez dni tyle, wynurzać się poczęła jedna myśl: ona, Henryka musi odpokutować wobec Stwórcy za grzechy swego dawnego oblubieńca. Zerwie tedy z nim wszelkie węzły, choć kocha go szalenie i będzie cierpiała, cierpienia zaś te złoży w ofierze Panu Bogu, jako pokutę za przewinienie Franciszka.

Ten projekt tak ją fizycznie i duchowo pokrzepił, iż pierwszy raz od chwili przesilenia zdołała zasnąć. Po obudzeniu pierwsze jej słowa były:

— Tak, pokuta! Trzeba mi za niego pokutować!...

A co ma robić Franciszek? Gdyby poszła za niego teraz, szczęście trwałaby jej zawsze myśl o tem biednem dziewczęciu, które po nieuniknionej, rychłej śmierci matki pozostanie samotnem... Franciszek przeto powinien zająć się Adelą. Myśli bowiem o małżeństwie Pauliny z Franciszkiem, mimo wszystko, znieść nie mogła. Myśl ta nawet, przez czas pewien uporczywie ją dręcząca, wprawiała ją w takie rozdrażnienie, że doktor wahał się, czy można pozwolić jej wstać. Ale ostatecznie tego pozwolenia udzielił.

Wstała zatem Henryka, szepcząc:

— Wszystka nadzieja w krzyżu!

Potem już spokojnie zastanawiała się nad tem, czy obowiązkiem Franciszka nie jest możliwe wynagrodzenie krzywd, jakie wyrządził i Paulinie i Adeli. Ona zaś stoi na drodze ku temu wynagrodzeniu, i jej więc również obowiązkiem jest: usunąć się. Bóg nie zechce, by jej poświęcenie poszło na marne.

Wreszcie postanowiła w dniu następnym przystąpić do komunii. Doktor Teresi pozwolił na to, a hrabina przyjęła ów projekt z największą radością.

— Będzie zdrową — powtarzała w duchu. — Wmówiła sobie tylko chorobę...

Modlitwy, odmawiane w kościele przez Henrykę, otoczenie mroczne, zachwyty, w jakim przystępowała do Śśw. Sakramentów, wprawiły ją w taką ekstazę religijną, że jej projekt odpokutowania za Franciszka zmienił się w postanowienie niezłomne. To ją napełniło ogromną radością, która nawet odbiła się na jej obliczu. Spozstrzegła to hrabina, lecz wytłomaczyła sobie mylnie.

— Ach! jak jestem szczęśliwą — zawołała, obsypując córkę pocałunkami — widzę, że mu przebaczyłaś...

— Tak, mamó, to prawda, przebaczyłam mu...

— A więc mogę mu napisać, by wracał?

— Zostawiła mi mama zupełną swobodę działania. Istotnie, powzięłam postanowienie, i to niezłomne. Przebaczyłam panu Nayracowi, żonę jego przecież nie zostanę nigdy...

— Ale czyż możesz gadać takie rzeczy! Kochasz, i on cię kocha; wiem o tem dobrze. Jedyne jego błęd, i to błąd z lat dawnych miałby niszczyć całą waszą przyszłość...

— Powtarzam mamie, że nigdy go nie poślubię, choć się wcale na niego nie gniewam... Widzi mama, że mówię bez uniesienia, bez oburzenia.. To przecież nieodwołalne...

Hrabina pojęła odrazu, że walczyć z wolą Henryki byłoby napróżno.

— Istotnie — odparła wreszcie z głębokim smutkiem — pozostawiłam ci swobodę zupełną; pozwól przecież, bym dopiero po tygodniu doniosła Franciszkowi o zerwaniu. Może...

— Dobrze, niech mama czeka. Wszystko to jednak napróżno, ponieważ postanowienia nie zmienię. Będę więc tylko cierpiała więcej, siedząc dłużej w Palermo, wśród tylu pamiątek. Zgadzam się, ale wzamian za to po tygodniu opuścimy Sycylią natychmiast, powtóre zaś chcę do listu mamy do p. Nayraca dodać jeszcze list od siebie...

— Dobrze — odpowiedziała hrabina — nie tracę atoli nadziei, że napiszesz ostatecznie inny list i wszyscy troje pojedziemy do Algieru ..

— Mylisz się, mamó.

Tu ujęła dłoń matki ręką, na której już nie było zaręczynowego pierścionka.

XIII.

W ś r ó d r u i n .

Franciszek przez cały tydzień, przez siedm razy po dwadzieścia cztery godzin, oczekiwał na list pani Scilly. Miotał nim niepokój śmiertelny, lecz na dnie owego niepokoju gnieździła się jeszcze nadzieja. Czas spędzał, przechadzając się po dzikich, ale pięknych okolicach Katanii. Nie pożądał niczyjego towarzystwa, ponieważ temu stanowi ducha, w jakim się znajdował, samotność najlepiej

odpowiadała. Podczas owych godzin, samotnie spędzanych, wstawiała z martwych cała przeszłość, — przeszłość, rozpustna i cudzołożna, którą dopiero miesiące, poświęcone czystemu uczuciu dla Henryki, zepchnęły na drugi plan. Myślał także i nad tem, czy to był przypadek, czy kara niebios owo spotkanie Pauliny w Palermo, i owo odkrycie, zrobione przez małą Adełę, skutkiem którego Henryka dowiedziała się całej prawdy. Rozważał wreszcie, ile złego dopuścił się wobec Henryki, na jaki przełom naraził jej duszę młodocianą, jakiej rozpaczy ofiarą stała się tylko przez niego ta młoda dziewczyna.

Wreszcie ubiegły te powolne godziny całego tygodnia. Nakoniec odebrał list, który rozerwał drżącemi rękoma. W kopercie znalazł krótki bilet pani Scilly i drugą, otwartą oraz niezaadresowaną kopertę. Pierwsze zaraz słowa hrabiny tak nim wstrząsnęły, że upadł bez sił na krzesło. Doznał wrażenia, jak gdyby czytał wyrok śmierci:

„Nie mogę pisać do ciebie, mój drogi Franciszku. Jestem zrozpaczoną. Dołączony tutaj list, który obiecałam tobie przesłać, objaśni, jakie uczucia żywi Henryka. Powiedziałam jej wszystko co może powiedzieć matka, choćby za cenę życia przywiązana do córki. Nic nie pomogło. Odjeżdżamy pojutrze rano do Tunisu, potem do Algieru. Przed odjazdem zdobędę się na siłę opisania ci naszej rozmowy ostatniej, tudzież wyłuszczenia powodów, skłaniających Henrykę do zerwania. Ja przecież uważam owo zerwanie za chwilowe, ono jedno bowiem może zdusić w Henryce ową egzaltacyą religijną, którą ja teraz pierwsza niestety podsyciłam. Sądziłam, iż bę-

dę mogła przesłać ci inne nowiny; to też myśl, czego doznasz, czytając ów list, nakazuje mi zakończyć jedynie takimi słowami: całym sercem matki jestem po twojej stronie.

Ludwika S.“

Młodzieniec po przeczytaniu tych krótkich kilkunastu wierszy stał przez czas dłuższy, niby skamieniały, i nie śmiał otworzyć drugiego listu. Wreszcie sięgnął po niego, a jeden rzut oka zagasił w nim wszelką nadzieję.

„Palermo 11 stycznia.

„Kłęcząc u stóp Krzyża, czerpię odwagę do listu, który mam pisać do człowieka, kochanego przezemnie prawie na równi z matką. Proszę go też, aby był przekonanym, iż mimo rozstanie się nieodwołalne, i to na zawsze, póki życia stanie, będzie dla mnie jedynym, oraz najdroższym. Nie poślubię nikogo. Zachowam mu do grobu wierność, acz sposobem nie z tego świata. Gdyby nie obowiązki względem świętej i zacnej matki, wiedziałabym odrazu, jak mam postąpić. Proszę mię jednak uważać za umarłą, a życzenia poniższe, niby głos umierającej, spełnić.

„Cierpiałam strasznie, dowiedziałam się bowiem nagle, bez żadnych przygotowań, iż od miesięcy kilku żyłam wśród złudzeń i nie znałam charakteru tego, którego kochałam. Nie sędzę go jednak i nie potępiam. Pojęłam z odpowiedzi, danych mi przez mamę, że niemal każdy mężczyzna w młodości popełnia błędy podobne. A przecież tak się pyszniłam jego duszą czystą i szlachetną! Widocznie jednak prawdą jest, co czytałam, iż

radość ziemską do najbardziej znikomych należy. Boże Wszechmocny, widocznie słusznie ukarałeś mię za zarozumiałość! Człowiek, którego kochałam, kłamał. Słyszałam go, jak się przyznawał do występków haniebnych i wstrętnych. Dowiedziałam się, że mię zdradzał. Żył życiem podwójnem. Po tem wszystkiem już nie zdołałabym podać mu ręki. Nie czynię tego z zazdrości, lecz z bólu, że nie mogę go szanować tak, jak poprzednio.

„Schylam się atoli wobec Krzyża, który spadł na mnie. Kto wie nawet, czy nie będę go błogosławiła, jeżeli przyniesie on pożytek trzem duszom, wszystkim trzem zagrożonym, dwojgu winnym i jednej, która jest niewinną. To też przed tym, którego kochałam, przed tym, który i mię kochał — boć w jego uczuciu dla mnie nie wszystko było kłamstwem — otwiera się droga, nie nasza wspólna wprawdzie, lecz wymarzona teraz i wymodlona przezemnie. Jego życie, które chciał mi ofiarować, już nie do niego należy. Istnieje biedne i słabe dziecko, które miałoby prawo, gdyby wiedziało wszystko, żądać jego pomocy. Istnieje biedna istota, dla której okazał się on katem. Nie powiem już nic więcej, dodam tylko, że w dniu, kiedy się dowiem, iż były mój narzeczony naprawił to, co było można naprawić z tej strasznej przeszłości, będę błogosławiła cios, który nas rozłączył. Proszę go jeszcze raz o to mimo przeszkód, zda się, nie do przebycia. Jedna z nich już usunięta: nasze małżeństwo zerwane stanowczo. Z chwilą, gdy inne przeszkody on przełamie, nie będę żałowała moich łez. Płakałam wprawdzie bardzo wiele i bardzo gorzko. Czyż jednak nie oddaje się życia za życie ukochanego?

Czyż więc nie można poświęcić i łez dla ocalenia tego, który jest najdroższym? Chcę właśnie, by moja boleść przyczyniła się w czemkolwiek do takiego zbawienia. Oto przyczyna, która mię skłoniła do odsłonięcia w całej prawdzie moich myśli i moich uczuć. Dziękuję Bogu, że mi starczyło sił potemu.

Henryka Scilly.“

Ten list tak się różnił od tego, czem dawniej Henryka była w ogóle i była dla Franciszka, że młodzieniec zrazu go nie pojął. Dopiero zwolna zaczął zyskiwać świadomość, iż to wszystko stracone na zawsze. Czyż na zawsze?

O godzinie drugiej siedział już w pociągu, idącym do Palermo. Pociąg włókł się i włókł; Franciszek miejsca nie umiał znaleźć sobie w wagonie, aż wreszcie wieczorem koło dziesiątej znalazł się w temsamem mieście, w którym znajdowała się Henryka.

Będzie ją mógł zobaczyć.

Lecz nasamprzód trzeba pokonać rozmaite trudności i nieprzyjemności rozmaite. Nasamprzód źle nawet ukrywane zdziwienie na jego widok portyera Hotelu Kontynentalnego. Ów portyer, rzecz prosta, musi znać dramat jego życia. Potem niechęć, aż zanadto wyraźnie malująca się na twarzy Wincentego, tego starego sługi, który dawniej traktował go z pewną życzliwą poufałością. Przez tego Wincentego posłał hrabinie bilet z kilku szybko nabazgranemi słowami, nie mógł już bowiem teraz tak, jak dawniej, wchodzić do salonu hrabiny, ni by do swojego.

W dawnym pokoju swoim oczekiwał odpowiedzi. Przypomniawszy sobie, iż przybywszy tutaj po raz pierwszy z Paryża, znalazł ów pokój ustrojony kwiatami, wesoly, miluński. A teraz...

Wreszcie Wincenty wrócił, oznajmując, iż hrabina go oczekuje. Nie śmiał się pytać, czy Henryka jest przy niej.

Salon był pusty, ponieważ panie już popakowały owe tysiące gracików, któremi go przystroiły na czas pobytu. W pośrodku tej pustki nagiej, oświetlonej jedyną lampą, stała hrabina... sama.

— Ach! moje biedne dziecko — odezwała się — czy nie otrzymałeś naszych listów?..

— Właśnie dlatego, że je otrzymałem, przybywam. Pragnąłbym jeszcze raz pomówić z panną Scilly. Nie mogę rozstać się z nią w ten sposób; i ona sama przecież wie, że oskarżony ma prawo się bronić... Błagam panią, aby mię ona wysłuchała.. Pięć minut tylko w obecności pani... Już nie o namowę, lecz o litość, litość proszę... jeszcze raz jeden, po raz ostatni..

— Niestety! — odparła matka, pochylając głowę — usiłowałam już to zrobić, kiedy otrzymałam pański bilecik.. Ale napotkałam opór stanowczy... Oświadczyła mi, że wyjdzie z swego pokoju dopiero w chwili, gdy będzie trzeba iść na statek. Nie mogę jej więc zmuszać, pan zaś jest człowiekiem za uczciwym, aby przystąpić wbrew jej woli lub zaczepić ją na ulicy. Posłuchaj, Franciszku, jeżeli życzysz mi dobrze, jak zapewniasz, pozwól nam odjechać spokojnie. Nie staraj się rozmawiać z Henryką, ponieważ doprowadziłoby to do niepożą-

danego skandalu. A dodam także, iż byłoby i niebezpiecznym. Henryka jest chorą i jeszcze zdenerwowaną. Nie zabijaj mi jej przeto, ponieważ ona prędzej umrze, niż odstąpi od postanowienia, które raz powzięła.

— To przynajmniej upoważnia mię pani, bym do niej napisał list...

— Moje dziecko, i to nie pomoże. Gdy się jej bowiem spytałam, co zrobi, gdy otrzyma od ciebie list, rzekła, że go spali...

— Boże, mój! — jęknął młodzieniec, padając na krzesło — jakże ja cierpię! Przedtem żyłem przynajmniej nadzieją. Nie mogłem zrozumieć, aby wszystko było między nami zerwane, tak bez słowa, bez jednego słowa...

— Nie trzeba wątpić — odparła matka — trzeba mi jeszcze ufać...

XIV.

Drugi brzeg ziemi obiecanej.

Minęło już pięć tygodni od owego poranku, kiedy Franciszek w ukryciu i zdala patrzył na odjazd hrabiny Scilly i córki, na pokładzie pakebotu „Regina Margherita“.

Ledwo mu wtedy serce nie pękło z bólu, ponieważ Henryka niezłomnie dotrzymała swego przyrzeczenia. Jeszcze wyraźnie stoi mu przed oczyma sylwetka okrętu,

coraz mniejsza, mniejsza, aż wreszcie przestała rysować się na widnokręgu...

Teraz po pięciu tygodniach znowu opiera się o ten sam parapet portowy, patrząc, jak wypływa taki sam pakebot tym samym ruchem miarowym, oraz jednostajnym... Był to wieczór prześlicznego dnia lutowego; zachód słońca rzucał blaski purpurowo złociste na ciemny błękit morza. Franciszkowi kołatało serce w piersiach, ponieważ na pokładzie stoi jego córka, jego piękna i drąga Adela, ubrana czarno i otoczona trzema kobietami. Dwie — to sługi pani Raffraye. Trzecia przecież nie jest panią Raffraye; przed odjazdem kilku tragarzy zaniosło z brzegu pod pokład trumnę, zawierającą zwłoki tej biednej kobiety, której on był kochankiem, nieszczęśliwym i winnym zarazem. Ach, dlaczego odnalazł ją tak późno! Umarła wprawdzie pomszczona, dowiedziała się bowiem o zerwaniu małżeństwa swego dawnego kochanka, i to zerwaniu nieodwołalnym. Lecz co to znaczy wobec straszliwych zgryzot przez lat dziewięć?

Statek tymczasem oddalił się od brzegu, zwracając się wprost ku brzegom Włoch i Neapolowi. Przed pięciu tygodniami rozpaczał, sarkał, oburzał się, teraz już zaczynał natomiast pojmować, iż Henryka postąpiła dobrze, każąc i jemu ponosić ofiarę za przeszłość...

Przypomniawszy sobie, że po zniknięciu pakebotu „Regina Margherita“ powrócił do hotelu i kazał spakować rzeczy oraz przenieść chwilowo do innego hotelu, poczem jeszcze raz wyszedł na miasto, aby przed wyjazdem zobaczyć córkę. Poszukał owej willi Cyané i odkrył ją w głębi ogrodu Angielskiego, gdzie czekał go-

dzinę, dwie, trzy, aż wreszcie ujrzał dziecko. Wychodziła z domu, w prawej ręce trzymając wielką lalkę, lewą zaś podając piastunce. Chodziła po małej zacienionej alei, ale tak ociężała, tak odmiennie od dawnej żywości, że Franciszek, uważnie śledzący jej ruchy, zaraz powiedział sobie w myśli:

— Matce musi być gorzej.

Żal i lęk zdjął go na przypuszczenie, że jego delikatna, kochana Adela może stracić na obczyźnie jedyną opiekunkę, jaką miała od dzieciństwa. Nie zdołał tedy odjechać tego samego wieczora, jak zamierzał. Powróciwszy do nowego hotelu, odczytał ponownie list narzeczonej. Zdawało mu się, że słyszy jej głos, nakazujący mu, co ma robić. Postanowił przeto zostać, aby być tutaj w pogotowiu na wypadek nieszczęścia.

Został i zaczęły się odtąd dni jeszcze smutniejsze, aniżeli te, które przepędzał w Katanii. Listy, nadsyłane mu przez panią Scilly, oznajmiały, że Henryka niewzruszenie trwa przy postanowieniu pierwotnem. Zaczął więc pojmować, iż tej duszy religijnej niczem już nie przejedna. Myśl, iż wobec tego powinien się niepodzielnie poświęcić szczęściu córki, coraz bardziej zajmowała jego myśl.

Jedynym celem jego przechadzek stała się odtąd aleja Ogrodu Angielskiego, skąd niepostrzeżenie mógł obserwować drzwi willi Cyané. Szedł tam już od rana i z drżeniem serca czekał, aby te drzwi się otworzyły i ukazała Adela. Za każdym zaś razem ze wzruszeniem pytał siebie samego:

— Jakże się też ma jej matka?

Bał się. Zobaczyć zaś teraz Paulinę stało się dla niego czystem niepodobieństwem. A przecież pragnął. Byłoby to bowiem dowodem, iż ciężka choroba chwilowo złagodniała. Nie zwątpił nawet i o tem, iż jego dawna kochanka ostatecznie zgodziłaby się i przebaczyć mu i zaślubić go, dzięki czemu mógłby swobodnie oddawać się słodkiemu uczuciu ojcowstwa.

Ach! sny nedorzeczne w owem położeniu, które mu nawet nie pozwalały pokazywać się swemu własnemu dziecku z obawy, by Paulina nie dowiedziawszy się o wszystkim, nie zakazała dziecku tam przychodzić...

Statek oddalał się coraz bardziej... Franciszek patrząc na niego, odświeżał sobie w pamięci ubiegłe dwa tygodnie.

Pewnego dnia spostrzegł, iż przyzwano do willi profesora Teresiego. Z wysiłkiem niesłychanym woli, zbliżył się do tego człowieka, tak wtajemniczonego w jego przejścia bolesne. Nie pożałował przecież tego zbliżenia, dowiedział się bowiem, iż pani Raffraye nieuniknienie stoi nad grobem. Może kilka dni, kilka godzin nawet zostaje do życia.

Czyżby miała umrzeć, nie przebaczywszy Franciszkowi? Jakiemiż więc stałyby się jego stosunki z Adelą, o której Paulina wiedziała, że jest jego córką. Gdyby jeszcze raz mógł z nią pomówić, błagać ją i zaprzysiądz, iż całe swe życie poświęci sierocie?... Lecz jak dostać się do umierającej, która nie przyjmowała żadnych odwiedzin? Pozostawał jeszcze jeden środek i tego też użył. Czekał na starą Anusię, która go widziała onego czasu przy łóżku pani Raffraye; zobaczywszy teraz ową sługę,

zaczepił ją, pytając o chorą. Poczciwa kobieta opowiadała ze łzami w oczach, a tak była wstrząśnięta stanem swej pani, że nawet zapomniała spytać o panie Scilly...

Potem atoli zdjął go strach, gdyż pomyślał w duchu:

— Paulina dowie się, że rozmawiałem z ową słuchającą i każe jej stanowczo milczeć przedemną!

Ale nie! Za następnym razem spotkał Anusię już z Adelą, zaczepił ich, dziecko go poznało, a stara pokojówka odpowiadała na jego pytania. Co za szalonego wzruszenia doznał, gdy dziecko, pogłaskane przez niego po włosach, odpowiedziało uśmiechem miłym? Widział obietnicę przebaczenia w tej okoliczności, iż Paulina nie kazała go unikać.

I prawda. Nastąpiła zmiana pod tym względem w sercu owej kobiety, mającej niebawem stanąć przed Sędzią Wiecznym...

Statek zniknął. Lecz duchem Franciszek towarzyszył mu ustawicznie. Widział, jak jego córka kładzie się na łóżeczko w kajucie, którą pozwolono mu dla niej wybrać. Po raz pierwszy wówczas oddał jej jedną z owych przysług, których kilka tygodni przedtem nawet nie wyobrażał sobie możliwemi.

W parę dni po jego rozmowie z Anusią i małą dziewczynką, dowiedział się, że przybyła do Palermo ciotka Adeli, mieszkająca w Besançon. I znowu spytał się z obawą, w której zogniskowały się wszystkie inne:

— Kto to taki?

Widział ją, gdy przechodziła wraz z dzieckiem przez ogród Angielski i nie umiał — smutek straszny

zgnębił go do tego stopnia — wyczytać jej charakteru z twarzy.

Pani Raynal — tak się nazywała starsza siostra pani Raffraye — nie miała ani wiotkości, ani tego wdzięku, co przed laty kochanka Franciszka, tak przez niego umęczona. Była to kobieta zwyczajna, niemal pospolita, której oblicze spokojne mówiło o życiu bez namiętności, o życiu domowym i ujętem w stałe karby. Trudno było na razie powiedzieć, czy jest to istota ograniczona, czy też wyposażona świetnymi przymiotami serca, lub dobroduszością nieco prostacką, lecz miłą.

Szczęściem dla przyszłości biednej Adeli, a także szczęściem dla młodzieńca, pani Raynal należała do ludzi dobrych. Z chwilą, gdy ostatecznie nadeszła katastrofa, śmierć Pauliny, Franciszek odważył się na krok niesłychany. Poprzednio przez dwa straszne tygodnie, nie widząc Adeli, która już nie wychodziła na przechadzkę, kilka razy zadzwonił do willi Cyané, by spytać się o stan chorej. Te odwiedziny tedy, uważane za całkowicie naturalne przez sługi, które wiedziały, że raz pomógł on ich pani podczas omdlenia, teraz uprawniały go do kroku innego. Oto, choć w duchu pragnął obecnie, po śmierci Pauliny, wtargnąć do jej domu, uklęknąć przy łóżku i prosić, by tam, z wysokości darowała mu wszystkie cierpienia, następnie zaś porwać swoją córkę i uciec z nią jak najdalej, — poprzestał, musiał poprzestać na napisaniu do jej siostry listu, pełnego banalnych grzeczności, w którym jako rodak oświadczał gotowość niesienia jej pomocy w tak ciężkiej chwili.

Czyż śmiało przypuszczać, iż otrzyma odpowiedź, zaczynając się od tych słów:

„Moja droga nieboszczka objaśniła mię, że jest pan bratem tej biednej Julii Archambault, którą nieco znałam ..“

Ileż łez przelał, czytając owo zdanie, tak napozór zwyczajne, a jednak kryjące w zanadrzu przebaczenie od tej, której już nie było pomiędzy żyjącymi! Ten bilet bowiem kończył się, oczywista, prośbą o przybycie do willi Cyané. Mógł więc zbliżyć się do swojej córki i tutaj i jeszcze potem w przyszłości... Paulina przed śmiercią musiała na to pozwolić.

Tego wieczora owego powtórnego rozstania się dawała mu otuchy tylko nadzieja, że już nigdy nie straci zupełnie z oczów swej biednej sierotki. W owych chwilach odjazdu i żałoby zarazem potrafił oddać siostrze Pauliny tyle ważnych usług, iż zdobył sobie prawo do jej wdzięczności. Sama nawet pani Raynal prosiła go pierwsza, by zatrzymał się po powrocie do Francji przez dni kilka w Besançon celem utrwalenia stosunków przyjaźni; ona sama również prosiła go, by zaopiekował się wyprawieniem tej części ich rzeczy, które teraz zostawiała w Palermo, chcąc jak najprędzej oddalić się z tego miejsca, tak pełnego wspomnień żałobnych.

Było mu nawet wolno w ostatecznej chwili pożegnania wycisnąć na bladym licu córki pocałunek; wzruszenie, które go ogarnęło w tej chwili, nie zdradziło bynajmniej jego tajemnicy. I w tej właśnie chwili jasno już zupełnie stanęło mu przed oczyma ostateczne, oraz jedynie możliwe rozwiązanie bolesnej sprawy, w której był równocześnie winowajcą i przestępcą: oto wyłącznym teraz celem w jego życiu powinno być możliwie najści-

ślejsze zbliżenie się do rodziny, wśród której ma się wychowywać Adela. Wiedział, iż powinien dokonać tego stopniowo i nader nieznacznie, by nigdy cień żaden nie padł na pamięć nieboszczki.

Skoro jest wolny, będzie mógł z łatwością zmienić miejsce swojego stałego pobytu. Zamieszka tedy najlepiej w sąsiedztwie córki, zakupując gwoli pozorów te lub owe dobra. Z latami ona dorośnie, on zaś, zawsze ukryty w cieniu, będzie otaczał ją opieką; wystarczy mu w nagrodę świadomość radosna, iż jest użytecznym... Nie będzie to pożycie rodzinne — takie, o jakim marzył, będąc narzeczonym Henryki. Nie będzie to także szlachetna duma ojcowska, ani też wzniosłe rozkosze ojcostwa. I tak atoli otrzyma więcej, aniżeli zasłużył...

I oto teraz patrząc ku statkowi, który oddalał się coraz więcej i więcej, niemal widział na własne oczy w krańcu widnokrzęgu brzeg, uwity z purpury i złota, brzeg świetlany. Ku temu brzegowi podążał statek, a był to niejako symbol nowego brzegu tej innej, odmiennej Ziemi Obiecanej, ku której sam też zmierzał.

Bohaterskie poświęcenie się czystej Henryki nie poszło na marne.

Zamarł w nim już bowiem na zawsze człowiek namiętności, który żył i czuł kosztem nędzy, oraz nieszczęść bliźnich. To też przyciskając do warg list, otrzymany z Katanii, będący dla niego talizmanem, Franciszek w głębi ducha dziękował gorąco i żarliwie tej szlachetnej istocie. Ona tylko wskazała mu drogę, po której iść należy. W tym pocałunku tkwiła nadzieja, że, być może, z czasem Henryka poda mu rękę na życie ca-

le. Był nadto przekonany głęboko, że rozstając się z nim samowolnie, żywi jednak teraz dla niego szacunek. Dzisiaj czuł, iż na ów szacunek zasługuje, ponieważ stał się człowiekiem sumienia, człowiekiem skruchy, żyjącym gwoli kojenia boleści, które rozsiewał przedtem wokoło siebie.

Wacław Lewandowski.

K O N I E C .







189 —

1893

WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA

153625

Biblioteka WSP Kielce



0131836